

ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA,

1897.

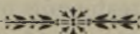
Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 4 marca 1897 r.

WARUNKI POSTĘPU MORALNEGO.



Czy człowiek staje się lepszym? Czy teraźniejszość jest mniéj od przeszłości okrutna, mściwa, mniéj samolubna i czy możemy żywić nadzieję, że przyszłość cechy te w mniejszym jeszcze stopniu posiadać będzie? Czy promienie słoneczne Ahuramazdy zapanują wreszcie nad mrokiem nocnym Ahrymana? Czy są już jakieś pewne, niezbite dane upoważniające do przekonania, że podłożem postępowania ludzkiego przestanie być egoizm, że przeciwnie altruizm, miłość bliźniego, uczucie szczere, serdeczne, niewyrachowane, pełne poświęceń jego miejsce zajmie.

Takie i podobne pytania zadajemy sobie wszyscy nie raz i nie parę razy w życiu. Każdy wypadek okrucieństwa, notowany skwapliwie przez dzienniki, każdy bardziéj głośny czyn jakiegoś domorosłego Shylock'a, każda fotografia krwawéj zemsty albo niemoralnéj samowoli prywatnéj czy publicznéj—budzi w głębi nas prócz bolesnego oburzenia i świadomości zła, jeszcze bardziéj teoretyczne pytajniki w rodzaju zaznaczonych powyżéj. Jeśli tak jest śród ogólnych mas społeczeństwa, to powinna kwestya „postępu moralnego" budzić zajęcie śród świata uczonych. Tak też było i jest.

Teorya postępu moralnego ma już swoją historyą, a historya ta rozpada się na epoki. Był czas, że postęp moralny utożsamiano z postępem wykształcenia. Były to mianowicie czasy silnie rozwiniętego

analfabetyzmu, kiedy ci, co walczyli o oświatę, widzieli w niéj klucz do przyszłego szczęścia ludzkości. Rzecz jasna, że chcąc zrozumiéć zjawisko złożone, trzeba je rozłożyć na składowe czynniki i tylko eliminując je—możemy pojąć własności każdego, wpływ na charakter zjawiska. Pojęcie „postępu” ciemne, pokryte mgłą nieświadomości, potrójnym pancerzem różnorakich przesądów — mogło być zrozumianém tylko po oczyszczeniu go z naleciałości, z pozornych czynników jego istoty. W pobieżnéj analizie, można było, posiadając tak mało jeszcze rezultatów praktycznych szerzonéj w masach oświaty, przypisywać tejże dominujące znaczenie dla postępu moralnego. Takiém było np. stanowisko genialnego autora „Historyi cywilizacyi”, Tomasza Buckle'a i takiém jest ono jeszcze dzisiaj w osobie Johna Lubbocka. Lubbock—cytujemy jego pogląd, boć to zdanie już na wymarciu—odzywa się tak np.: „W r. 1870, w którym wydane zostało prawo angielskie normujące wykształcenie elementarne, uczęszczało do szkół $1 \frac{1}{2}$ miliona dzieci. Dziś szkoły elementarne liczą 5 milionów uczniów. A jakież są rezultaty? Ilość przestępców utrzymywanych w więzieniach spadła z 12,000 do 5,000 rocznie; ilość skazanych za ciężkie przestępstwa spadła z 3,000 na 800, ilość młodych przestępców wynosi zamiast 14,000—5,000. Wreszcie ilość biednych zmniejszyła się o połowę (zamiast 41, tylko 22 na 1,000 ludności).” Lubbock powtarza, przytaczając powyżéj podane cyfry wiersz V. Hugo: „kto otwiéra szkoły, zamyka więzienie” [1]). Możnaby pisarzy, wygłaszających podobne poglądy, zaliczyć do epoki intelektualistycznéj dziejów postępu moralnego.

Powyżéj wskazaliśmy w kilku słowach tło téj epoki: ze względu na to tło nie mogła ona być inną. Pozatém jednak przypadała ona jednocześnie z narodzinami socyologii, która zagadnieniu postępu wogóle pierwsza dopiéro bliżéj się przyjrzéć zamierzała. Wreszcie nie myślano jeszcze wtedy o umiejętnych badaniach nad złożonemi zjawiskami moralności i nad samą nauką o moralności. Zmieniły się atoli czasy. Poczęto na kontynencie europejskim i w Anglii szerzyć oświatę: tu wolniéj, tam szybciéj. Rezultaty nie dały czekać na siebie—rezultaty te jednak wbrew tendencyjnie zestawianéj statystyce Lubbocka, były fatalne dla nadziei żywionych fanatycznie przez „intelektualistów” postępu moralnego. Socyologia rozwinęła w tym czasie działalność bardzo płodną. Poczęto wyodrębniać pojęcie postępu „moral-

[1]) Por. Mowa Lubbocka na otwarcie pierwszego kongresu socyologicznego w Paryżu, wydrukowana w „Annales de l'institut international de sociologie“ t. I, str. 11, oraz najnowszą jego książkę: „L'emploie de la vie“. Paryż 1897.

nego" z pośród zasad i czynników postępu wogóle. Mamy już ciekawe badania nad pedagogiką społeczną, nad metodami oddziaływania na rozwój uczuć moralnych. Dziś już tylko napotykać się dają szczątkowe okazy intelektualistów postępu moralnego...

Mniemamy, że każdy wybitniejszy objaw pracy na tém polu — zaciekawić powinien czytelników. Zaznajamiamy więc ich dzisiaj z badaniami, nieukończonemi jeszcze, nad postępem moralnym, psychologa włoskiego G. Ferrero.

* * *

Przystępując do rozbioru zagadnienia, Ferrero zwraca uwagę na istnienie dwojakiego rodzaju moralności: płciowéj i czynnéj; pierwsza określa stosunki płciowe mężczyzny i kobiety oraz funkcyą rozrodczą; druga — reguluje stosunki społeczne pewnego danego społeczeństwa, w najszerszém ich znaczeniu. Ferrero dba o zbadanie przyczyn, za których wpływem moralność czynna się zmienia i przeobraża w zależności od czasu (różne epoki historycznego życia ludzkości) i przestrzeni (różne ludy i rasy).

Pojęcie postępu moralnego mieści w sobie coraz (z biegiem czasu) silniejszy wstręt do sprawiania bólu istotom, z którémi żyjemy. Porównywając dwu, ludzi dwie społeczności, dwie rasy — nazywamy bardziéj moralnymi tych i te, którzy i które odczuwają w silniejszym stopniu ból bliźniego i co za tém idzie, w wyższym stopniu żywią odrazę do zadawania mu bolesnych ciosów. Rzym starożytny, zbudowany na zaborach, grabieży, mordach, społeczeństwo, gdzie bogaty znajdował zabawę w dręczeniu niewolników, gdzie urzędnicy okradali i ciemiężyli ludy pokonane (nazywało się to „pacyfikacyą") — wydaje się nam mniéj moralnym, aniżeli Szwajcarya współczesna, która nietylko że nie „pacyfikuje" innych ludów, ale daje jeszcze schronienie wygnańcom, Szwajcarya, która uważa życie ludzkie prawie za święte, któréj administracya publiczna jest uczciwa, sprawiedliwa i dla kraju prawdziwie pożyteczna.—Jeżeli więc istotnie zgodzimy się, iż jednostki i grupy ludzkie uznawać będziemy za postępowe w sensie moralnym w stosunku do stopnia odczuwanego bólu bliźniego—to zagadnienie postępu moralnego sprowadzić się da do zbadania przyczyn, jakie w duchu człowieka zwiększają albo zmniejszają wstręt do zadawania tych cierpień.

Przyczyn tych może być kilka. Jedną z nich może być sympatya t. j. myślowe wyobrażenie cierpienia, odczuwanego przez inną jednostkę. O ile sympatya ta jest silniejsza, o tyle wstręt jest większy

i t. d., badając tedy przyczyny zwiększania i zmniejszania sympatyi, odnaleźć możemy niejako jedno z praw postępu moralnego. Przyczyny te mogą być: fizyczne, fizyologiczne, psychologiczne. Przyjrzyjmy się np. jednéj, psychologicznéj, która wydaje się niezmiernie ważną, a która w najogólniejszéj formie głosi: „wszelka odraza do powodowania bólu zmniejsza się albo ustaje, jeżeli ma służyć do zadośćuczynienia potrzebie albo pożądaniu, silniejszym od wyobrażenia duchowego bólu zadawanego"—czyli innemi słowy: cierpienie bliźniego boli nas o tyle mniéj, o ile jest dla nas korzystném. Człowiek możliwie spokojny, cichy i łagodny może stać się zdolnym do zabójstwa, o ile chodzić będzie o samoobronę; zdarzało się, że rozbitki na morzu pod wpływem głodu, stawali się ludożercami—i zarzynali w tym celu przyjaciół albo braci. Są to przykłady wyjątkowe — ale charakteryzują znakomicie tę prawdę, że pragnienie życia i głód są silniejsze aniżeli wyobrażenie myślowe cierpienia odczuwanego przez bliźnich naszych. Liczymy w społeczeństwach naszych wielu ludzi, którzyby uważali sobie za najwyższe upokorzenie i wstyd, wszelkie poniżenie moralne bliźniego, a jednak ci sami ludzie nie będą odczuwali najmniejszych wyrzutów sumienia, gdy chodzić będzie o konkurencyę. A jednak cóż oznacza nagroda zdobyta w taki sposób, jeśli nie poniżenie współzawodnika? Innemi słowy, potrzeba przechylenia na naszą stronę szali zwycięstwa zaciéra w wyobraźni naszéj obraz cierpienia współzawodnika - bliźniego, obraz który w każdym innym wypadku budziłby w nas współczucie, oburzenie na tych, którzy je (cierpienie) spowodowali, odrazę do siebie samych, gdybyśmy się przypadkowo winnymi spełnienia czynu takiego stać mieli. Spostrzeżenie psychologiczne, zaznaczone tutaj, jest zupełnie przejrzyste i dlatego nie ma potrzeby przytaczania większéj ilości ilustracyi; ciekawszém atoli jest zastosowanie tego spostrzeżenia do dziejów kilku wielkich przeobrażeń historycznych, które przy jego świetle nabiérają zupełnie wyraźnych kształtów. Gwoli krótkości — zatrzymamy się tutaj przy jednym tylko przykładzie.

Dzieje niewolnictwa w starożytności znakomicie dowodzą, że postęp umysłowy i wysoki poziom cywilizacyi może się łączyć harmonijnie z cofaniem się, z upadkiem częściowym na polu uczuć moralnych. W Grecyi stan niewolnika był znacznie lepszy i godniejszy w epoce barbarzyńskiéj Homera, aniżeli w czasie rozkwitu cywilizacyjnego w epoce Peryklesa i Arystotelesa. W dobie, którą ilustrują poematy homeryczne, pan miał nad niewolnikiem władzę nieograniczoną, mógł wyznaczać i wykonywać kary, męczyć i zabijać; prawo jednak ustępowało przed powagą obyczaju—a obyczaje choć barbarzyńskie nie były wcale okrutne. Hezyod zaleca odpoczynek dla niewolników po

żniwach, Laertes (u Homera) prowadzi życie w niczém się od życia niewolników nie różniące. Zauważono też (Richter, *Die Sklaverei im griech. Alterthume*), że Homer mówi tylko o dobroci panów względem niewolników i o wierności niewolników względem panów; dwa razy jeno wzmiankuje o karach.

A teraz, jakże innym jest obraz żywota niewolniczego za czasów Peryklesa i Platona, czasów, które wogóle są jednym z najpiękniejszych rozdziałów historyi umysłowości ludzkiéj. Niewolnicy z przyjaciół i pomocników przeobrazili się w rzemieślników, w robotników miejskich i parobków wiejskich. Jakież dalekie przestrzenie dzieliły ich od panów, którzy im dawniéj byli tak bliskimi! Nie widywali ich przez całe życie. Zamiast pana — dozorca, zamiast łaskawego obejścia, łagodności i względności — brutalny despotyzm, jadło mizerne, odzienie najmniéj kosztowne, praca—długa, gruba i nagradzana karami. Co więcéj! wysilano się na tworzenie różnych zakazów prawnych, powstrzymujących niewolników od ucieczki, na wynalazki — nadające tym zakazom charakter cielesnych, a dotkliwych narzędzi męki. Były tu kajdany, kółka żelazne na ręce, powrozy na szyję, a wreszcie i piętna na czoło. Oczywiście, że te środki nie powstrzymywały ofiar okrucieństwa od ucieczki. Uciecha zbiegłego nie była długą! Gdy stanął w najbliższém mieście, wydawano go właścicielowi; gdy ucieczka była ostrożnie dokonana, wystarczały wezwania właściciela w celu odzyskania zguby; widzimy nawet ślady organizacyi specyalnych prześladowań podobnych: miasta zawiérały w tym celu traktaty obowiązujące wzajem do wydawania zbiegów. Wiadomo, że Perseusz, szukając sprzymierzeńców przeciwko Rzymowi i chcąc się pogodzić z Achajczykami, wskazywał im, jako dodatnią dla nich stronę związku, iż Macedonia przestanie być dla niewolników achejskich ziemią obiecaną przytułku. Tak tedy niewolnik przestał być człowiekiem; stał się zwierzęciem źle żywioném, przeładowaném pracą, zakutém w kajdany, prześladowaném bez litości. Tak tedy na gruzach niewolnictwa „domowego”, opromienionego wschodzącém słońcem dziejów greckich w dobie Homera, powstało niewolnictwo przemysłowe, wyzyskujące i surowe, na które palące promienie rzucało południowe słońce rozkwitu tych dziejów.

Gdzież przyczyna téj okrutnéj różnicy? Owóż postęp społeczny i umysłowy pomnożył i powiększył potrzeby klas wyższych, t. j. właścicieli niewolników. W Grecyi Homera, niewolnictwo było dla właścicieli przedmiotem zbytku raczéj, nie potrzebą. Praca nie była wzgardzoną i bogaci pracowali narówni z biédnymi. Wogóle zaś poziom wymagań materyalnych był wcale nie wysoki, wskutek czego nie-

wolnicy nie potrzebowali jeszcze wypracowywać w pocie czoła bogactw gwoli zbytkowi próżnującego pana. Praca równała raczéj biédnych i bogatych, jednocząc pana i sługę przy jedném ognisku domowém, na polu i w ogrodzie. Stosunki były zupełnie bliskie, wyobrażenie cierpienia, jakieby odczuwać mógł dręczony i ciemiężony niewolnik—było bardzo silne; każdy więc czyn pana, znamionujący niegodne obchodzenie się ze sługą, był poczytywany za okrucieństwo.

Tymczasem stosunki ekonomiczne uległy gruntownym przeobrażeniom. W Grecyi IV i V stulecia niewolnik został narzędziem, służącém do powiększania bogactw. Z chwilą, kiedy uznano i zrozumiano, a co ważniejsza zapotrzebowano korzyści, płynących z pracy niewolnika, nic dziwnego, iż postarano się wyzyskać tę pracę, jak tylko można było najlepiéj. Zbogacony handlarz ateński, który spostrzegł, że bogactwa zapewniają władzę i honory, poczynił wszelkie starania, aby bogactwa pomnożyć. Sam nie pracował — gardzono już wtedy pracą, ale innym na siebie pracować kazał. On już nie sprzedawał, inni czynili to za niego. Niewolnik stał się znakomitą lokacyą kapitałów, przedmiotom spekulacyi. Lekarze kupowali sobie niewolników uczyli ich i kazali leczyć biédniejszych pacyentów swoich. Byli tacy, co odnajmowali swoich specyalnie do handlu albo do przemysłu, albo do sztuki jakiéjśkowiek uzdolnionych niewolników innym, i żyli tylko z takich dochodów. W ten oto sposób stał się niewolnik źródłem niewyczerpaném napozór bogactwa; wyzyskać źródło —uchodziło za sztukę, za rozum, albowiem wyzysk taki zaspakajał potrzeby moralne i fizyologiczne, zapewniał wolny czas od trosk, dawał honory publiczne. Oto w jaki sposób wyobrażenie duchowe cierpień niewolników i odraza do zadawania cierpień—stawały się coraz słabsze...

Siła sympatyi zmieniać się może pod wpływem innych jeszcze przyczyn. Jedną z nich jest — sympatya przez podobieństwo, które to prawo da się wyrazić mniéj więcéj tak: wykluczając wszelkie przyczyny specyalne, możemy twierdzić, że odraza nasza do sprawiania bólu bliźnim zwiększa się w stosunku prostym do podobieństwa (fizycznego albo moralnego), jakie zachodzi pomiędzy nami i podmiotem cierpiącym. Zatrzymamy się z kolei nad tém zagadnieniem.

Człowiek łagodny i dobry zgniecie nogą robaka napotkanego w drodze, nie czując żadnéj obawy, ani wyrzutów sumienia; nie odczuwa przytém nic więcéj ponad to, coby czuł, gdyby zgniótł przypadkowo owoc albo jakiś przedmiot kruchy. Nigdyby jednak nie zgniótł nogą łebka zajączkowi lub szczenięciu — czyn taki wydałby mu się z pewnością okrucieństwem bez miary. Wiele bardzo osób sprzeciwia się polowaniu, ale nie protestuje przeciwko rybołóstwu: ryba wedle

ich poczucia, zasługuje na mniéj współczucia, aniżeli zając, kuropatwa lub sarna. Sekta jaroszów (wegetaryanów) rozpowszechniona dzisiaj w Ameryce, Anglii i Niemczech, sekta fizyologiczna i sentymentalna zarazem, uważa rzeź bydła za okrucieństwo i żąda zniesienia zwyczaju żywienia się mięsem. Sekta ta dzieli się na dwie szkoły, z których druga mniéj surowa i bezwzględna, zezwala osobom słabym spożywać rybę; „ryby bowiem, słyszymy tutaj, są to stworzenia mniéj szlachetne niż wół lub krowa, i dlatego zabijanie ich jest czynem mniéj okrutnym.” Wreszcie zgodzi się każdy, że z całego królestwa zwierząt najwięcéj litości budzi w nas małpa. Ferrero cytuje wypadek, jaki miał miejsce w jedném z laboratoryów Turynu. Sprowadzono tam małpkę w celu dokonania na niéj różnych doświadczeń wiwisekcyjnych. Zanim jednak przyszła na nią koléj, lekarze, bawiąc się ciągle małpą, przyzwyczaili się do niéj i kiedy trzeba było przystąpić do operacyi, żaden z nich nie mógł zdecydować się na takie względem niéj okrucieństwo. Oczywiście, że na odrazę do wykonania operacyi działały tutaj ruchy małpy, tak podobne do mimiki człowieczéj, przypuszczać należy, że pomimo całego przywiązania, jakie żywić możemy względem psa, w takim stopniu, jak w pomienionym wypadku sympatyi—odczuwać nie będziemy.

Posuńmy się jednak o jeden jeszcze szczebel wyżéj. Człowiek biały odczuwa bardzo niewiele wyrzutów sumienia, zabijając czarnego: dzieje kolonizacyi amerykańskiéj zawiérają pod tym względem wiele pouczającego materyału. Kolonizator biały uważał zabójstwo człowieka odmiennéj rasy — w Ameryce, w Australii, w Afryce, w Azyi—za czyn nie różniący się wiele moralnie od rzezi wołu. Kiedy europejczyk powołał do życia nanowo niewolnictwo w Ameryce, sprowadził murzynów,—a dziś jeszcze, aczkolwiek są już wolni, uważani są za rasę „niższą” i znosić muszą niejeden kaprys okrutny amerykanina. Przestępstwo, za które biały zapłaciłby paromiesięczném więzieniem, kosztuje czarnego niekiedy życie, przyczém egzekucya następuje często bez procesu wskutek dość niepewnych i mało uzasadnionych oskarżeń (lynchu). Niekiedy zemsta rasowa, opanowująca w takich wypadkach yankee'a, pożéra jednego, drugiego przyjaciela ofiary!

Jeżeli sferę naszych spostrzeżeń ograniczymy do rasy białéj jedynie, to i tutaj zauważymy zjawiska podobne, tylko że na miejsce rasy postawić będzie trzeba „klasy” społeczeństwa. Sympatya, mianowicie, jaka łączy członków jednéj klasy, jest o wiele żywsza, aniżeli ta, która wiąże ludzi różnych klas. Codziennie trybunały sądowe skazują dziesiątki, setki i tysiące oskarżonych o różne przestępstwa robotników—uwaga publiczna nie reaguje zupełnie na rodzaj i wysokość

kary; jeżeli jednak na ławie oskarżonych zasiądzie członek jakiéjś „wyższéj" klasy społecznéj, wypadek pobudza natychmiast interes publiczności i jeżeli kara wymierzona przez sąd będzie zbyt surową — można być z góry przygotowanym na protest powszechny. Tutaj, mniema Ferrero, kryje się przyczyna, dla któréj klasy społeczne walczą z taką stanowczością o zdobycie przywileju sądzenia przez „równych": parowie angielscy przez parów, wojskowi przez wojskowych, księża przez księży, mieszczanie przez mieszczan; sympatya bowiem jest silniejsza pomiędzy członkami danéj klasy i wyobrażenie bólu zadawanego bliźniemu—jest większe.

Ferrero przechodzi następnie do analizy innego procesu psychologicznego bardziéj złożonego, które nazywa p r a w e m p o r ó w n a n i a. Czyn, zwyczaj, instytucya same przez się nie są ani moralne, ani niemoralne; sądy (i łączące się z niemi uczucia) moralne co do pewnych czynów i zwyczajów, instytucyi wywoływane bywają przez porównanie z innemi czynami i zwyczajami, które służyć mogą do jednego i tego samego celu i kosztować sumę cierpienia większą albo mniejszą. Jeżeli porównanie takie jest możebném, to czyn, zwyczaj, instytucya sprawiająca więcéj cierpienia będzie uważana za niemoralną (bo anormalna); jeżeli jednak porównanie jest niemożebném, czyn nie będzie się wydawał anormalnym i niemoralnym. Ilustracyą znakomitą téj prawdy jest wojna. Wiadomo powszechnie, że państwa i narody ucywilizowane czynią możliwe i nadmożliwe wysiłki, aby powiększyć siłę, szybkość, dalekonośność broni, t. j. aby ją uczynić zdolną do zabijania największéj ilości ludzi; obok tego jednak te same narody organizują, jak tylko można najlepiéj i najumiętniéj pomoc lekarską na wojnie, opiekę nad rannymi, wozy ambulansowe, składy opatrunków i t. d. Możnaby zarzucić tutaj sprzeczność zasadniczą: jedna ręka niszczy, druga stara się uratować ruiny od zupełnego upadku. Zdaje się to wszakże stwierdzać tylko ogólne prawo psychologiczne, w myśl którego człowiek bez najmniejszego skrupułu sprawia największy ból bliźniemu, jeżeli widzi konieczność tego przy dążeniu do jakiegokolwiek celu; przeciwnie, znowu budzi to w nim wstyd, strach i wstręt, jeżeli zada najmniejszą ranę, gdy ta jest zbyteczna. W taki oto sposób — wiele grup społecznych mniema dzisiaj, iż wojna jest konieczną; te grupy nie spostrzegły bowiem, że istnieją inne środki łagodniejsze, mniéj okrutne, dzięki którym można załatwiać spory, z których rodzą się wojny i dlatego właśnie wojna sama przez się, pomimo pożogi, zniszczenia, jakie sieje, nie budzi wstrętu. Gdyby jednak tym samym grupom zaproponowano, aby rannych opuszczały na polu bitwy, jak to czyniono dawniéj, mówiąc, że zabijając tysiące, nie warto się troszczyć

o los i życie kilkuset rannych—ich sumienie zawrzałoby bezsprzecznie protestem; nauka daje nam bowiem dziś już możność uratowania życia wielu z liczby rannych. Zostawić ich na pastwę losu, to znaczy spowodować cierpienie bezpożyteczne, którego można uniknąć, a więc trzeba uniknąć.

Zaznaczone prawo psychologiczne objaśnia nam bardzo dobrze wielki przewrót w dziejach ludzkości, jakim było zniesienie niewolnictwa. Jeżeli porównamy świadomość moralną najbardziéj ucywilizonych narodów świata starożytnego, jak Greków i Rzymian, z naszą, to zauważymy łatwo różnicę niezmierną: sama nazwa „niewolnictwa" budzi w świadomości naszéj uczucie bardzo silne wstrętu, kiedy najpotężniejsze umysły greckie i rzymskie uważały instytucyę samą, za zupełnie sprawiedliwą. Prawo porównania objaśnia nam tę różnicę. Niewolnictwo budzi w nas odrazę, bośmy znaleźli system stosunków społecznych mniéj surowy, który spełnia te same funkcye, co niewolnictwo, ale nie zmusza nas do czynów tak okrutnych, jak zmuszał system niewolniczy. Niewolnictwo było koniecznością dla społeczeństw starożytnych, kiedy doszły one do takiego punktu rozwoju, na którym trzeba było zwiększyć produkcyą, organizując masy robotników pod kierunkiem niewielkiéj ilości spekulantów, aby uczynić zadosyć różnorakim i licznym potrzebom gęstszéj ludności. Zachodzi tu atoli jedna ważna przeszkoda. Było jeszcze wiele dziewiczéj, niezajętéj roli, która nie należała do nikogo; trudno tedy było zdobyć potrzebną ilość ludzi, którzyby ręce swe sprzedać chcieli, kiedy jeszcze ręce te mogły znaléść dla siebie pracę na niezajętych, nieuprawianych ziemiach — i być tam niezależnymi. Aby więc zdobyć robotników potrzebnych do wykonania wielkich przedsięwzięć rolnych albo przemysłowych, trzeba było użyć siły: oderwać tych spokojnych pracowników od ziemi i zmusić ich do pracy na rzecz panów. W takich warunkach narodziło się niewolnictwo i cała tegoż organizacya społeczna, polityczna, moralna i prawna. — Dzisiaj niewolnictwo nie jest już konieczne, aby wyprodukować całą ilość bogactw potrzebnych klasom zamożnym: ludność jest nader gęsta, ziemia stanowi już tylko własność indywidualną i istnieje cała potężna ilość ludzi, którzy dobrowolnie sprzedają swą pracę przedsiębiorcy. Przymus fizyczny jest już zbyteczny i nasz system przemysłowy trzyma się sam o własnéj sile, zorganizowany przez prawo i przez państwo dla korzyści jednéj klasy społecznéj [1]).

---

[1]) Ferrero wykłada tutaj teoryę znakomitego ekonomisty współczesnego prof. Loria (z Padwy). Teorya ta mieści się w drugim tomie „Analisi della proprieta capitalista" (Turyn, 1889), rozdz. III, str. 55 i nast.

Ustrój społeczny, w którym żyjemy, nie jest tak okrutnym, jak niewolniczy, co pozbawiał człowieka wolności, rodziny, wszystkich praw moralnych i publicznych. Cierpienia, spowodowane przez niewolnictwo, są już dzisiaj niepotrzebne, zbyteczne: oto powód, dla którego niewolnictwo wydaje nam się niemoralném. Kiedy nie było możności porównania podobnego, świadomość niemoralności niewolnictwa istniéć nie mogła—nawet w narodzie tak ucywilizowanym, jak Grecy, nawet w umyśle tak potężnym, jak Arystoteles.

Weźmy inny jeszcze przykład. Ludność żebracza od czasów bardzo dawnych była raną społeczną, którą państwa starały się leczyć przy pomocy najróżnorodniejszych środków terapeutycznych. W wiekach średnich trzymano się zasady surowości. Ordonans królewski np. nakazał we Francyi w r. 1350, aby każdego, kto trzykrotnie żebrał, piętnować rozpaloném żelazem; w dwieście lat późniéj parlament powtórzył ten zakaz, dodając do niego karę banicyi. W Anglii za czasów Henryka VIII-go, każdego żebraka karano za pierwszym razem batem, za trzecim—śmiercią. Ostatnią karę zastosowano za czasów panowania tego króla 38,000 razy! Za Edwarda VI piętnowano każdego żebraka, który nie chciał pracować i oddawano w niewolę temu, który go denuncyował, na przeciąg dwu lat; w razie ucieczki, połączonéj z recydywą żebractwa, czekała biédaka kara śmierci. Dziś—leczymy żebractwo przy pomocy odmiennéj terapii. Ameryka i Anglia mają swoje domy robocze *(workhouse)*, Belgia kolonie robotnicze, Włochy przytułki dla żebraków. Po zatém istnieją dziesiątki instytucyi w każdym kraju, które wyszukują pracy dla zdolnych do niéj żebraków i starają się wynaléść sposób do życia dla niezdolnych. I dziś wprawdzie przepisy policyjno-prawne, dotyczące żebractwa, nie należą jeszcze do doskonałości, posiadają przeciwnie mnóstwo braków: w każdym razie jednak w porównaniu z czasem z przed trzystu i dwustu lat przedstawiają znaczny postęp. Czemu go zawdzięczamy? Temu tylko, że posiadamy dzisiaj środki o wiele łagodniejsze i skuteczniejsze gwoli ukróceniu żebractwa. Klasa zresztą żebraków jest dziś mniéj liczna i nie tak niebezpieczna, jak w wiekach średnich. Skoro zaś niebezpieczeństwo nie jest tak straszne, a środki lecznicze dość dobre, — więc okrucieństwa dawniejszych czasów wywołują w nas odrazę moralną. Aby jednak dokonać takiego przewrotu, trzeba było długiego czasu; trzeba było, aby powstały organizacye prawa publicznego, zdolne przeszkodzić niebezpieczeństwu żebraków. Cóż jednak miały czynić społeczeństwa i państwa, kiedy nie było organizacyi, jeno był nierząd, nie było środków materyalnych na wybudowanie domów roboczych, na założenie kolonii rolniczych i t. d. Przymus, gwalt był wte-

dy koniecznością. To samo, co powiedziano o warunkach historycznych żebractwa—można zastosować do organizacyi ekonomicznéj, do ustroju politycznego, do wykonywania sprawiedliwości i t. d.

Z prawem porównania łączy się inne zjawisko, bardzo ważne w teoryi postępu moralnego, które możnaby nazwać tendencyą dążącą do zrównoważenia różnych moralności. Jeżeli dwa narody, znajdujące się na poziomie prawie jednakowym rozwoju umysłowego, pod względem moralności są nierówne, niejednakowe, wyższe i niższe, to wskutek téj różnicy powstaje dążenie niższéj moralności do osiągnięcia poziomu, na którym znajduje się moralność wyższa. Grecy starożytni nie stali niżéj od narodów nowoczesnych pod względem rozwoju intelektualnego, a jednak niewolnictwo nie budziło w nich odrazy. Przeciwnie, kiedy zaprowadzono niewolnictwo w Ameryce, w Anglii np. zorganizował się ruch anti-niewolniczy, potworzyły się stowarzyszenia ludzi protestujących przeciwko téj instytucyi. Skąd pochodzi ta różnica? Stąd, że Grecy widzieli niewolnictwo u wszystkich narodów, które, znajdując się na tym samym poziomie umysłowym, mogły oddziaływać na nich; nie mogli zatém porównywać swego ustroju z innym mniéj okrutnym, któryby pozwolił im odczuwać wstręt do ich własnéj instytucyi. W czasie jednak, kiedy zaprowadzono niewolnictwo w Ameryce, społeczeństwa europejskie zdołały wyjść już z epoki, gdy instytucya ta była im potrzebna, miały już u siebie inne nie tak okrutne ustroje i protestowały przeciwko amerykańskim, nie rozumiejąc wcale, że Ameryka potrzebowała niewolników dla tych samych celów, dla których w Europie wystarczała praca najemnicza. Wytworzył się prąd moralny, który biegł od społeczeństw europejskich ku społeczeństwom amerykańskim, mniéj rozwiniętym i dążył do sprowadzenia równowagi naruszonéj jakoby przez towarzystwa kolonialne...

A jednak, ten prąd moralny nic nie zdziałał, nie wywarł żadnego głębszego, bezpośredniego wrażenia. Myśliciele i filantropi protestowali z największą energią przeciwko niewolnictwu amerykańskiemu—ono jednak nie uległo żadnym zmianom, dopóki było potrzebne... Jeżeli mówimy o wpływie, to tylko o pośrednim. W Ameryce powstali np. pisarze, którzy bronili instytucyi nie dlatego, że była pożyteczną dla panów, ale — dla niewolników. „Za dni naszych”, pisze Wallon, uczony autor „Dziejów niewolnictwa w starożytności”, który sam jeszcze pisał młodzieńcze pamflety przeciwko niewolnictwu w koloniach francuskich, „za dni naszych stawali ci, którzy chcieli utrzymać niewolnictwo w koloniach, przeciw filantropom, nakładając na twarze swoje maski obrońców ludzkości, i wołali, aby nie znosić niewol-

nictwa, dzięki któremu rasa Negrów może wziąć udział na równi z białą w dobrodziejstwach cywilizacyi..."

* * *

Teorya postępu moralnego Ferrera, jak widzimy, jest teoryą czysto psychologiczną, w myśl któréj do objaśnienia przeobrażeń historycznych moralności ludzkiéj, zbyteczną jest hypoteza ewolucyonistów (nie wszystkich jednak), wymagająca koniecznego przeobrażenia biologicznego, za pomocą którego tylko moralne zmiany objaśnić się dają. Człowiek w istocie swéj pozostaje tym samym; proste prawa psychologiczne objaśniają, dlaczego w pewnych epokach i warunkach postępowanie moralne jednostek i grup ludzkich uległo i ulega zmianom.

W końcu swego szkicu zwraca uwagę autor na jeden ważny rys charakterystyczny (ogólny i stały) przemian moralnych ludzkości—ich sprzeczność. Zaznaczone powyżéj „prawa psychologiczne" są obfite i ilość ich jest prawdopodobnie znacznie większa jeszcze. Owóż prawa te nie działają wszystkie razem i jednocześnie: niekiedy działają jedne, w innym czasie—drugie; wiele z nich działając równocześnie, wywołuje postęp w jednym, cofanie się w drugim kierunku. Stąd właśnie pochodzą sprzeczności moralne, jakie zauważyć się dają u wszystkich narodów i po wszystkie czasy, sprzeczności z których śmieją się humoryści, płaczą—pesymiści. Nasze czasy np. odznaczają się typowém współczuciem dla zwierząt (p. wyżéj); wszędzie istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami, a w niektórych krajach (np. w Anglii)—prawo surowo karze człowieka, który na ulicy bije konia albo psa. Mimo to jednak, mimo wszelki sentymentalizm, wszelką w tym względzie nadczułość, istnieją jeszcze społeczeństwa europejskie, co nie zdobyły się na ordynacye prawne, zabezpieczające robotników od nieszczęśliwych wypadków, zależnych od nieostrożności pracodawców, i co więcéj: w téj saméj Anglii może się znaléźć większość parlamentarna, która odrzuci projekt takiego prawa. „Prawo", zaznaczone powyżéj, z racyi którego najniemoralniejsze instytucye ostoją się wszelkiéj opozycyi, jeżeli są połączone z zyskiem, albo jeżeli zniesienie ich wywołaćby miało stratę dla klas panujących—prawo to kładzie w danym wypadku swoje *veto* stanowcze. Polepszenie bytu klasy pracującéj przedewszystkiém zmniejszyłoby zyski klasy pracobierczéj, a stąd sympatya tych nadczułych na cierpienia zwierząt Anglików, spokojnie, bez wyrzutu sumienia, może głosować przeciwko ustawie zabezpieczającéj życie i zdrowie robotników.

Dwa wnioski można wysnuć z materyału zebranego powyżéj: postęp moralny prawie nigdy nie jest absolutnym, często zaś jest względnym i częściowym; jest on daléj—zjawiskiem nader złożoném, którego jedna „prosta" teorya objaśnić nie jest w stanie.

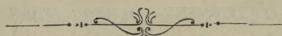
Od paru już lat pracuje G. Ferrero nad dziełem o postępie moralnym i szkic téj pracy, z którym zapoznaliśmy czytelnika naszego, a także ogłoszone niedawno streszczenie pierwszéj części dzieła: *La morale primitiva e l'atavismo del delitto* (Moralność pierwotna i atawizm przestępstwa)—każą się spodziewać wielu ciekawych i oryginalnych poglądów. Staraliśmy się w wykładzie powyższym być o ile można obiektywnymi; chodziło bowiem o zapoznanie czytelnika z pewnym szeregiem faktów historycznych, które w nowém oświetleniu nabiérają innych zupełnie, ciepłych, pełnych życia barw—nie zaś o krytykę tego oświetlenia. Zaczekamy, aż niezwykle zdolny i bystry psycholog włoski ukończy swe badania, a wtedy może uda nam się poglądom jego, niektórym oczywiście tylko, przeciwstawić inne, co nam osobiście wydają się bardziéj przekonywającemi i racyonalniejszemi.

S. Posner.



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]



III.

Pomimo wyjazdu państwa Łamkowskich, Zygmunt i Krępic bywali teraz w Kamionce dość często. Takie wycieczki urozmaicały jednostajność wiejską, przytém państwo Olchowiczowie zawsze ich witali serdecznie, pani Bodziewiczowa była stanowczo sympatyczna, a panna Emilcia zabawna.

I ani się opatrzyli, jak minęło lato.

Zwieziono do stodół ostatnie fury grochu, poczerniałe ścierniska rozwlokły po ogołoconych polach pustkę i smutek, suchy wiatr wzdymał szare łona podorywek i bałwanił po nich chmury ciemnego pyłu, niebo wyblakło i zionęło żarem, od którego kupki zgrabionéj tatarki poczęły tracić barwę krwistą i stawały się prawie czarne i nastała pora, która jest może najsmutniejsza w roku. Natura zapadła w zupełny letarg, a ziemia, z piersią spaloną, odartą z zieleni i złota, nawet westchnieniem nie zdradzała życia, które tam, wewnątrz, głęboko, tkwiło przecież, a imbardziéj niedostrzeżone pod pozorną martwotą,

---

[1] Patrz zeszyt lutowy „Ateneum" r. b., str. 10.

tém większe może zapowiadało nadzieje w tęgich piórach młodéj runi.

— Głębia ziemi nie zawodzi nigdy, byle ziarna i rąk nie zbrakło!—myślał Krępic, patrząc na rozpaczliwie smutne i szare pola.

W Kamionce pani Bodziewiczowa i panna Emilcia zabiérały się do odlotu, przyjaciele także już o nim myśleli.

W przeddzień wyjazdu, przy obiedzie, pan Znamieniecki ożywił się niezwykle. Wspominał o ideałach, które wyniańczyły jego pokolenie, o złudzeniach, które zrodziły dużo łez i krzywd, o filozofii życiowéj, którą się nabywa tylko własném rozczarowaniem i w końcu tak mówił:

— My jesteśmy teraz niby słoje z cienkiego kryształu, które los puścił na bystrą wodę życia w towarzystwie żelaznych garnków. Wobec parcia ze wszystkich stron, gwałtowne eksperymenty chyba nie mogą być szkodliwe dla żelaza, ani téż korzystne dla kryształu, lub nawet dla glinianych garnków, czyż nie tak?

Ale gdy nie otrzymał odpowiedzi, ciągnął daléj:

— Ludzie wierzą w istnienie Ameryki, choć ją nie wielu widziało naocznie, nie sprawdzają każdego wyniku nauki, bo na to nie stałoby ani sił, ani życia i wierzą na słowo, bo muszą wierzyć. Ale wyjątkiem jest filozofia życia. Tu musu nie ma, więc każdy chce sam robić doświadczenia i robi je, na nieszczęście nietylko własnym kosztem. Nie bronię mojego pokolenia, bo i ono było takiém, ale myślę, że po niém powinna była pozostać nauka, którąby wystarczyła przynajmniéj dla paru następnych pokoleń.

Młodzi siedzieli wciąż w głębokiém milczeniu, ale było widać, że im to nie przychodzi łatwo, Znamieniecki zaś patrzył na nich bystro i miarowo, spokojnie, wciąż mówił:

— Wynikiem naszéj filozofii była praca, praca i jeszcze raz praca. Jednostki myślące o własnym dobrobycie, tém samém podnosiły dobrobyt ogólny i były uważane za jednostki zupełnie uspołecznione, a choć ten prąd może się wydać wielu nazbyt praktycznym, pomimo to był dobrym i jeszcze trwać powinien.

— Był bardzo wygodnym!— wybuchnął nagle Zygmunt.

Poczém, jak gdyby prysła tama, popłynęły słowa i zawiązała się gorąca dysputa, w któréj Krępic odzywał się nie wiele i która skończyła się na tém, na czém się zwykle kończą wszelkie usiłowania, skierowane ku przelaniu własnych przekonań w inne głowy.

— Bardzo pięknie! — zakończył Znamieniecki — pomówimy jeszcze o tém za parę lat.

I wyszedł, nadmieniwszy tylko, że pragnąłby przed wyjazdem pomówić z synem o interesach.

A nazajutrz obaj przyjaciele znowu siedzieli na węgierskim wózku, lecz tym razem dążyli w stronę stacyi.

— Czy wiész, do czego była skierowana wczorajsza mowa ojca i nasza dzisiejsza rozmowa o interesach? — zapytał Zygmunt, gdy już Karolówka pozostała za nimi daleko.

Był nachmurzony i widocznie zły, gdy zaś Krępic spojrzał nań pytającym wzrokiem, począł mówić szybko i niecierpliwie.

— Ojciec wbił sobie w głowę, że ja powinienem koniecznie zrobić duże pióniądze, przeczekać przesilenie rolne i odkupić wszystką ziemię, któréj on nie mógł utrzymać w rękach. Odpowiedziałem na to, że nie mam do niego pretensyi, że ma prawo stracić wszystko prócz Karolówki i Leszczyn, które kocham i których za nic się nie wyrzeknę, ale groszorobem i handlarzem ziemi nie będę, gdyż do tego nie mam kwalifikacyi. Przemówiliśmy się tak, jak nigdy, to jest głównie ja się uniosłem, bo gdy ciebie nie ma, nie umiem nad sobą panować, no, i dowiedziałem się w końcu, że już teraz żadnéj pomocy z domu miéć nie będę.

Umilkł i nachmurzone oczy utkwił w dębowym lesie, który już przeświecał bursztynem i bronzem, a Krępic rzekł spokojnie:

— Chyba się nie obawiasz, byś sobie sam nie dał rady?

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Cóż znowu! Potrafię się ograniczyć, gdy trzeba, ale mnie to wszystko doprowadza do pasyi. Przyzwyczaił mnie do dużych wydatków, teraz chce na tém grać i—omyli się.

Na chwilę szyderstwo mu wykrzywiło usta, poczém westchnął.

— Dwóch ludzi, bardziéj sobie dalekich, jak ja i ojciec, chyba nie ma na ziemi.

Ale tu Krępic poklepał go po ramieniu i rzekł, zawsze spokojnie:

— Dramatyzujesz, mój drogi. Różni was wiek i przekonania, to wszakże jest rzecz stara jak świat. Ja na twojém miejscu byłbym rad z pozostawionéj swobody. Jest wielka przyjemność iść o własnych siłach, zobaczysz!

— A zobaczę—mruknął Zygmunt, niezupełnie przekonany, lecz już spokojniejszy.

Zajechali na podwórze stacyjne, gdzie z wielkiéj karety wychylała się właśnie pani Bodziewiczowa i podawała służącéj małą Marysię, a potém wszyscy wsiedli do jednego przedziału.

Dzieci się śmiały zadowolone, że jadą, panna Emilcia była ożywiona niezwykle i bez względu na Zygmunta, który jéj zawsze dokuczał ową nienawiścią ku rodzajowi męskiemu, z przejęciem opowiadała Krępicowi o koleżankach, które zastanie na pewno i o tych, które się zawsze spóźniają i tylko pani Bodziewiczowa była mniéj spokojna, niż zwykle.

— Trochę się spodziéwam, że Jaś wyjedzie na nasze spotkanie—mówiła do Zygmunta, jakby się tłómacząc z ciągłego wyglądania na stacyach przez okno.

I w istocie, w Rudzie Guzowskiéj się okazało, że miała dobre przeczucie. Wyjrzała, zarumieniła się i prędko spuściwszy okno, zawołała radośnie:

— Jasiu, my tu!

Prawie w téj saméj chwili wpadł do wagonu mężczyzna jeszcze młody, ale znużony, blady, z czołem pofałdowaném, z czarnemi wąsami zwieszonemi ku dołowi, wysoki i szczupły.

To był Bodziewicz.

Nie spojrzał na nikogo, porwał żonę w objęcia i począł ją całować niemal z dziką namiętnością. Odsunęła go od siebie i cała zarumieniona rzekła łagodnie:

— Jasiu, pan Krępic i pan Znamieniecki.

Dopiéro wtedy spojrzał na towarzyszów podróży żony, powitał ich z niezbyt ukrywaném niezadowoleniem, podał rękę pannie Emilci, a potém, jakby już dla niego nie istnieli, zwrócił się do dzieci i począł ustami wpijać się w ich twarzyczki, tak samo, jak przedtém, wpijał się w twarz żony.

Chłopak z pomocą rąk i nóg starał się odsunąć jego głowę, Marysia się rozpłakała, ale po chwili wszyscy czworo siedli przy sobie i tak się zatopili we własnéj radości, że po za tém nie zdawali się już nic widziéć.

— Tęskniliście do tatusia i do Warszawy? — pytał Bodziewicz i patrzył na dzieci z takim wyrazem, jakby z tych drobnych ust miał na niego paść wyrok życia lub śmierci.

— Nie—odparł Janek stanowczo i dodał ze wzgardą:

— A czy ty masz jeziolo, muśle i osiola, co?!

— Osiola, co!—powtórzyła Marysia.

A twarz Bodziewicza skurczyła się prawie tragicznym bólem. Spojrzał na żonę z wyrzutem, lecz gdy ona popatrzyła na niego swoim słodkim wzrokiem i coś mu zaczęła tłómaczyć, rozpromienił się i znowu całował dzieci.

Panna Emilcia przyglądała im się z minką, która mówiła wyraźnie, że jéj właścicielka czuje swoją, całą wyższość nad podobne słabości i że do pobłażania wcale nie jest skłonna. Nie odzywała się do nich wcale nic, na szwagra patrzyła z oburzeniem, a Zygmunt ubawiony jéj zachmurzonemi oczami, rozpoczął rozmowę na temat małżeństwa i obowiązków dobréj żony i pokładał się od śmiéchu, gdy panna Emilcia rzekła z głębokiém przekonaniem.

— Aby być dobrą żoną według wymagań mężczyzny, trzeba przedewszystkiém albo być idyotką, albo téż zupełnie się wyprzéć własnego *ja*, tak jak wół w jarzmie.

Poczém odwróciła się od niego i stale patrzyła w okno, pomimo że dokładał wszelkich starań, by ją przekonać do instytucyi małżeńskiéj.

W Warszawie rozstali się, pożegnani bardzo serdecznie przez panią Bodziewiczową, która już z dorożki wołała:

— Zaglądajcie, panowie, do nas. Mój mąż jest zapracowany, nigdzie nie bywamy, ale gdy przyjdziecie, będziemy radzi oboje.

A w trzy dni potém siedzieli nad rajzbretami w obszernéj, dość widnéj, lecz trochę brudnéj sali biura, należącego do fabryki odlewów i wielkiéj stalowni Rotte'go *et C.*

Licząc inżynierów, ich pomocników i zwykłych kopistów, pracujących w téj sali, było osób około piętnastu. Krępic i Znamieniecki przedstawili się swoim wszystkim kolegom po cyrklu, począwszy od szefa biura, pana Aromackiego, podobnego do szaréj, pomarszczonéj renety, skończywszy na inżynierze Rańkowskim, najstarszym przedstawicielu firmy, piastującym od lat dwudziestu godność pomocnika z pensyą, która dopiéro w tym roku doszła do siedmdziesięciu rubli miesięcznie.

Pan Aromacki powitał ich dość obojętnie, choć z nieznaczném wyróżnieniem dla Znamienieckiego, poczém nie znajmował się nimi bardziéj, aniżeli reszta kolegów, czyli nie zajmował się wcale.

Zasiedli przy swoich biurkach i teraz ciszę, która zalegała wielką salę, przerywał tylko skrzyp pióra kopistów, szelest papiéru i wielkich rulonów kalki, czasem poruszone krzesło, przesunięty rajzbret, lub metaliczny dźwięk rzuconych cyrkli.

Ale jeden z kopistów podniósł się, podszedł do biurka, przy którém siedział młody, bardzo wysoki blondyn i położył na niém plan.

— Gotowe—rzekł.

Inżynier przebiegł oczami karton i nagle zerwał się zaczerwieniony.

— Cielęta paść, nie plany kopiować!—krzyknął.

Poczém schwycił papiér i szybko podszedł do biurka Aromackiego.

— Masz pan transmisyę dla Bruchów! Miała być na jutro, zależało firmie, żeby nam nic nie mogli zarzucić i oto jest! Ja nie biorę na siebie odpowiedzialności, bo nie chciałem takiéj roboty dawać panu Cimaszce.

Roześmiał się i zwrócił do kolegów.

— Na boku planu nabazgrałem sobie parę trójkątów i on też, aby to jedno przekopiował ze ścisłą dokładnością!

Wszystkie oczy były teraz skierowane na szefa i wszystkich usta uśmiéchały się złośliwie, Aromacki zaś przejrzał rysunek, poczém widocznie zmieszany zwrócił się do kopisty.

— Plan jest zły i pomimo najlepszych chęci...

— Plan jest tylko kopią tego, co mi dał inżynier Matelski. Nie odpowiadam za niedokładności tych panów — odparł śmiało kopista i mrugającemi oczami wodził po twarzach zebranych.

— Może dla pana jest dobry, nie pójdzie wszakże na pański rachunek, chyba że się na to zgodzi pan Rotte.

Aromacki mówił spokojnie, ale było znać, że się hamuje. Poczém chybiony plan oddał innemu kopiście, w biurze znowu zapanowało milczenie i trwało póty, póki z niego szef nie wyszedł.

Teraz fizyognomia sali technicznéj poczęła się zmieniać. Ten i ów zapalił papiérosa i zabrał się do studyowania kuryera wyjętego z kieszeni, inni rozmawiali rysując, albo też siedząc bezczynnie z rękami głęboko wsuniętemi w kieszenie, jakby na znak, że je nie prędko myślą stamtąd wydobyć; inżynier Galewicz zaś wyjął z szuflady czapkę, jakby dla sprawdzenia rzucił okiem na cylinder spoczywający na biurku i wyszedł. Nie przerywali zajęcia tylko kopiści i pomocnik Rańkowski, którego biurko sąsiadowało z biurkiem Znamienieckiego i Krępica.

— Pan nie odpoczywasz?—zwrócił się do niego Krępic i podał mu papiérośnicę.

Zapalali obydwaj, poczém stary inżynier rzekł:

— Ja, widzisz pan, uważam, że kiedy za robotę płacą, to za płacę trzeba naodwrót dawać robotę, tylko, naturalnie, pan nie potrzebujesz się stosować do takich przedawnionych przesądów, bo źlebyś na tém wyszedł.

Skrzywił usta i po krótkiém milczeniu mówił daléj:

— Ot, wzoruj się pan na Galewiczu. Siedzi na rogu w cukierni, ale ponieważ cylinder na biurku jest i świadczy o obecności swego właściciela w fabryce, więc mu wczoraj podnieśli pensyę do stu rubli.

Umilkł, gdyż zbliżył się do nich Matelski i siadłszy na wprost starego, rzekł zniżonym głosem:

— Takie tchórzostwo to podłość, do której nie wiadomo właściwie, po co my ręki przykładamy.

— A któż wam każe przykładać? — mruknął Rańkowski i z papiérosem w ustach rysował dalej.

Matelski coś jeszcze mówił, lecz zupełnie cicho, a Krępic przyglądał się staremu z uwagą, poczém pochylił się nad rajzbretem i myślał, że jednak to jest głowa charakterystyczna.

Wąskie i mocno zaciśnięte usta mówiły, że ich właściciel umié być upartym i zaciętym, wysokie czoło, choć pokryte mnóstwem zmarszczek, znamionowało człowieka dumnego, a niebieskie oczy miały taki wyraz, jaki mają oczy jagnięcia, albo czasem dziecka.

O drugiéj biuro się opróżniło, wszyscy poszli na obiad, wrócili, aby znowu siedziéć do szóstéj, lub nawet do siódméj i tak było codzień.

Ten zégarkowy tryb życia był Zygmuntowi trochę przykrym z tego głównie powodu, że już o ósméj rano trzeba było być w biurze. Jednak nie przyznawał się do tego, bo mu było trochę wstyd Krępica, który, choć niezupełnie zachwycony otoczeniem, był wielce zadowolony ze swoich dziewięciu godzin pracy i sześćdziesięciu rubli miesięcznie.

Zamieszkali razem w dwóch dużych pokojach, na trzeciém piętrze przy ulicy Marszałkowskiéj, nie bywali nigdzie, bo nie mieli ani ochoty, ani czasu, czytali dużo i coraz więcéj się sprzeczali.

— Wspaniałe życie!—zaczynał zawsze Zygmunt, ile razy wrócili z fabryki i zmęczeni pokładli się na łóżka.

A Krępic się uśmiéchał.

— Dla mnie tak, bo wiele więcéj się nie spodziéwałem.

Lecz ten spokój wyprowadzał tamtego z granic cierpliwości.

— Naturalnie! widzę!—wołał.—Inni filistrzeją dopiéro wtedy, gdy mają krocie, twoje potrzeby są mniéj rozwinięte, więc zfilistrzałeś przy sześćdziesięciu rublach miesięcznie. Powinszować!

Tymczasem od kolegów przychodziły listy, także nie bardzo różowe.

Kubacki dostał zajęcie mechanika w przędzalni Naftala dziadzi w Zawierciu, był cały przejęty badaniem miejscowych stosunków i oburzony na brak urodziwych niewiast.

Dembosz, jako pomocnik chemika, praktykował za dwadzieścia pięć rubli miesięcznie w cukrowni Koniłówka w Lubelskiém i twierdził, że mu język mchem porasta, bo nie ma do kogo gęby otworzyć.

Naftal pojechał zagranicę kształcić się na farbiarza, chodził do konserwatoryum i jeszcze nie opuścił żadnego koncertu, a wszyscy razem zgadzali się na jedno, że zadroszczą Katonowi i romantykowi Warszawy, że im żal instytutu, że tęsknią do porządnego wygadania się z porządnymi ludźmi i że życie jest stanowczo głupsze, niż myśleli.

Wakowicz umieścił się w warsztatach kolejowych na drodze Dąbrowskiéj i ze wszystkich on jeden był zadowolony. Donosił, że na pewno zrobi karyerę i że ma przed sobą wielką przyszłość, ale mu nie wierzono.

— Takiemu najlepiéj! — roześmiał się Zygmunt. — Do saméj śmierci będą mu wystarczały złudzenia i czegóż chcieć więcéj?

Tego dnia trochę się spóźnili do fabryki. Gdy weszli, zastali w sali technicznéj ruch i gwar niezwykły. Tylko jedeń Rańkowski siedział na swojém miejscu, wszyscy inni stali, a Galewicz wołał podniesionym głosem:

— Zdaje mi się, panie dyrektorze, że ten dowód wystarczy. Zresztą, ja go sam w pakuję do kozy!

Krępic zbliżył się szybko do Rańkowskiego.

— Co tu się stało?—zapytał.

— Cimaszko ściągnął Galewiczowi pięć rubli.

— To on taki ptaszek? I jakim sposobem?

A Rańkowski uśmiéchnął się szydersko i począł mówić zniżonym głosem:

— On jest ptaszek w najlepszym gatunku, ale nie dawał się wygryść. Otóż Galewicz naznaczył sobie pięć rubli i umyślnie podrzucił na swojém biurku, a gdy ryba złapała robaka, narobił gwałtu i przy Cimaszce znaleźli te same pięć rubli.

Krępic popatrzył uważnie w oczy Rańkowskiego.

— Skąd on ten Cimaszko?

— A kto go wié! Podobno syn woźnego z Siedlec. Ktoś go tu Rotte'mu wsadził i teraz go trzymają dla miłego spokoju.

— No, chyba dłużéj trzymać nie będą. Kopista niedbały, już uważałem że arogant, obecnie wydało się, że złodziéj, a to chyba dość powodów do wydalenia.

Rańkowski znowu się uśmiechnął szydersko.

— Eh! co znowu... dla miłego spokoju, Galewicz mu daruje, jak go Rotte poprosi.

I rzeczywiście zgadł stary inżynier.

Nazajutrz poproszono Galewicza przed oblicze fabrykanta, a gdy wrócił do sali technicznéj miał minę zupełnie nieszczęśliwą.

— No i cóż, wyrzuci Cimaszkę?—posypały się zapytania.

— A jakże! Całą godzinę mi gadał, żeby skandalu nie rozmazywać, że go tém ujmę osobiście i że ten łotr tylko z biédy ukradł. Potém urządził efektowną scenę przeprosin i, jak Boga kocham, ten gałgan to wspaniały aktor! Prawdziwemi łzami płakał, powiadam panom... sam widziałem.

Ale tu Matelski zbliżył się i rzekł:

— To nam wszystko jedno. Wyrzucą go czy nie?

— Obiecuje, ale jeszcze nie teraz... może od kwartału.

W sali zaległo milczenie, tylko Rańkowski śmiał się cicho. Ale po chwili Krępic się podniósł i stanąwszy przed Galewiczem, zapytał:

— Czy pan nie będziesz szukał sprawiedliwości na drodze sądowéj?

— Właśnie obiecałem panu Rotte'mu, że nie. Myślałem, że za to może go wyrzuci, a tymczasem widzę, żem się złapał.

— I my skutkiem tego będziemy go znowu musieli cierpiéć — wybuchnął Matelski. — Właściwie, po coś pan urządzał ten cały kawał?

— Jakto po co? Zdawało się, że przecie złodzieja nie będzie trzymał przez dobre serce.

— Tak, ale z tém wszystkiém, my możemy zmusić fabrykę, żeby wyrzuciła kopistę, który nie zna roboty i kradnie—rzekł Krępic. — Ja sądzę, że to nawet jest naszym obowiązkiem.

— Podajmy prośbę i w razie odmowy, zażądajmy wszyscy uwolnienia—dodał Znamieniecki.

A Rańkowski także się zbliżył.

— Ja to już dawno radziłem i radzę.

Inżynierowie spojrzeli po sobie, chwilę była cisza taka, jak kiedy ziarno kiełkuje, wreszcie Galewicz rzekł:

— A jak przyjmie nasze uwolnienia?

— To pan poszukasz sobie innego miejsca i prawdopodobnie znajdziesz. Nigdy biéda nie doje tym, którzy tak bardzo umieją o sobie pamiętać.

Krępic powiedział to takim tonem, że Galewicz oblał się krwią.

— Dobrze panu mówić, jak masz plecy!—wybuchnął.

A Krępic popatrzył mu prosto w twarz i zapytał:

— Czy inżynier Rańkowski ma także plecy?

Tamten się zmieszał, Znamieniecki zaś począł teraz przemawiać pojednawczo i po chwili, zupełnie niespodziéwanie nastąpiło porozumienie.

Pan Rotte odebrał nazajutrz papiér, z którego się dowiedział, że należało mu wybiérać między całym personelem techników i kopistą Cimaszką. Podpisu nie dał tylko pan dyrektor Aromacki.

Obadwaj przyjaciele opuścili tego dnia biuro w doskonałych humorach. Poraz pierwszy porozumieli się z kolegami biurowemi, do których już nieraz próbowali się zbliżyć i zawsze napróżno. Z początku zdawało się im, że to nie będzie rzeczą trudną. Zygmunt miał jakby talizman na zdobywanie ludzkich sympatyi, Krępic zrażał trochę powściągliwością, ale mimo swéj woli wzbudzał zaufanie, więc na razie pogarnęli się do nich wszyscy. Ale bardzo prędko nastąpiło to, co można zauważyć, gdy przysuniemy do siebie dwa różnéj wielkości ciała, dwiema różnemi elektrycznościami naładowane. Po wypowiedzeniu sobie wszystkiego, przyszło wyładowanie, a następnie odskok, taki odskok zaś pozostawia zawsze w pewném od siebie oddaleniu ludzi, których duszom brak jednéj, wspólnéj struny zbliżonych ideałów. Ideały Krępica i Znamienieckiego były jeszcze skrzydlate młodością, niezwarzone cierpieniem i tak świéże, jak jest świéżą rosa na kwiecie, ideały zaś ich biurowych kolegów zdążyły skurczéć, spraktycznieć i przykroić się do warunków. Zupełne porozumienie między nimi było o tyle możliwém, o ile może się porozumiéć tatrzański orzeł ze skrzętną kokoszką.

Przyjaciele to rozumieli, Zygmunt często wołał — karyerowicze, próżniaki, bydło! Krępic mu nie przeczył i oto teraz mieli niespodziankę.

— Matelski to porządny człowiek, Rańkowski tém bardziéj — zgodzili się obadwaj i jeden nucił pod nosem, a drugi pogwizdywał.

W domu zastali list od Łamkowskiego.

— Dziś sobota u Łamkowskich, zapraszają nas — rzekł Zygmunt.

— Skąd-że to?—zdziwił się Krępic.—Znają nasz adres?

— Naturalnie, bo ja przed paru dniami spotkałem wuja, nasłuchałem się mnóstwa wymówek, musiałem mu przyrzec, że przyjdziemy, bo tak chce panna Maniusia, no, i dla pewności wziął mój adres.

— Więc tam panna Maniusia jest naprawdę autorytetem! Idziesz?

— Nie idziesz, tylko idziemy. Poznamy moc specyalistów od przecinania węzła, pobawimy się z niewiastami i kwita. Ja iść muszę, a bez ciebie nie pójdę.

Więc poszli obadwaj, a gdy już odbyli podróż po salonie i zostali przedstawieni damom, zatrzymali się we drzwiach, prowadzących do gabinetu gospodarza domu.

— Moc niewiast—rzekł Zygmunt—i wszyscy nam się przyglądają, więc musieliśmy zrobić wrażenie.

Krępic wzruszył ramionami, a w téj saméj chwili podszedł do nich senator i podbiegła panna Maniusia. Była w jakiéjś mglistéj, różowéj sukience, całéj usianéj czarnemi motylami i sama wyglądała jak motyl.

— Nie byłabym nigdy darowała, gdybyście panowie nie przyszli!—wołała, błyskając oczami —Będziemy tańczyli dzisiaj i ja panów zabiéram z sobą.

— Ależ czekaj! — rzekł Łamkowski — niechże ich wpierw wezmę do gabinetu i poznam z mężczyznami. Co chcecie, znajdziecie!

Panna Maniusia się nachmurzyła.

— A jakże! będą bawili panów, a ja się będę nudziła! Jak tatko chce koniecznie, to się potargujmy. Dla nas pan Zygmunt, dla gabinetu pan Krępic i to na krótko, proszę pamiętać!

Odeszła ze Znamienieckim, Krępic zaś poszedł za Łamkowskim.

Kilku dziennikarzy, dwóch poetów, jeden przyrodnik, oraz paru przedstawicieli rodu i finansów, otaczało tu okrągły stolik i siedząc lub stojąc rozmawiało bez ożywienia. Dotykano polityki, poruszano przyszłe wyścigi i kwestye społeczne, a gdy gospodarz przedstawiał młodego inżyniera, omawiano właśnie drożyznę mieszkań i wadliwą budowę domów.

— Gdybym tylko mógł kiedy postawić dom dla siebie — mówił jeden z dziennikarzy—przedewszystkiém wyrzuciłbym z planu suteryny i suteryniarzy.

A Krępic usłyszawszy to, zbliżył się i zaraz zauważył — że to jest zdanie bardzo trafne i słuszne, że suteryny są zabytkiem barbarzyńskim, godnym czasów średniowiecznych i że społeczeństwo powinno już pomyśléć o stawianiu mieszkań, wyjątkowo dla warstw uboższych.

— Suteryny — mówił — są istnym rozsadnikiem chorób nie tylko fizycznych. Chcąc się o tém przekonać, dość zobaczyć te nory i sprawdzić ile rodzin w każdéj się mieści.

Spojrzano na niego z wielką uwagą, a dziennikarz który marzył o postawieniu domu dla siebie i suteryny uważał za zło o tyle, o ile ich nieletni mieszkańcy wylegający z wiosną na podwórze, przeszkadzali mu w pracy, chwilę pomyślał i odparł.

— W zasadzie masz pan racyę, tylko gdyby nasz robotnik i rzemieślnik nie pił, miałby na własną suterynę.

— O, to z pewnością — poparło go kilka głosów, ale Krępic odparł na to trochę żywo.

— Ten sposób rozumowania jest bardzo przyjemny głównie z tego powodu, że zupełnie uspokaja sumienie mówiącego. Ale tę kwestyę można tak odwrócić! Znośne mieszkanie możeby więcéj ciągnęło robotnika do domu, rozwinęłoby w nim poczucie zwiększonych potrzeb i niejednego powstrzymało od kieliszka.

Te słowa stały się powodem do bardzo ożywionéj dysputy, a tymczasem redaktor jednego z większych dzienników politycznych, zbliżył się do Krępica i odprowadziwszy go w głąb pokoju zapytał:

— Czy pan zna tę kwestyę bliżéj?

Krępic spojrzał mu w oczy uważnie i odparł — że istotnie to go bardzo zajmuje, że pracując w jednéj z większych fabryk, trochę się rozgląda w warunkach, ale że nie wié co pan redaktor rozumié pod „bliższém poznaniem kwestyi."

Wtedy tamten począł z nim chodzić po gabinecie senatora i starał się go objaśnić — że oni, choć ich przezywają zachowawcami, są rzeczywiście więcéj postępowymi od czerwonych gardłaczy, którzy siły swoich mózgów marnują tylko na to, by na białém dopatrzyć czarnego, że kwestya mieszkań robotniczych jest bardzo żywotna i nie była poruszaną już dawno i że on, Krępic, jeśli zechce opracować jaki artykulik w tym guście, to znajdzie łamy ich dziennika otwarte.

— A czy pan przypuszczasz, że taki artykuł mógłby zachęcić przedsiębiorców? — zapytał Krępic bardzo zajęty.

Ale tu redaktor wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem, to mię nie obchodzi, to już są dalsze konsekwencye, które późniéj mogłyby być nawet tematem do niezłéj polemiki. Dla nas najważniejsze to, że kwestya jest żywotną. My zawsze jesteśmy gotowi myśléć o tém, co społeczeństwu najwięcéj dolega i dla tego bylibyśmy panu bardzo wdzięczni — byle jak najwięcéj danych statystycznych—dla publiczności cyfry to grunt—to wzbudza zaufanie do artykułu, bardzo, bardzo kwestya na czasie.

Mówił tak jeszcze długo i zaprosił Krępica na swoje czwartki, na których bardzo chętnie widywał młode i świéże siły, poczém wrócili do towarzystwa, które już zgodnie przetrawiło suteryny i teraz się karmiło estetyką.

Młody student z *pince-nez* na nosie wołał:

— Więc pan uważasz, że tendencya psuje utwór literacki?

— Bezwarunkowo — odparł z przekonaniem szczupły człowieczek, z twarzą bez zarostu i ruchami z czasów Marivaux'a. — My kry-

tycy żądamy, by autorowie przedstawiali nam życie takiém, jakiém ono jest rzeczywiście. Sztuka nie może być sługą też, od tego są traktaty.

— Ale zważywszy, że traktatów nie czyta szersza publiczność? —upiérał się młodzieniec, który miał moralne przekonanie, że jego stanowisko społeczne nakazuje mu być w opozycyi.

— Więc dla tego ma miéć zepsuty smak? — zapytał krytyk. — Zadaniem beletrystów i poetów jest kształcić smak, zadaniem krytyków zaś czuwać, by wymogom estetyki stawało się zadość!

— A jednak Dickens zreformował sądownictwo i system szkolny w Anglii! Czy to mu należy zaliczyć do *passiv*'ów?

— Oh! Dickens... my mamy bliższe wzory do naśladowania. Mamy Mickiewiczów i Krasińskich...

— Jakto,—zdziwił się teraz Krępic — pan chce dowiéść, że Mickiewicz pisał bez tendencyi i porywał tłumy tylko formą? Ja bym sądził, że publiczność istotnie wymaga od poezyi i beletrystyki czegoś więcéj niż wiernéj fotografii życia. Jeżeli społeczeństwo żyje w takich warunkach, że jego dążenia i aspiracye nie mają żadnego ujścia i jeżeli, nigdzie nie słysząc o ideałach, pragnie się z niemi spotkać bodaj w książce, to dla niego estetyczna forma chyba nie wystarczy.

W gabinecie zrobiło się cicho. Parę osób spojrzało na Krępica jakby z obawą i wyszło, ale krytyk uśmiéchnął się pobłażliwie i po chwili rzekł:

— Znać, że panowie jesteście bardzo młodzi. Publiczność nie ma żadnych aspiracyi tego rodzaju, to jest tłum, a psychologia tłumu jest bardzo zbliżona do psychologii stada owiec. Jeżeli jedna, popchnięta, albo nastraszona zdecyduje się iść w prawo, całe stado pójdzie w prawo. Bodźcem dla téj jednéj owcy z tłumu publiczności jest krytyka i dla tego literaci słusznie piszą nie dla tłumu, lecz dla krytyki.

— Trochę to nieścisłe — odezwał się na to przyrodnik, posiadający długi, czarny tużurek i długą równie czarną brodę.—Wy wszyscy piszecie przedewszystkiém dla samych siebie, a dopiéro potém dla reszty z konfraterni literackiéj. Publiczność to kłopot wydawców. Wy, stworzyliście sobie królestwo w królestwie, jak masło na słońcu rozpływacie się z rozkoszy, gdy czytacie hymny, które dla was piszą ludzie z tego samego obozu i chorujecie na żółtaczkę, gdy po was jeżdżą ludzie z obozów odmiennych—i na odwrót. To jest zresztą sposób bardzo sympatyczny, bo wytwarza miłą równowagę, która czasami spowodowywa śmierć talentu z niestrawności, ale częściéj do olbrzymich rozmiarów nadyma gazem wzajemnéj adoracyi balony, które podziwia tłum, nic się niedomyślający, co siedzi w balonie.

Przyrodnik pogłaskał się po brodzie, bo lubił gdy go słuchano i zupełnie zadowolony dodał:

— Zresztą, co do stada owiec nie oponuję.

Wszyscy obecni nie wyłączając literatów poczęli się śmiać, a przedstawiciel sztuki wierszowanéj, z okrągłości głowy, rąk i całéj figurki podobny do kombinacyi z kłębuszków, zawołał:

— Fe, profesorze, po co się irytować za to, że was nikt nie czyta — nawet literaci?

— Nie czytacie, bo nie rozumiécie — odparł profesor i poszedł grać w winta.

Towarzystwo jeszcze się chwilę z niego śmiało, potém zaczęło rozmawiać o polityce i Krępic doszedł do przekonania, że zasada któréj się powinny trzymać szklane naczynia, skazane na wspólny żywot z żelaznemi garnkami, nie jest wzięta w monopol przez Zygmuntowego ojca.

Opowiadano sobie nowiny głośno, lub półgłosem, poczém się zgodzono z bezwzględną jednomyślnością — że głupotą jest szczerzyć zęby i szczekać, jeśli się nie ma siły ugryźć i że cała nadzieja w tém, iż młodzież jeszcze niezupełnie zepsuta i że jéj coraz mniéj daje się porywać wstecznym prądom.

Krępica wzięła wtedy chęć rzucić pytanie, co w obecnych warunkach nazywa się prądem wstecznym, ale się powstrzymał i wrócił do salonu.

Właśnie tańczono mazura, a Zygmunt prowadził jakąś młodą osobę w jasno popielatéj sukni i pannę Maniusię. Młoda osoba była prawie tak wysoka jak Znamieniecki, miała ciemne włosy gładko zaczesane, oczy podłużne, z wyrazem bardzo poważnym i odbijała trochę dziwnie nie tylko od swéj sąsiadki, ale od całego tła salonu.

A panna Maniusia zobaczywszy Krępica, pociągnęła tamtych i stając przed nim zapytała:

— Kwiat, czy gwiazda?

— Chciałbym miéć i jedno i drugie — odparł z ukłonem—ale że nie tańczę, muszę być pozbawiony i ozdoby życia i jego światła.

Zygmunt się roześmiał.

— A co! nie chciała pani wierzyć, ale on jest Katonem i nie tylko piękne oczy, lecz bramy piekielne go nie przemogą.

— Szkaradny pan jesteś! — nachmurzyła się panienka - motyl, a gdy odeszli zapytała:

— I to naprawdę pański przyjaciel od serca?

— Tak pani.

— To i pan powinieneś uciekać od kobiet.

— Dlaczego?

— Przez przyjaźń.

— Alboż ja powiedziałem, że Kato ucieka od kobiét? On nawet jest feministą.

— Cóż to znaczy?

— Że jest wielkim przyjacielem niewiast.

Teraz, młoda osóbka w popielatéj sukni dostała się jako gwiazda w chwilowe posiadanie studenta w *pince-nez*, a panna Maniusia znowu się zwróciła do Zygmunta.

— I panowie nigdy się nie różnicie w zdaniach?

— I owszem, ja byłem dotąd wrogiem świata niewieściego.

— Cóż to znaczy, owo „dotąd" i owo „byłem"?

— To znaczy, że zaczynam się zmieniać i że od czasu pewnéj wizyty w Kamionce, dałbym wiele, by być przyjacielem — jednéj kobiety.

Zygmunt mówił wesoło i lekko, tylko jego oczy miały swój zwykły wyraz. Panna Maniusia odwróciła głowę, wszakże po chwili znowu na niego spojrzała.

— Czy pan mówi o Emilci Olchowiczównie? — zapytała żartobliwie.

— Nie — odparł swobodnie, ale głęboko spojrzał jéj w oczy.

Teraz dziewczyna zaczerwieniła się jak mak polny, zadrżała i doznała uczucia jak gdyby przez nią przebiegł prąd elektryczny.

Poprowadził ją do kanapki, a gdy usiedli, ona znowu zapytała:

— Czy pan myślisz, że to tak łatwo zdobyć, albo ofiarować przyjaźń?

— Wiem że nie łatwo, przecież powiedziałem, — „dałbym wiele."

— Wiele... czasem się daje wszystko i nie ma się nic wzamian.

— Wszystko, za przyjaźń? To lichy targ panno Maryo.

Żartowali daléj, przyczém oczy Zygmunta błyszczały niezwykle, oczy jego towarzyszki coraz częściéj się nakrywały rzęsami, a Krępic to patrzył na nich, to się przyglądał parom przebiegającym salon, to słuchał przelotnych rozmów tych, które się zatrzymywały przy nim.

— Nie mamy typów trzeźwych — mówił do młodéj osóbki w popielatéj sukni student w *pince-nez*. — Pierwszy Sienkiewicz zrobił początek i dał nam przecie Połanieckiego, za którego mu się słusznie należy wdzięczność całego społeczeństwa. Płoszowski, to przedstawiciel generacyi, która szczęśliwie schodzi z pola — Połaniecki to typ przyszłości, który zostanie skrystalizowany w nas, młodych.

— A jabym sądziła, że pan źle zrozumiał Połanieckiego — odezwała się jego towarzyszka. — Byłoby smutno, gdyby młodzież przyszłości była tak wygodnie praktyczną i gdyby w Maryniach Pławickich widziała tylko tę dobrą stronę, że są „bardzo pewne" jako żony.

Odeszli oboje, lecz poważna dama zagłębiona w fotelu przy drzwiach, przeprowadziła ich pogardliwym wzrokiem i rzekła do obok siedzącéj towarzyszki:

— Powaryowali z tym Sienkiewiczem—tylko o tém mówią—ale młodzi muszą miéć na wszystko modę. Taki Płoszowski niby się to kochał, niby się miał oświadczyć, w końcu się nie oświadczył, nie ożenił,—panna byłaby głupia czekać—i czego chciał, to tylko wié jeden Sienkiewicz, chociaż, jabym nie dała trzech groszy, że i on nie wié... Wolałam ja dawniejsze powieści!

Krępic mimowoli się uśmiéchnął, ale potém znowu popadł w smutną zadumę. Pomimo gwaru i niekłamanéj wesołości, która zdawała się wypełniać salon po brzegi, a właściwie wskutek gwaru i wesołości, jemu było nieswojo i samotnie.

Rozdźwięku między bodaj chwilowym, własnym nastrojem i chwilowym nastrojem otoczenia, młode dusze nie są w stanie analizować spokojnie. Odczuwają go tak silnie, że o ile są wtedy skłonni do uogólniania wniosków i faktów, o tyle zupełnie zatracają zdolność do bezstronnego zastanawiania się nad ich przyczyną.

Krępic w gabinecie senatora zostawił humor, który był wyniósł dzisiaj z biura, a teraz patrząc na postrojone kobiety, myślał o matce i mówił:

— Lalki!

— Optymistą go nazywali w instytucie i kto wié, czy nie mieli racyi. Może naprawdę większość ludzi jest bezduszna, głupia, albo znikczemniała? Może naprawdę walka z tą głupotą i znikczemnieniem będzie nie ciężka, lecz wprost niemożliwa, bo podniesiona przez jednostki odosobnione? Ibsen ufa tylko w siłę takich odosobnionych, wierzy w moc filarów, na których stanie gmach przyszłéj prawdy, ale kto wié, czy wielki mistrz pesymizmu, nie jest waryatem, biédnym don Kichotem—optymistą?

Krępic już oddawna miewał wrażenia, że przed nim, zwolna, wznosi się mur, który go oddziela od jego wielkich ukochań. Ale tu poraz pierwszy uczuł, że ten mur jeszcze wytwarza w koło niego próżnię i że takie uczucie odosobnienia, zamiast potęgować energię, wbrew twierdzeniom ibsenowskiego bohatera osłabia ją, a nawet prawie sprowadza do zera.

Nie lubił się poddawać zniechęceniu, ale obecnie było mu jakoś trudniéj otrząsnąć się z niego.

— Gdyby tak namówić Zygmunta i dać nura?—myślał i począł szukać wzrokiem kolegi.

Lecz nim go odnalazł, spotkał się z oczami, które tkwiły w jego twarzy, badawcze i poważne.

— Aha, to owa przeciwniczka Połanieckiego — przeleciało mu przez głowę.

Tuż obok niéj siedział Zygmunt, a daléj panna Maniusia, więc Krępic się zbliżył i stanął przed nimi.

— Widzę, że się pan nudzi! — zaśmiała się panna Sławska, poczém ruchem głowy wskazując sąsiadkę Zygmunta dodała.

— Ta poważna osoba także się nie zachwyca tańcem, więc powinniście się państwo pocieszać wzajemnie.

— Naprawdę?—zwrócił się zaraz Krępic do właścicielki popielatéj sukni i poważnych oczów.

Uśmiechnęła się, a ten uśmiéch szedł jéj nie tylko z ust, lecz także z oczu i całą jéj twarz rozjaśnił.

— Ależ i owszem, lubię się bawić—odparła — tylko nie zawsze się jest w odpowiedniém usposobieniu.

— To znaczy, że pani wyjątkowo dziś nie jest nastrojona na nutę majorową—zauważył znów Krępic i siadł przy niéj.

W tym samym, trochę żartobliwym tonie rozmawiali jeszcze chwilę, poczém ona urwała i patrząc mu w oczy z jakimś dziwnym wyrazem rzekła:

— Jestem panu serdecznie wdzięczna za Staśka Palczaka.

Był tak zdziwiony, że się cofnął.

— Nie rozumiem... jakim sposobem... skądżeż pani wié o istnieniu Staśka Palczaka?—zaczął wreszcie i patrzył na nią badawczo.

Ona zaś roześmiała się, widocznie ubawiona jego miną.

— O! nie tylko wiem, ale znamy się bardzo dobrze i oddawna. Pierwsza nitka sympatyi zawiązała się między nami w zeszłym roku przez jego małą siostrę, z którą wyjeżdżałam na letnie kolonie.

— Pani wyjeżdżała na letnie kolonie?...

— Jako nauczycielka. W tym roku także pojadę.

Przyglądał jéj się coraz bardziéj zdziwiony.

Skąd w tym salonie wzięła się nauczycielka i do tego taka, która wyjeżdża z dziećmi na kolonie?—myślał.

A ona tymczasem mówiła.

— Stasiek przychodzi do mnie z każdą książką, jaką tylko od pana dostanie i gdybym go nie wypędzała, mógłby godzinami ba-

wić mię opowiadaniem o panu inżynierze. Czy pan zna całą jego rodzinę.

— Nie, tylko ojca. Był dawniéj woźnym w jedném z czasopism, a teraz jest przedsiębiorcą który w naszym domu obsługuje wszystkich osobników męzkich, nie posiadających żon.

Uśmiéchnął się.

— To jest zabawny człowiek. Przez dawne stosunki redakcyjne, dostaje jakimś sposobem dwa tygodniki i czyta je od deski do deski. Niech pani zgadnie jakie?

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a on rzekł:

— „Przegląd tygodniowy" i „Przegląd katolicki." Czasami wyciągamy go z Zygmuntem na dysputę i bawimy się kokosowo! Ah, przepraszam panią.

— Nic nie szkodzi. Znam język studentów, a że pan nie dawno przestał być studentem, więc się wybacza.

Krępic zapomniał o pesymizmie i o Ibsenie i co chwila śmiał się teraz tak szczerze, jak panna Maniusia.

A gdy wrócili do domu, już szary świt zaglądał przez okna.

— Jakże się bawiłeś? — zapytał Zygmunt?

— Z początku byłem zły, ale późniéj bardzo dobrze. Nie wiész jak się nazywa ta panienka w popielatéj sukni?

— Nie wiem.

— Wyobraź sobie jakaś nauczycielka i w dodatku zdaje się bardzo porządna dziewczyna. Zachodziłem w głowę, skąd ona się wzięła w takiém towarzystwie.

— Aha! — mruknął Zygmunt już w łóżku. — Musiałeś się ładnych rzeczy nasłuchać w gabinecie wuja, ale dziś mi się chce spać i w dodatku już wolę sobie nie psuć humoru. Jutro musisz mi opowiedzieć, jak rozwiązywaliście węzeł wuja senatora... tylko nie zapomnij nic...

Krępic byłby wolał wygadać się zaraz. Nie chciało mu się spać, miał w głowie urywki mazura i walców i czasami jak echo wracały do niego słowa nauczycielki: Jestem panu serdecznie wdzięczna...

— Musi być inteligenta i ma serce... Ciekawość, czy doznaje takich zniechęceń jak on... ale zkądże by? Do tego jest potrzebny wzrok daleki i głęboki, marzenia szerokie i—życie. Skąd ona może znać życie? Czy przyjrzała się kiedy z bliska szarym masom, chciwym, zuchwałym, kłębiącym się nienawiścią w ciemnościach nierozjaśnionych ani iskierką światła, ani źdźbłem miłości? Czy jest w stanie pojąć ca-

łą nędzę ludzi, którzy śpią strachem przykryci i dobrze im, bo mają spać na czém albo nicość tych którzy u steru zasiedli i jak w togi tak się owinęli w sztandary, że zasłonili przed sobą i za sobą—wszystko.

Podniósł się, stanął przy oknie i oparłszy czoło o chłodne szkło, stał bez ruchu.

Miasto spało, jego oddech tłumiony nocą dolatywał aż tu, niby daleki szept wodospadu, w górze błękitniał pobladły szmat nieba złotem tkany, światło i gwiazdy bielały.

Krępic zapatrzył się na szare morze dachów i murów i oto, poczęło go nagle zdejmować rozrzewnienie i litość dla téj półmilionowéj masy istnień, która pod témi dachami śpi, niepewna co ją czeka jutro, radość czy cierpienie.

A potém podniósł wzrok w górę. Okrawek nieba począł mu w oczach rosnąć, obejmował coraz szersze przestrzenie, coraz dalsze horyzonty, aż porwał za sobą jego wszystkie myśli i ziemię niemi objął. Teraz chłopak odetchnął i zapatrzony w mleczną przestrzeń uczuł w sobie tyle mocy, że gdyby ten jego świat miał tylko jedną duszę, gdyby on mógł ją przygarnąć do piersi jedném objęciem i tchnąć w nią własnego ducha—niechajby ją wyziębili na sopel lodu... Bodaj ofiarą własnego życia rozgrzałby ją—aż do zdolności kochania!

IV.

— Panowie, przynoszę wam odpowiédź pana Rotte'go!

Szef miał minę sztucznie uroczystą, z kącików jego ust i z każdego zagięcia pomarszczonéj twarzy wyglądał szyderski uśmiéch.

Krępic, Znamieniecki, Rańkowski i Matelski podnieśli się natychmiast i zbliżyli do dyrektora biura. Reszta wstawała ze swych miejsc jakby się ociągając, a pan Aromacki mówił.

— Ci z panów którzy zdążyli się porozumiéć z właścicielem fabryki, pozostają na wiadomych im warunkach. Technicy, pan Krępic i Znamieniecki zechcą łaskawie pofatygować się do kantoru, gdzie na nich pan Rotte czeka. Inżynierowie Rańkowski i Matelski zostali uwolnieni na własne żądanie...

Milczenie. Szef stał na środku sali i patrzył na swych podwładnych, podzielonych na dwie gromadki. Po jednéj stronie Krępic, Znamieniecki, Rańkowski i Matelski, po drugiéj reszta: pierwsi z nieopisaném zdziwieniem na twarzach, drudzy bardzo zmieszani.

— Więc ci panowie, porozumieli się z właścicielem? — zapytał wreszcie Krępic i ruchem głowy wskazał na Galewicza i jego towarzyszy.

— Czy można się dowiedzieć na jakich warunkach, co do osoby pana Cimaszki? — ciągnął daléj, a głos mu drżał hamowaném oburzeniem.

— To pozostawiono do uznania panu Rotte'mu.

— Aaa... tak.

W głosie Krępica była nieopisana pogarda, a szef znowu się szydersko uśmiéchnął, poczém rzekł.

— Nie lubię takich maskarad, bo wiem na czém się zwykle kończą i dla tego mojego podpisu nie dałem. Wszakże bardzo mi przykro, że ci z panów którzy mogą najmniéj ryzykować, zostali wysadzeni z siodła. Pan Matelski ma sześćdziesiąt rubli miesięcznie i o ile wiem utrzymuje matkę, inżynier Rańkowski zaś, posiada bardzo liczną rodzinę... Nierozumiem, jak można o takich rzeczach zapominać.

Tu zwrócił się do Znamienieckiego i Krępica.

— Zdaje mi się, że cała wina leży po stronie panów. Wszelkie zbiorowe protesty były dotąd nieznane w naszéj fabryce. Do panów więc należy skorzystać ze stosunku jaki was łączy z panem Rotte i złe naprawić. Myślę, że ta cała komedya skończy się na niczém, byle pan Znamieniecki zechciał się o to postarać.

Zygmunt był żdziwiony.

— Jakto, komedya? Pan to nazywa komedyą?

— Tak, dla tych panów, te rzeczy nazywają się farsą — przerwał mu Krępic i wyprostowany mierzył wzrokiem Galewicza — tylko, ja z takimi ludźmi kolegować nie będę. Uważam Cimaszkę za mniejszego szubrawca.

Stał chwilę, jakby czekał na odpowiédź, poczém zwrócił się do szefa.

— Jutro pierwszy, więc mam prawo uważać się za uwolnionego od obowiązków.

I wyszedł, a wkrótce potém wyszli Znamieniecki, Rańkowski i Matelski.

— Jeżeli panowie sobie życzycie — rzekł pierwszy — pójdę do Rotte'go i sprobuję pomówić z nim w waszym interesie. Rotte jest kolegą mojego ojca, który kiedyś dał mu kapitał na jego pierwsze przedsiebiorstwo. Myślę, że może mi nie odmówi, zwłaszcza, że roboty w biurze jest dużo, a my z Krępicem ustępujemy.

Tamci milczeli obydwaj, wreszcie Rańkowski zaczął pierwszy.

— Nie dziękuję panu. Nie przewidywałem takiego końca, bo wszyscy razem nie ryzykowaliśmy nic. Dyrektor byłby musiał ustąpić, ale teraz trudno. Słowo się rzekło i jeśli Cimaszko ma pozostać, ja się postaram o inne miejsce. Uśmiechnął się gorzko.

— To może będzie skuteczna nauka dla tamtych. Pan Krępic powiedział im trochę za ostro, ale... oni już widać nie biorą takich rzeczy do serca.

— A ja myślę, że to będzie nauka ze skutkiem wręcz odwrotnym. Dowiedzieli się na cudzéj skórze, jak jest niebezpiecznie żartować z kaprysem pana dyrektora—roześmiał się Znamieniecki i bardzo serdecznie uścisnąwszy ręce obydwóch poszedł do domu.

Lecz ten dzień był widocznie przeznaczony na niespodzianki, gdyż tego samego wieczoru zjawił się w mieszkaniu przyjaciół Galewicz.

Zerwali się obydwaj bardzo zdziwieni, a nieproszony gość chwilę zatrzymał się przy drzwiach, poczém nagle się zbliżył i zaczął mówić, widocznie zmieszany.

— Przepraszam panów... To jest przykre nie tyle dla was, ile dla mnie, ale ponieważ najwięcéj zawiniłem... zresztą mnie szczególnie zależy na tém, byście zmienili zdanie...

Patrzyli na niego zimno i nie prosili siedziéć, on zaś odetchnął i mówił daléj już trochę pewniejszym głosem.

— Po wyjściu panów z biura porozumieliśmy się wszyscy i pomimo protestu pana Aromackiego, udaliśmy się do pana Rotte'go. Tym razem ustąpił. Czy pan zechce teraz cofnąć to, coś nam powiedział w biurze?

— Tak, przepraszam pana — rzekł Krępic i wyciągnął do niego rękę. — Zatém Cimaszkę wyrzucą?

— Wyrzucą.

— A Rańkowski i Matelski?

— Zostają, przecież nam szło głównie o nich.

— No, to szczęśliwie! Siadaj pan.

Ale Galewicz nie chciał siadać. Przyszedł tylko im się wytłómaczyć, oraz zapytać, czy nie mogliby się porozumiéć z Rańkowskim.

— Ja muszę jeszcze być u Matelskiego--kończył. — Przyszły nowe zamówienia i pan Rotte sobie życzy, by jutro nie brakowało nikogo w biurze.

— Dobrze, pójdziemy do Rańkowskiego. Z dobrą nowiną w kieszeni, to nie przykrość! — zawołał Zygmunt i odprowadził Galewicza aż do drzwi.

Potém wrócił. Chwilę patrzyli sobie w oczy, wreszcie uścisnęli się, bo mieli w sercach uczucie zadowolenia i tryumfu.

A gdy przy ulicy Smolnéj zadzwonili do mieszkania starego inżyniera, otworzył im drzwi Matelski.

— Jakto, pan tu? — zdziwił się Zygmunt.

— A tak, razem się pocieszamy.

Ale Krępic począł go potrząsać za rękę bardzo energicznie i mówił wesoło.

— Prawdziwe pocieszenie dopiéro my przynosimy!

Zaraz też w przedpokoju opowiedział mu szczegóły odwiedzin Galewicza a gdy się zjawił Rańkowski zaczął je powtarzać od początku i z równą przyjemnością. Wprowadzono ich do pokoju, który był zdaje się jadalnym, a stary inżynier posadziwszy ich na małéj kanapce, sam chodził przed nimi, zaciérał ręce i mówił:

— To się spisali!.. Anim przypuszczał... ta Winia ma zawsze racyą.

Potém nagle podszedł do drzwi przeciwległych i zaczął wołać:

— Winiu, pójdź no do nas dziecko!

— W téj chwili ojczulku! — odpowiedział głos który wydał się Krępicowi nie obcym.

I zaraz też weszła do pokoju młoda, wysoka osóbka, z ciemnemi włosami zeczesanemi gładko i z podłużnemi oczami indyanki.

Gdy się podnieśli, Rańkowski rzekł:

— Nie przedstawiam panów, bo już się znacie z wieczoru u państwa Łamkowskich.

A panna Winia podała ręku jednemu i drugiemu i uśmiechając się trochę smutno, mówiła:

— Zdaje się, że panowie obydwaj nie wiedzieli kim jestem. Tylko ja byłam panią położenia.

Poczém usiadła, a gdy jeszcze weszła pani Rańkowska, znowu zaczęto rozmawiać o wypadkach biurowych.

— Gdyśmy się tu żółcili na naszych koleżków—kończył opowiadanie gospodarz — Winia ich broniła i okazało się, że miała racyę.

Ale Krępic się żdziwił.

— Pani ich broniła? I na jakiéj zasadzie?

— Ależ nie. Ja tylko twierdziłam, że w każdym człowieku musi być coś dobrego i że nigdy, nikogo nie należy potępiać stanowczo. Teraz témbardziéj będę wierna mojemu przekonaniu.

Gdy weszły i matka i córka zdawały się być bardzo przygnębione, a pani Rańkowska miała nawet powieki jakby napuchnięte od płaczu. Lecz teraz twarze obu rozpromieniły się widocznie, panna

Winia zaś wpadła w tak dobry humor, że ucałowała ojca i zawoławszy — muszę to opowiedzieć dzieciom! — wybiegła.

Matelski przeprowadził ją wzrokiem, a Krępic ten wzrok pochwycił i dojrzał w nim uwielbienie.

— No, a teraz kiedy już wszystko w porządku, — mówił tymczasem stary inżynier — nie puszczę panów i przegawędzimy sobie cały wieczór. Mamusia niech się dla nas wystara o herbatę.

Poczém zwrócił się do młodych i ciągnął daléj.

— My bo się nie bardzo bawimy w gości, ale jeśli kto łaskaw, bardzo jesteśmy wdzięczni i radzi. Salonów jak panowie widzicie nie mamy, bo matka i Winia twierdzą, że lepiéj mieć wygodny kącik dla siebie, niż salon, który się używa raz na miesiąc i próżno miejsce zajmuje. Może i mają racyę.

— Wielką! — poparł gospodarza Matelski.

— Lecz panna Winia wróciła, a gdy usiadła, rozmowa przybrała inny kierunek.

— Czy prawda — zapytała — że firma Rotte'go, będzie miała reprezentacyę w Odesie?

— Prawda — rzekł Rańkowski — i nawet w fabryce już szeptali o domniemanym reprezentancie.

Spojrzał na Znamienieckiego, a Krępic to spostrzegł i zapytał zdziwiony.

— Czy pan mówi o Zygmuncie?

— Tak, wszyscy przypuszczają, że Rotte nie odmówi panu Znamienieckiemu, co nawiasem mówiąc, nie byłoby złym wyborem.

Ale Zygmunt wzruszył ramionami.

— Nie mam zamiaru stawiać kandydatury i nie przyjąłbym reprezentacyi, nawet gdyby pan Rotte ofiarował mi ją własnoręcznie, czy też własnoustnie. Przyzwyczaiłem się do Warszawy.

Rańkowski przyglądał mu się z zajęciem.

— No, — rzekł wolno — pan Rotte jeszcze nigdy nic i nikomu nie ofiarowywał sam — zanadto lubi być proszonym, ale ostatecznie, taka reprezentacya warta trudu. Ze swojemi zdolnościami i towarzyskiemi zaletami, nie tylko pan byś rozwinął interes, ale sam zrobiłbyś majątek w przeciągu kilku lat.

Krępic popatrzył na przyjaciela.

— On nie bardzo potrzebuje robić majątku, bo o tém myśli jego ojciec, a prosić nie umié.

Rańkowski na to pokręcił głową.

— No, jeśli panowie obydwaj trzymacie się téj zasady, to nie daleko zajedziecie.

— Dlaczego? W każdym interesie cenią zdolność i pracę i nam podnieśli na Nowy rok pensye, choć nie prosiliśmy.

— A wiem, wiem i dziwię się, bo u nas tego dotąd nie bywało.

Stary pomocnik inżyniera patrzył na Krępica z życzliwym uśmiéchem, a panna Winia zapytała:

— Któż wobec tego dostanie reprezentacyę?

— Prawdopodobnie Galewicz. Jest próżniak i lekkoduch, ale zdolny, umié chodzić koło swoich interesów i z pewnością teraz pochodzi. Nie wiadomo tylko, jak na tém wyjdzie firma.

— A pan postawisz kandydaturę? — zapytał nagle Krępic.

— Nie.

— Dlaczego?

— A dlaczego pan nie stawiasz swojéj?

— Ja? Dlaczegóż ja mam stawiać? Jestem dopiéro pół roku w fabryce, nie mam protekcyi, więc i szans żadnych i prócz tego...

— Nie umiem prosić — dodał za niego Rańkowski. — Czy pan naprawdę przypuszczasz, że prócz ciebie i pana Znamienieckiego, nikt więcéj nie posiada pewnych właściwości charakteru i — pewnych uprzedzeń?

Skrzywił usta tém właściwém mu skrzywieniem, które nadawało jego twarzy wyraz równocześnie szyderski i smutny.

— Ja siedzę w fabryce dwadzieścia lat i mam siedmdziesiąt rubli miesięcznie. Orzeł ze mnie nie jest, to prawda, całe życie się kuło, ale pracę się dawało, jak się mogło. Ano, w zeszłym roku Stelski et Com. chcieli mię wysłać także, lecz zawiązałem los i sobie i dzieciom, bom głupi!

Krępic nie spuszczał z niego oczu.

— I czemu, czemu pan nie przyjąłeś? — zapytał szybko, prawie gorączkowo.

— Czemu? A no — ja chciałem, bo już mam po grdykę biédy i swojéj i pędraków — tylko, u nas na nieszczęście baby rządzą. Moja żona,—tu ruchem głowy wskazał na panią Rańkowską, która z pomocą podlotka w mundurku nakrywała stół do herbaty—otóż kobieta na nos utyka od roboty, bo to jeszcze ma czterech chłopaków, ale jak przyszło co do czego, stanęła jak mur. A ta gęś — tu wskazał ręką na pannę Winię, która już nie słuchała co jéj mówił Matelski i miała mgłę na oczach—dawaj w płacz, w prośby i w przyrzeczenia, że sama na wpisy chłopaków zarobi. Cóż mógł na to poradzić, taki stary niedołęga jak ja?... Tak, tak, drodzy panowie, zaszlibyśmy

nieraz daleko, dalej niż myślimy, tylko na gorszą biédę, kobiety mamy uparte, jak ten pérz na ugorze. Depcz po tém, orz pługiem i bronami włócz, a to precz zielone pióra puszcza i tak puszczać będzie, da Bóg, zawsze.

Zatrzymał wzrok na ciemnéj głowie córki, a było w tym wzroku tyle dumy i prawie pychy, ile zazwyczaj mieściło się w nim gołębiéj poczciwości. Lecz pani Rańkowska poprosiła na herbatę, ukazało się téż czterech chłopców w szkolnych bluzach, z których najstarszy mógł mieć pietnaście lat, a najmłodszy z dziesięć i wszyscy zasiedli przy stole.

Krępic miał miejsce przy pannie Wini, był czegoś ogromnie rozradowany i co chwila zamienial błyszczące spojrzenie z Zygmuntem, który w tym jasnym lecz skromnym pokoju, obok chłopaków z rozwichrzonemi czuprynami, Rańkowskiego i nazbyt wybujałéj postaci biurowego kolegi, wyglądał jak królewicz z bajki.

Panna Winia to zauważyła.

— Nasłuchałam się wiele o urodzie pana Znamienieckiego — rzekła do Krępica — na balu wydał mi się trochę szablonowym, ale teraz widzę, że to jest rzeczywiście twarz niezwykła i wprost przepiękna.

— Miał taką piękną matkę — odparł Krępic, poczém jeszcze zapytał.—Czy pani to wszystko słyszała od panny Sławskiéj?

— Tak.

I uśmiéchnęła się.

— Panie się często widują? Skąd ta znajomość?

— Niezupełnie w naszym to stylu, prawda?

— Nie wiem jak mię pani zrozumiała, ale jeśli dobrze, to prawda.

— I owszem zrozumiałam, tylko pan się trochę myli. To bardzo dobre dziecko, to materyał z którego odpowiednie warunki mogłyby zrobić coś poczciwego. Już od paru lat daję jéj lekcye muzyki, a teraz—wiész pan czego?

Patrzył na nią pytającym wzrokiem, więc zaraz dodała.

— Historyi i nauk społecznych.

— Skądże taki kaprys?

— Otóż właśnie pan się myli, bo nie kaprys. Nie zawsze rozumié pana Znamienieckiego i przyszła do przekonania, że za pomocą tych kluczy zrozumié go lepiéj.

Krępic się zamyślił i po chwili rzekł:

— Więc to aż tak seryo? Szkoda!

— Czemu szkoda?—spytała panna Winia.—Ona ma ze dwakroć posagu po ojcu, a będzie miała jeszcze ze dwa razy tyle, bo pan Łamkowski zapisze jéj wszystko. I matka i ojczym ubóstwiają to dziecko.

— Zdążyłem to zauważyć, ale nie przypuszczałem, żeby pani była taką materyalistką.

Powiedział to żartem, lecz ona się zarumieniła i poczęła tłómaczyć, a on na to rzekł poważnie:

— Wyraziłem się — szkoda, bo mam wątpliwość co do Zygmunta. Jest na tym punkcie szczególnie egzaltowany. Doznawał w życiu niewiele serca, własnych uczuć nie rozpraszał i twierdzi, że żona musi mu to wszystko wynagrodzić. Nie ożeni się bez gwałtownéj skłonności, na którą czeka aż przyjdzie sama i do któréj, przypuszczam, będzie zdolny.

Teraz zamyśliła się panna Winia, popatrzyła na pana Znamienieckiego i rzekła:

— Szkoda!

Ten wieczór przeleciał wszystkim jak na skrzydłach i wszystkim zdaje się, pozostawił miłe wrażenia.

— Jeżeli kiedy czas się będzie dłużył, prosimy bardzo — rzekła przy pożegnaniu Rańkowska.

Jéj mąż zaś dodał:

— No, już drogę panowie znacie... ale, może was trzeba re-wizy-tować, bo to wy na te formy zwracacie uwagę.

Lecz Znamieniecki potrząsnął głową.

— Nie zwracamy i nie będziemy zwracali, tylko byłoby nam bardzo przyjemnie mieć pana u siebie.

— O tak, bardzo!—poparł przyjaciela Krępic.—A my tu będziemy zaglądali jak do zdroju, z którego się czerpie wiarę i odwagę.

Na co panna Winia się uśmiechnęła i podając mu rękę, rzekła pół seryo, pół żartem:

— Proszę przychodzić, ile razy będzie panu smutno.

— O, w takim razie gotów jestem pragnąć częstych smutków!

— Nie, tego pan nie pragnij—odparła—tego jest aż nadto, wszędzie, gdzie spojrzéć.

Zdaje się, że tylko inżynier Matelski nie był zupełnie zadowolony.

Odszedł do domu ze spuszczoną głową, kiedy obaj przyjaciele wracali w bardzo dobrych humorach. Zygmunt pogwizdywał i co chwila mówił:

— Porządny człowiek! Takich, trochę mniéj niż kamieni przy drodze!

A Krępic milczał, lecz po głowie latały mu myśli tak jasne, jak te białe płatki, które majowy wiatr otrząsa z kwitnących wisien.

— Sam! Czemu on bał się téj myśli, kiedy są tacy, którzy się jéj nie boją? Każda z takich myszy polnych zrobi swoje, choć nic nie wié o innych. Jest ich pewno więcéj, może bardzo dużo, ale poznają w sobie braci dopiéro wtedy, gdy się zamienią w milion i pokochają za miliony! A teraz przed siebie, niechaj w ciemnościach, byle z myślą o słońcu! Szczęśliwy Rańkowski! Co można porównać z tém uczuciem, z jakiém on dzisiaj patrzył na swoją córkę? W takim nigdy nie umrze to, co żyć powinno. Los go może prowadzić przez cmentarze, między trupy i szkielety — on od tego widoku nie zlodowacieje, bo w domu czekają na niego serca, które go ogrzeją i przypomną, że jeszcze nie zbrakło tych, którzy mają odwagę żyć i wierzyć! To pancerz, taka gałązka bluszczowa, wyrosła w mroku i chłodzie, przytłoczona głazem, a jednak wieczyście zielona!

— Matelski nie głupi... wiedział gdzie trafić... jak mu podniosą pensyę, pewno się zaraz ożeni i będzie mu dobrze na świecie. Wodzi za nią oczami jak za światłem, tylko, miłość to kwiat, z którego małżeństwo zrobi, co mu się podoba... Główna rzecz dzieci. Rańkowski odradza się przez nie, a taki Bodziewicz... pracuje jak kamieniarz, z temi swemi obwisłemi wąsami jest podobny do czapli, żerującéj na łąkach, lecz gdy wróci wieczorem i weźmie na kolana Janka albo Marysię, Krępic mógłby przysiądz, że téj zapracowanéj godziny ten człowiek-by nie oddał za zbawienie świata. Olbrzymia siła! Bodziewicz obrócił ją całą na poruszenie tylko jednego kółka, jednéj maszyny—rodziny, ale to nie wina siły, że ją w ten sposób zużytkowano. Powinno się przerzucić transmisyę na inne kółka i on, Krępic, nie mógłby żyć, gdyby tego nie był w stanie zrobić. Kto wié, może i Bodziewicz byłby inny człowiek, gdyby jego koło potoczyło się po gładszéj drodze? przecież jest przy nim ona!

— Matelski wygląda na konkurenta, prawda? — zapytał głośno.

— A tak, ma dobry gust.

— Co, podobała ci się? Oczy ładne, ale troszkę jakby skośne.

Zygmunt wzruszył ramionami.

— Co ty się znasz! To właśnie ich cały urok. Gdyby Maniusia Sławska je miała, przy tym swoim wschodnim nosku, Warszawa-by za nią szalała.

— A jabym myślał, że panna Sławska ma ładniejsze oczy, bo większe.

— Jak u kozy... dzieciak!—a to, kobiéta! Pójdziemy tam znowu, wolę to, niż rozmazanego Bodziewicza, który jest zły przy gościach, bo przecie ma żonę i dzieci dla siebie, nie dla kogo.

Krępic zaś odparł:

— Pójdziemy, ale i do Bodziewiczów trzeba zaglądać. Ona takie biédactwo, nigdzie nie bywa, bo „Jaś nie lubi i jest taki zapracowany!” odmawia sobie książek, bo czytelnia kosztuje pół rubla—„a on taki zapracowany.” Dziwna rzecz, jak niektóre kobiéty umieją się wyrzec siebie... i taka panna Sławska... kto wié, czyby nie była podobną...

Zygmunt parsknął śmiechem.

— Przecholowałeś w optymizmie, bo co do téj, upewniam cię, że wszystkich poświęci dla swego—chcę.

— Nie prawda, miłość przetwarza kobiéty, tylko ty nie umiész patrzéć... Jabym ci radził, żebyś się z nią ożenił, zamiast jéj głowę zawracać.

Zygmunt aż stanął.

— Człowieku o znanéj logice, gdzie się podziało światło twego mózgu? Moja żona, matka moich dzieci, ta koza—motyl! Nie, jesteś dziś w usposobieniu krotochwilném!

Zadzwonił do bramy, a gdy się znaleźli u siebie i zapalili światło, dostrzegli na biurku list.

— Od Kuby!—zawołał Krępic i rozerwawszy kopertę czytał:

„Przezacny Katonie i boski Romantyku! Wyobraźcie sobie, że maluczko, a będę się musiał „wylać” z budy. Wątroba mnie boli od téj myśli, albowiem umiłowałem tę nikczemną dziurę, jak żaden Chryzostom nie miłował okrutnéj Marceli. Niewiasty pod psem, ale pal je sześć, kiedy są ludzie! Wypchajcie tam jaki zacny siennik uczciwą słomą, uprzątnijcie kąt pod piecem i gotujcie flotę na trzech. Ja do waszéj spółki mogę się przyłożyć tylko suchotami wszystkich kieszeni. A może tam w któréj budzie jest szpara, to mnie wepchnijcie. Nafta w Paryżu, chodzi i zbiéra dębowe liście, słyszeliście? Poleciał za jakimś palcowym akrobatą, akrobatę na koncercie złapała jakaś choroba, Nafta po przyjaźni dawaj go wyręczać! Jak mu klawisze zaczęły jęczéć, płakać, całować i skowronkować, Francuzki poszalały. Podobno był zgiełk, mdłości, rzucanie kwiatów, noszenie na rękach i wszystko, co się politycznie nazywa entuzyazmem. Nie wiem, co on tam z tym swoim jowiszowym nosem zrobił, boć to ci Panamczycy za Izraelem się nie rozpadają, ale może już teraz tak gra, że mu i nos maleje.

A Wakowicza razem z nadziejami i karyerą wysypali z Dąbrowskiéj. Na jakiś czas wstrzymał się z matką głupich, która mu „furt” obiecywała, że go zrobi naczelnikiem komunikacyi i tymczasem pojechał do jakiegoś „serce wujaszka”, który słabuje i „nie slyszy polepszenia”. Daj mu losie lekką śmierć i natchnienie do zacnego testamentu! Wakowicz dobry chłop, tylko głupi bezecnie, a Nafcie pewno już się zdaje, że jest Kantem w kwadracie i Szopenem w sześcianie. Dajcie pysków i pamiętajcie o sienniku. Wątroba mnie boli okrutnie!

Wasz *Kuba.*

Zygmunt i Krępic trochę się zaniepokoili i zmartwili, a byli téż i radzi.

— Lepiéj, że będzie z nami — zgodzili się obydwaj, Znamieniecki zaś dodał:

— Pewno mu potrzebny zimny prysznic i Warszawa mu go da. Lepiéj!

I czekali go codzień, lecz długo napróżno.

A po dżdżystéj Wielkiéjnocy, powietrzem zaczęły iść fale pachnące wiosną. Zawiał południowy wiatr, rozegnał chmury, a potém do ciepłéj ziemi przypadł i młodemi źdźbłami ruszał, jakby się radując, że słońce na świat spojrzało i śmieje się.

Była wtedy niedziela, Zygmunta zabrali Łamkowscy na obiad, Krępic siedział w domu sam i patrzył jak na gzémsie okna trzepotały się dwa wróble. Ciepły wiatr poruszał firanką, na stole drgała jasna plama słońca i zdawała się szeptać—wiosna! Młody inżynier zawsze w takich chwilach czuł w sobie i radość i smutek. Wracały fale wspomnień bardzo dawnych i bardzo kochanych i grały mu na duszy jak pieszczota. Wtedy odczuwał ciepło słońca, innego niż teraz, widział fale rzeki, srebrne na pomarszczonych grzbietach i widział jeszcze bose chłopię, uwijające po łąkach na źrebaku – depczące złotogłowia z kaczeńcu, ze skowronkiem nad głową i pieśnią w duszy... Hej! jakie to stare dzieje!

W takim dniu samotność ciąży jak ołów. Krępic porwał za kapelusz i wmieszał się w tłumy, które się ulicą toczyły stubarwną tęczą i miały na twarzach wiosnę.

— Jeżeli natura dała ludzkim sercom aż tyle przeczucia szczęścia, to tego szczęścia musi być dużo na świecie, tylko trzeba umiéć szukać i znaléść! — myślał i szedł tak prędko, jakby istotnie coś gonił. A potém nagle stanął. Nie, ten tłum nic go nie obchodzi, on musi iść do ludzi, którzy mu są bliżsi, do takich, którzy się kochają. A więc dokąd? Do Rańkowskich, czy do Bodziewiczów?

Bodziewiczowie, to równoznacznik rodzinnego ciepła i miłości, jemu teraz potrzeba choć popatrzéć na takie ciepło — pójdzie do nich.

I poszedł, a po chwili wszedł w bramę domu przy ulicy Złotéj i w poprzecznéj oficynie na trzeciém piętrze zadzwonił.

Bodziewicz, który miał posadę na kolei i najem powozów, cały tydzień pracował jak murzyn, a w niedzielę spał.

I teraz tak było. Za to pani Marychna siedziała w saloniku, u jéj nóg na dywanie bawiły się dzieci, obok niéj panna Emilcia opowiadała coś bardzo żywo. Obie powitały Krępica serdecznie, a pani Bodziewiczowa rzekła:

— Bardzo pan dobry, że pan przyszedł.

Na co Krępic odparł:

— To nie skutkiem dobroci, tylko egoizmu. Mam taką naturę średniowieczną, że czasami tęsknię do widoku ludzi, którzy mają kogo kochać i dlatego przyszedłem.

— Powinieneś się pan ożenić — uśmiechnęła się pani Marychna, a panna Emilcia wzruszyła ramionami.

— Że téż te mężatki chciałyby wszystkich żenić i wydawać za mąż...

— A pani temu zawsze przeciwna?

— O! nic pan nie wié! Ona teraz gwałtem się wybiéra na medycynę i cóż tu wobec tego mówić o mężu.

— Seryo?

Ale panna Emilcia wzruszyła ramionami.

— Skądżeż! To jeszcze bardzo dalekie. Przedewszystkiém wyrób mi u rodziców, żebym mogła po wakacyach wrócić do Warszawy— zwróciła się do siostry.

— Przedewszystkiém wrócisz z patentem do domu i będziesz się leczyła. Wygląda jak cień, prawda, panie Krępic?

Istotnie bardzo wyrosła i przypominała roślinę, hodowaną bez słońca i zanadto wybujałą. Twarzyczka jéj się wyciągnęła, a przy papiérowéj cerze i lnianych włosach, oczy niemal raziły wielkością i ciemnym blaskiem.

— Tak, pani rzeczywiście potrzebuje wypoczynku — zgodził się Krępic, przyczém pomyślał, że te jéj oczy są chyba ładne, ładniejsze od oczu panny Maniusi i Wini, bo bardzo duże.

— Szkoda, że taka blada, biédactwo! — myślał daléj, a głośno rzekł:

— Czemu panie dziś nie wyszły na spacer? Śliczny dzień i pannie Emilii słońce zrobiłoby dobrze.

Lecz panienka wzruszyła ramionami.

— Także pan wpadł na pomysł! Przecież Jaś nie mógłby spać, gdyby nie wiedział, że tu są wszyscy i że z utęsknieniem wyglądają jego przebudzenia.

— Gdybyś miała męża — uśmiechnęła się na to pani Bodziewiczowa — i gdyby ten mąż pracował na ciebie od rana do nocy, nawet nie zwróciłabyś uwagi na taki kaprys. Niedziela, to jego jedyny dzień odpoczynku, zatém powinna być taka, jaką on ją chce mieć.

— O! on ma wszystkie dni w tygodniu takie, jakie chce mieć! Ożeń się pan, panie Krępic!

— I owszem, niech mnie panie wyswatają.

Ale pani Marychna pogroziła siostrze palcem, poczém zwróciła się do gościa i rzekła:

— Nie mów pan o tych rzeczach tak lekko. Małżeństwo, a zwłaszcza dobre, nie łatwo skojarzyć. Młodym się zdaje, że byle przybić do tego portu—już dobrze, a tymczasem to dopiéro początek. Dopiéro po ślubie wypływają na tę gładką wodę maleńkie różnice upodobań, temperamentów, przyzwyczajeń, jedném słowem — drobnostki, które tych dwoje związanych na życie, albo złączą jeszcze silniéj, albo powoli wzniosą między nimi tamę.

— Która bardzo często pęka z ogromnym hukiem plotek—roześmiała się panna Emilcia.

— Właśnie. Kobiéty wkładają obrączki jak rękawiczki, a potém kuleją po drodze, bo nie mają w sobie tego ciepła, które pozwala zapomnieć o małych nierównościach gruntu i wybojach. Tylko z ciepłem w duszy powinno się zawijać do tego portu i — żeby nierówności i wyboje stały się kitem, nie tamą, to ciepło powinno być prawdziwe i jedyne.

— Więc pani wierzy, że prawdziwe uczucie przychodzi tylko raz w życiu?

— A naturalnie. Inaczéj nie byłoby tyle pomyłek i tyle nieszczęśliwych małżeństw.

— W takim razie ci, którzy się pomylili, powinni odzyskiwać wolność! — zawołał żywo Krępic.

Lecz panna Emilia się zerwała.

— Rany boskie! Toż już dajcie pokój, bo usnę, tak jak dzieci.

I wskazała ręką na Janka i Marysię śpiących na dywanie, a równocześnie we drzwiach pokazał się Bodziewicz.

Miał zmięte ubranie, potargane włosy, oczy podpuchłe i wąsy jeszcze bardziéj obwisłe, niż zwykle.

— A dla niéj on jest najpiękniejszy—pomyślał Krępic i podniósł się na spotkanie gospodarza domu.

Uścisnęli się za ręce, poczém Bodziewicz podszedł szybko do dzieci i klękając na dywanie, rzekł z wyrzutem:

— Jak możesz, Marychno, znieść taką poniewierkę na gołych deskach?

I uniósłszy Janka w górę, ostrożnie, jakby dotykał wyrobu ze szkła weneckiego złożył go na otomanie.

Lecz pani Marychna odparła spokojnie:

— Nic im nie będzie, niech przywykają do wszystkiego.

Panna Emilcia zaś z błyszczącemi oczami i wesołym uśmiechem przyglądała się szwagrowi.

Przeniósł Marysię, złożył oboje, podsunął im pod głowy poduszkę, a robiąc to wyglądał jak kokosz drepcząca koło gniazda. Potém stanął i patrzył na uśpione twarzyczki z takim wyrazem, jakby je chciał jeść i połykać.

Teraz panna Emilcia klasnęła w ręce.

— No, nie mam-że ja racyi?—wołała. — Za kilkadziesiąt lat kobiéty będą pracowały w biurach, a mężowie będą niańczyli dzieci. Przecież takie zdolności nie mogą się zmarnować. Ożeń się pan, panie Krępic! Umrę ze śmiechu, jak zobaczę pana w roli niańki!

— A ja się będę śmiał, jak ciebie w téj roli zobaczę — rzekł Bodziewicz i siadłszy przy żonie, całował jéj ręce.

Ale panna Emilcia tak silnie potrząsnęła głową, że aż chmurka jasnych włosów uniosła się jéj nad czołem i znowu opadła.

— Pierwéj mnie odwiozą do Tworek! — rzekła z przekonaniem.

A Krępic jéj się przyglądał i mówił sobie, że to rzeczywiście zabawna dziewczyna. Stanowczo inna, niż wszystkie i nawet nie brzydka. Gdyby miała choć trochę kolorów i nie była taka wybujała, byłaby z pewnością ładna. Istotnie to byłoby śmieszne, gdyby takie się zakochało, ale jeszcze za młode—a potém się zmieni.

O dziesiątéj pożegnał się i wyszedł, przez drogę zaś znowu trochę myślał o pannie Emilii, trochę o Bodziewiczach.

Zauważył dzisiaj, że pani Marychna umié być stanowczą. Gdy Janek i Marysia rozgrymasili się przy herbacie, przemówiła do nich tak energicznie, że aż się zdziwił. W wychowaniu dzieci będzie umiała mieć swoją wolę. Jak bo téż on-by je wychował? Ot, co dały czasy trzeźwości i praktycznéj myśli! Wyrzeczenie się sentymentalizmu zrodziło ojców-histeryków, albo takich idealistów, jak on—Krępic i jemu podobni. Bo i co tu obwijać w bawełnę! Głośno wszyscy są trzeźwi, ale po cichu połowa wprost usycha z głodu serca. Nikt nie od-

bierze ludzkości ideałów. Jeśli je ośmieszą, ona je ukryje głęboko w sercach i zużyje, bodaj na obciéranie nosków własnym dzieciom! Ta mała ma trochę racyi... wyrodziło się plemię rycerskie...

Otworzył zatrzask swego mieszkania, a gdy wszedł, stanął ździwiony.

Przy stole siedział Kubacki, pił herbatę i jadł suche bułki.

— Kuba! Przecie... myśleliśmy, że cię ziemia pochłonęła... piszemy i piszemy, a ty jak mur!

— Jak mur — nie, ale jak lis obsaczony... nie było czasu i głowy.

— Oj, prawda! tyle masz z lisa, co ja z kaczki. No, daj jeszcze raz gęby i gadaj.

Usiedli, ale Kubacki rzekł:

— Nie będę gadał, aż się najem, bo mi żołądek przyrósł do krzyża.

— Czekaj, suche bułki jész?—zerwał się tamten—zaraz poślę po co, tylko zejdę do szwajcara.

Lecz go Kubacki powstrzymał.

— Nie potrzeba, to bardzo dobre, sam sobie zadysponowałem i to na twój rachunek. Ten mały obywatel, co to u was rządzi, sprytny chłopak. Bawił mnie tu z godzinę. Gdzież Zygmunt?

— U swego wuja, Łamkowskiego, a ja byłem u Bodziewiczów, téż kuzynów Zygmunta.

— Aha! więc bywasz u szlachty, a niewiasty tam są?

— A jakże.

— I w jakim téż tak guście, feministki, flirtówki czy gęsi?

Krępic się roześmiał.

— Będziesz musiał się zdobyć na nową kategoryę, bo te, u których ja bywam, są inne.

— Nie prawda, nie ma innych. Siennik dla mnie jest?

— O, masz! Możesz spać tu na otomanie, albo z Zygmuntem na mojém łóżku.

— Wolę tu, po co cię mam wygryzać z nory. A szparę w jakiéj budzie dla mnie macie?

— Stałéj nie, musisz się starać, ale u Rotte'go roboty dużo i Zygmunt pewno cię tam wkręci. Przez jakie pół roku będziesz miał zajęcie.

Kubacki odetchnął i oczy mu zajaśniały.

— To dobrze—rzekł—byle się zaczepić i was nie objadać.

A gdy Krępic spojrzał na niego z wymówką, dodał:

— No, no! Wiem, żeście chłopy zacne, nie płacz!

O dwunastéj wrócił Zygmunt i wtedy obadwaj przyjaciele ułożyli Kubackiego spać, sami zaś siedli przy nim i wszyscy razem gadali do świtu, a właściwie mówił Kubacki.

Gdy umilkł zakończywszy:

— Ot, podłe życie i kwita!

Krępic długo chodził po pokoju, a potém znowu siadł i rzekł:

— My już trochę inaczéj patrzymy na te kwestye, ale o tém trzeba pomówić obszerniéj. Dziś już późno i ja powiem ci tylko tyle, że my jesteśmy w szczególnych warunkach, że nie we wszystkiém możemy podążać za innymi i że mamy przed sobą dwa mury, nie jeden. Chcąc oszczędzić sił, kto wié, czy chwilowo jeden cel, nie będzie musiał być poświęcony dla drugiego.

— Albo ty jesteś nietrzeźwy, albo ja, ale nic nie rozumiem — rzekł na to Kubacki.

A Krępic odparł.

— Wierzę, że zrozumiész. Dobranoc!

(*D. c. n.*). *Exterus.*



METRYKA IDEAŁÓW.

Czwarta część dzieła Hipolita Taine'a „Filozofia sztuki" (str. 215 — 292 tłómacz.), p. t. „Rzeźba w Grecyi" zwróciła na siebie w swoim czasie większą jeszcze uwagę publicystów zachodnich, niźli części poprzednie [1]), a spowodowała bardzo gorące spory. Jest to w rzeczy saméj najpełniejszy, najlepiéj metodycznie uwydatniony wywód naczelnego założenia autora o ścisłéj i z wielu względów nieodbitéj zależności twórczych objawów ducha ludzkiego od sytuacyi zewnętrznéj, pojętéj raz więcéj, drugi raz mniéj materyalnie, raz jako przyroda nieorganiczna martwa (gleba, klimat) to znowu jako ruchome, zmieniające pod wpływem człowieka ośrodowisko społeczne. W Grecyi przeważa przyroda. „Naród otrzymuje zawsze znamię od okolicy, jaką zamieszkuje", a znamię to jest tém silniejsze; im naród, w chwili kiedy się osiedla „bardziéj jest nieogładzonym, bardziéj dziecinnym" (str. 217). „Fizyczna budowa kraju pozostawia swe piętno nie tylko na dziełach i na dziejach rasy, która go zamieszkuje, ale też i na jéj umysłowości" (227). „Człowiek trzyma się zawsze tego ruchu, jaki mu od początku nadaje natura" (235). Ludzkość podobną jest do mło-

[1]) Zob. „Ateneum", 1896, zeszyt grudniowy, artykuł p. t. „Ziemski rodowód ideałów."

dzieńców, których Platon porównywa do rumaków poświęconych bogom: „pozwolono im chodzić po pastwiskach ziemi, aby zobaczyć, czy znajdą instynktownie mądrość i cnotę" (259).

Podwalina filozofii, jak się z powyższego okazuje, położona tym razem została twardo, w płytach kamiennych, gatunkowo najwyraźniéj określonych; nie ma tu obecnie żadnéj dwuznaczności. Przyroda fizyczna jest rodzicielką przyrody moralnéj, obiekt powoduje i wychowuje swój subiekt, ziemia, woda, powietrze — jak to po Herderze wykazywał Buckle — obdarzają bytem jaźń myślącą. Otrzymujemy w ten sposób jednorodność wszechistnienia doskonale zaokrągloną i wypełnioną: materya obejmuje i nawskroś przenika ducha; atom wyłania z siebie świadomość; mechanizm zdobywa się na samopoczucie i samowiedzę; ucieleśnienie pcha przed sobą ideę; środowisko nieme i głuche wygniata w swém wnętrzu celowy, tkliwy i wymowny ruch życia. Jeden tylko droby szczegół psuje nieco u Taine'a całość i harmonię monistycznéj téj budowy: „instynkt" — szukający mądrości i cnoty. Jakto, więc sama natura nie wystarcza? więc cnota i mądrość nie pochodzą ze słońca, z deszczu, z kamienia, z gliny?.. A tenże instynkt, za którego pośrednictwem i współudziałem szukać trzeba mądrości i cnoty — to jest spraw nieprzewidzianych na razie — czémże jest ów instynkt, skąd rodem?

Jest on rodem z „rasy." Zgóry to zastrzega i zapowiada pierwszy rozdział pracy Taine'a o sztuce greckiéj, który zamiast nagłówka: „otoczenie", albo „terytoryum", albo „niebo, ląd stały, morze", nosi na froncie napis: rasa. To już zupełnie co innego. Po tym pomoście, łączącym dwa takie krańce, jak otoczenie z jednéj strony i twórczość ożywcza z drugiéj, zajść możemy dokąd się nam podoba. Rasa — to tyle co człowiek, co „ja" zbiorowe, — świadomość pokoleniami nagromadzona, czyli, w danym wypadku, tyle co „naród grecki." Najlżejszego sporu nie może być w tym punkcie. Jeżeli „rzeźbę grecką" wydała z siebie, w sobie wypielęgnowała „rasa grecka" nie zaś jéj siedziba materyalna—w takim razie nie ma o czém mówić: kwestya rozstrzygnięta, widoczna wygrana zawczasu, bez procesu. Nikomu nie trzeba szerokiemi rozprawami głowy zakładać, nikogo długiemi gościńcami obwozić, ażeby przekonać, że woda niemnowa z Niemna się czerpie, lub też, że „Grażyna" Mickiewicza jest mickiewiczowskim utworem. Wszystko zatém byłoby w komplecie, gdyby nam z kolei Taine zdołał jeszcze okazać metrykę rasy helleńskiéj, jako pośredniczki pomiędzy rzeźbą grecką (któréj rasa ta jest matką niezaprzeczoną) a ziemią grecką (któréj rasa ma być córką autentyczną). Jeżeli istotnie

krew grecka trysnęła z gruntu i klimatu Grecyi w sposób mniéj więcéj taki, w jaki np. Niemen wstęgę swych wód rozwinął ze swych źródeł topograficznych, i ze swych dopływów atmosferycznych,—wówczas już bez obaw o błędy w rachunku przyczyn i stopni genealogicznych, zgodzić się będziemy mogli i musieli na wniosek taine'owski, że z marmurów i złota, z kości słoniowéj i kamieni attyckich Pallada Fidyasza złożyła się równie mocno i wdzięcznie jak się „Grażyna" wysnuła z ruin i pustek zamku nowogrodzkiego. Niestety, wobec syntez zaczepiających o przyrodoznawstwo, Taine bez porównania mniéj jest śmiałym, niźli wobec zjednoczeń estetycznych i dziejowych; łatwiéj mu — tak samo jak i nam wszystkim—wyprowadzić świat cały z głowy Minerwy, niźli ulepić z piany morskiéj—Homera. W przenośni dla retoryki, użyje on chętnie wyrażenia, że wąwozy, góry, zatoki achàjskie Odysseę wyśpiewały; ilekroć atoli na seryo wypadnie mu określić filialny stosunek śpiewnéj téj „rasy" do powietrza lub skały, — cofa się niemal z przerażeniem przed stanowczą konkluzyą i prędzéj w takich razach gotówby przypuścić, że „rasa, śpiewając, okrzesuje przyrodę", niźli na odwrót, że „przyroda, rycząc, ociosuje rasę (człowieka)." Bardzo też dobitnie powiada w jedném miejscu: „Nigdzie instynkt nie był tak jasny, a rozum tak samorzutny (jak u Greków); kiedy przy pierwszym przebłysku zastanowienia starają się wyobrazić sobie świat, urabiają go na podobieństwo swojego umysłu" (str. 230 tłóm.; II, 128 oryginału). Buckle, Herder, Monteskiusz gniewnie protestują na odgłos takich herezyi—i Taine, w obronie ich honoru, wraca do meteorologiczno - geograficznego swojego środowiska; nie zawsze jednak klei się mu ono w rękach. Wtedy wydaje orzeczenia połowiczne, mieszane, nieśmiałe: „Sztuka, która robi posąg z metalu, z drzewa, z kości słoniowéj, z marmuru — zwolna, stopniowo i w pewném oddaleniu towarzyszy wykształceniu, które robi posąg żywy" (280). Prześlicznie! Posągi marmurowe lub drewniane zdala podążają za posągami życia, rzeźbionemi przez wykształcenie... Lecz samo to wykształcenie z czego i czém się posąguje?—Z materyi dłońmi ducha, czy też z rasy rękami otoczenia? Jeżeli do wydobycia z siebie urządzeń publicznych, igrzysk, wyścigów, walk gimnastycznych i t. p., w których, zdaniem Taine'a, wykształciło się posążnictwo greckie, niezbędnemi były (*respective* są): 1) rasa świéża, „nieogładzona, dziecinna", 2) taka osadzka ziemi i takie sklepienie niebios jak w Grecyi („grunt górzysty i biédny", „obecność morza ze wszystkich stron", „przejrzystość powietrza", „słońce pociskami swemi nie raniące" etc.), to jawi się szereg pytań coraz zamętniéj gmatwających wątek głównego, frontowego zagadnienia, a mianowicie: dlaczego żaden z owych

promieni „kształtujących” czy też „wykształcających” nie zajrzał do duszy pierwotnych, „tubylczych” ludów Hellady, którym z pewnością na niemowlęctwie i na nieokrzesaniu nie zbywało, a których przybysze greccy podbili i na helotyzm skazali? — lub też, jeżeli się temu sprzeciwiała zbyt wczesna „doba” historyczna, to dlaczego późniéj zwycięzcy zwycięzkich tych Greków — Turcy, nie wchłonęli w siebie ani jednego, błyskawicznego choćby, odblasku owych pierwiastków, posągujących życie, a za życiem sztukę?...

Zgodność wytwórczości duchowéj z uzdolnieniami rasowemi, a uzdolnień rasowych z przyrodzoném narodu podścieliskiem (środowiskiem, otoczeniem),—ponętna to naprawdę formuła, ale także zwodnicza, ilekroć sami my—po tylu wiekach — wysnuwać ją musimy z faktów domyślnych, ze stosunków oderwanych, z promiennego jedynie odbicia umysłowości Grecyi w szczątkach realnego jéj bytu, który już nie istnieje!

Rzeczywiście, z trzech całokształtów, jakiemi są: a) środowisko, b) plemię, c) sztuka grecka, — poprośmy np. Taine'a, aby nam okazał —aby nam dotknąć się pozwolił pierwszego z nich, w konkretném odosobnieniu od dwu innych pobocznych. Spotka nas odmowa. „Z kraju—powiada—pozostał już dziś tylko szkielet prawie. Jak Prowancya we Francyi, jest on ogołocony, zeskrobany i że tak powiem wygracowany; ziemia się obsunęła, roślinność stała się rzadką. Kamień chropawy i nagi, zaledwie tu i owdzie porośnięty nędznemi krzakami, przywłaszcza sobie przestrzeń i zakrywa trzy czwarte widnokręgu...” — i żeby dziś powziąć jakiekolwiek wyobrażenie o tém, czém dawniéj było materyalne to środowisko życia greckiego, użyć należy analogii: przejść się musimy „wzdłuż nietkniętych jeszcze wybrzeży morza Śródziemnego, pomiędzy Tulonem a Hyères, pomiędzy Neapolem a Amalfi — i przedstawić sobie niebo piękniejsze jeszcze, powietrze przezroczystsze, kształty gór wyraźniejsze i bardziéj harmonijne” (234). Więc cóż? — skoro nie można widzieć ojczyzny Fidyasza, to pokażcie nam przynajmniéj jego rodaków. Nie chcecie dać kraju, dajcież ludzi. „Ludzie już nie żyją—pisze Taine. Nie potrafilibyśmy obecnie nawet wyobrazić sobie, czém był i jakim był człowiek ówczesny. Nasze przeładowanie głowy, wielość i sprzeczność doktryn tegoczesnych, nadmiar życia mózgowego, tryb sztuczny i podniecenie gorączkowe czynią nas niezdolnymi do wystawienia sobie tych umysłów świeżych, które zgoła nic nie czytały, nie miały pojęć oderwanych, których wszelka myśl była obrazem, w których każdy wyraz wzbudzał formy barwne, wspomnienia świątyni, igrzysk, biesiad, chórów, brzegów połyskującego morza, cały tłum postaci nawskroś żywych, boskich jak za dni

Homera, a może bardziéj jeszcze boskich" (257, 269). Czy tak? — No, trudna rada; ale skoro nie sposób oglądać ludzi, to niech nam przynajmniéj nikt za złe nie bierze, że rzucimy okiem na dzieła tych ludzi, na ich rzeźby... „Nie ma rzeźby autentycznie greckiéj—odpiéra Taine; nie posiadamy ani jednego kawałka Fidyasza; Polikleta zaś, Praksytelesa, Myrona, Skopasa, Lizyppa znamy jedynie z naśladownictw mniéj lub więcej przybliżonych. Ograniczyć się musimy do dwóch głów—Junony w willi Ludovisi i Jowisza z Otricoli, tudzież do paru tułowi bez rąk, do paru nóg bez palców, do kilku wątpliwych płaskorzeźb z fryzów Partenonu... gdyż to, co nam zostało z rzeźby starożytnéj jest prawie niczém wobec tego, co zaginęło" — i oto dlaczego zniewoleni jesteśmy braki okazów przedmiotowych zastępować okazami podmiotowemi, a luki, przeświécające wszędzie i „we wszystkiém prawie", zasypywać... otoczeniem (215, 216). Lecz jakże luki te zasypywać „otoczeniem", którego—jak nam wyżéj oznajmiono—wcale nie mamy, które, w bladéj zaledwie podobiźnie, odszukać możemy kędyś w okolicach Neapolu i Tulonu? — Tu głos zabiéra wielki *modus in rebus*... Zwie się on: metodą...

Nic ciekawszego nad tę metodę. Okrom kilkunastu wątpliwych okruszyn sztuki greckiéj z bronzu lub kamienia, oszczędzonych przez czas niby „na pobojowisku wojenném", dochowały się po dziśdzień poematy Homera, pisma Platona i Arystotelesa, „Rzeczpospolita" Ksenofonta, Herodot, Tucydydes, Eschylos, Arystofanes, Euklides... przytém „kilka lichych opisów Pauzaniasza, kilka oderwanych frazesów Cycerona, Lucyana, Kwintyliana, jakiś półrozdział Pliniusza"... a nadto, dotrwało na Akropolis,—„puste miejsce, gdzie się wznosiła podstawa posągu Pallady i skąd szlachetna forma bogini zniknęła" (293). Owóż, przypuśćmy teraz, że uczonemu jakiemuś Bréalowi przyszło do głowy zbadać, na podstawie całéj pomienionéj spuścizny, stan mitologicznych wyobrażeń greckich za dni Peryklesa. Pozbiérał on najsumienniéj, najskrupulatniéj wszelkie odnoszące się do tego przedmiotu świadectwa i poszlaki, poczynił zestawienia genialne i w końcu kombinacyami zastąpił lub oswietlił wątpliwe strony swojego zadania; posążnictwo greckie, jako nader ważny i doniosły współczynnik podjętéj pracy, złożyło również w tych kombinacyach dopełniającą swoją cegiełkę. Ogólny rezultat poszukiwania nazwijmy literą *A*. Zjawia się w drugim rzędzie światły historyk filozofii, dajmy na to Tannery, i postanawia tąż samą drogą, temiż samemi trybami (bo innych nie wymyślono dotąd) dojść do odpowiedzi na pytanie: jaki był stan metafizycznych pojęć od Talesa do Anaxogorasa. Uwzględniwszy należycie źródła (a więc i sztukę grecką), Tannery nie

zaniedbał uwzględnić także i wyniku dochodzeń Bréala oczywiście w zakresie przez siebie obranym; z tego powodu książkę jego zatytułujemy: $B + a$. W dalszym ciągu prof. Alglave wystąpił z obszernym traktatem o urządzeniach publicznych i sądownictwie greckiém od zgonu Likurga i Solona do Filipa Macedońskiego, w ustosunkowaniu do mitologii, filozofii i pięknoznawstwa greckiego; treść tych roztrząsań opatrzyć nam wolno znakiem: $C + a + b$. Niebawem, a w niezbyt długich po sobie odstępach czasu, ukazują się aż trzy rozprawy: Girarda o poezyi greckiéj ($D + a + b + c$), Lichtenbergera o olimpiadach i igrzyskach w dawnéj Grecyi ($E + a + b + c + d$) i Deschanela o attycyzmie, czyli humorze w życiu Greków za czasów Arystofanesa ($F + a + b + c + d + e$). Wreszcie przemówił Winckelmann o estetycznych zaletach rzeźby greckiéj ($G + a + b$... etc.), — wyświetlając na podstawie Sofoklesowego „Edypa z Kolonu", „Odyssei" Homera, „Teeteta" Platona, teoryi sylogizmu Arystotelesa, „Rzeczypospolitéj" Ksenofonta, nieobecnego posągu Pallady, księgi czwartéj Herodota, mitologii Bréala, filozofii Tannery'ego, instytucyi Alglave'a, poezyi Girarda, igrzysk Lichtenbergera, humoru Deschanela i t. d., — że między sztuką grecką, a życiem, umysłowością i otoczeniem Greków zachodzi odpowiedniość „zupełna i doskonała". Ależ, na Boga!—jedno z dwojga: albo jesteśmy we śnie, więc nie dziw, że nie spostrzegamy się na fikcyjności naszych bujań napowietrznych; albo téż jesteśmy na jawie, a w takim znowu wypadku miejmy odwagę wyznać, że cierpimy chyba na chorobę owego „przebiérania przedmiotów za książki", które tak słusznie tegoczesnym pokoleniom wytknął sir Posnett, w pierwszym zaraz rozdziale swéj „Literatury porównawczéj" (Warszawa, 1896). Nikt z nas nie powstrzymałby się od uśmiéchu na widok małéj dziewczynki, co przeodziawszy swą lalkę, zaczyna poszukiwać jéj po wszystkich kątach i nareszcie klaszcze w dłonie z radości, że zrobiła odkrycie: lalka jest w woreczku.. Naturalnie, sama ją tam złożyła przed chwilą ($a + b + c$...). Skądże, dlaczego obecnie tak poważnie nastroiliśmy twarze, gdy tenże przewód metodologiczny dokonano przed nami w dziedzinie estetyki? Na miarę i według koloru głowy Junony, głowy Zeusa, torsu Wenery (miluzyjskiéj), popiersia Arystydesa (w Neapolu), posągów Gladyatora (w Luwrze). Fauna tańczącego (w Pompeach), Lacedemonki zdyszanéj (w paryskiéj szkole sztuk pięknych), etc.—odmodelowaliśmy sobie o d p o w i e d n i e działy w otoczeniu, w życiu, w instytucyach, w zabawach, w filozofii, w poezyi Greków; kiedy zaś w godzinę czy w lat sto późniéj wzięliśmy do rąk ową głowę Junony, ową głowę Zeusa, owego Gladyatora i t. d.,

cóż to za nowina, co za wynalazek ogłosiliśmy światu, powiadając, że istnieje „doskonała i zupełna” zgodność—czy też odpowiedniość, —między całą tą rzeźbą grecką, a poezyą, filozofią, zabawami, instytucyami, życiem, otoczeniem dawnych Greków? Alboż tej odpowiedniości i tej zgodności samiśmy wpierw nie włożyli do swego erudycyjnego worka?

Więc wszystko w tém „przebieraniu przedmiotów za książki” marą i złudzeniem? — Nie wszystko. Zaszło tu tylko małe na pozór, lubo w następstwach poważne nieporozumienie estetyka francuskiego— z samym z sobą.

Jeszcze w r. 1863 w klasycznem przedsłowiu do pierwszego tomu „Literatury angielskiéj”, Taine skréślił filozoficzno-literackie i naukowe swe *credo*, którego wspaniały i świetny początek nie zupełnie dokładnie przypomniał się autorowi „Filozofii sztuki” w kilka lat późniéj. Odczytajmy tylko dwa pierwsze marginesowe streszczenia tego wyznania wiary: 1) „Kopce dokumentów dziejowych są tylko wskazówkami, z pomocą których odgrzebać należy jednostkę żyjącą, osobnika żywego”; 2) „Człowiek cielesny i widomy jest tylko naczyniem, jest tylko konchą, w któréj szukać i badać musimy człowieka niewidzialnego, wewnętrznego.”

Tak jest. Tego wewnętrznego człowieka możemy (z latarką Dyogenesa czy bez niéj) odszukać i poznać w Grecyi. Poznać zaś go potrzebujemy nie tyle przez naszą ciekawość amatorstwa, nie dla wypukłych członków i gładkiéj twarzy owego człowieka, nie w widokach skorzystania z jego jadła, napoju, mieszkania, tańca, wprawy marynarskiéj, przebiegłości kupieckiéj, sprawności wojskowéj — i nie tyle w celu nauczenia się od niego filozofii, krasomówstwa, kunsztu dziejopisarskiego, ile raczéj z tego walnego powodu, że to nasz brat, że w jego żyłach tętniła ta sama krew, co i nam dziś rumieńcem radości lub smutkiem bladym bije z oblicza,—że z jego oczu, z jego postawy, z oczu Tezeuszów na Partenonie, Prometeuszów Eschylosa i Sokratesów Platona, z postawy jego synów pod Termopilami, pod Maratonem, pod Cheroneą — podziśdzień na nas spogląda ta sama dusza, któréj nieśmiertelny promień w sobie czujemy.

Rzecz wyjątkowo dziwna, że Taine żadnéj prawie wagi nie przywiązuje do owego „naszego” pobratymstwa z Grekami. W jedném tylko miejscu, mimochodem, jakby od niechcenia napomyka o mitologii porównawczéj, która „niedawno pokazała, iż mity greckie, pokrewne mitom sanskryckim, wyrażały pierwotnie tylko grę sił przyrodzonych” (283). Za mała to kropelka pobratymstwa. Nietylko mitologia, lecz lingwistyka porównawcza i historya powszechna złoży-

ły się za dni Taine'a na pewnik, stanowiący najwyższą, najcenniejszą zdobycz cywilizacyi zarówno tegoczesnéj, jak i na przyszłość, a mianowicie, że owa estetyczna dusza grecka, kulminacyjny w przeszłości punkt świateł na wszystkich polach wiedzy, sztuki, twórczości, była w pełni rozwiniętą monadą możliwości czynnych już i wówczas, kiedy w praojczyźnie całego plemienia aryjskiego (indo-europejskiego) Grek przyszły mieszkał pod jednym dachem z przyszłym Hindusem, Ormiano-persem, Rzymianinem, Celtem, Skandynawem, Litwinem, Słowianinem — i kiedy wszyscy oni razem ten sam kawałek chleba spożywali, to samo bóstwo czcili: — wieloimienne bóstwo przyrody. Rozejście się wszech-rodziny aryjskiéj po świecie rozbiło wprawdzie jéj dzieje i przeznaczenia na różnokształt niesłychanie urozmaicony, ale wspólnéj duszy już ani stargać, ani rozproszyć nie zdołało. Tradycya strzechy matczynéj, dziedzictwo dorobku pradziadowskiego—ocalały. Większéj i świetniejszéj rzeczywistości nad ową rzeczywistość spadkową ziemia dotąd nie oglądała, choć zewnętrzna szata zjawiska podziśdzień ma pozór baśni przedpotopowéj, ułudnéj mary, rozwianéj nad kolébką dziecka. Bo zważmy tylko na następstwa rozpływu. Odbiły się w téj w powodzi — niby w przezroczystych falach potoków górskich — „środowisk" i „otoczeń" tysiące. Jedne (indyjskie) — omdlewające w gorączkach modłów nadgangesowych; drugie (ormiano-perskie)—zmiażdżone orkanami stepowych przesiedleń środkowo-azyatyckich; trzecie (rzymskie) — przesilone pogonią za wszechwładném panowaniem nad światem; czwarte (celtyckie) — zduszone i w szmaty podarte ciasnotą ostrych skał nadatlantyckich; piąte (skandynawsko germańskie) — rozpędzone ponurą walką o byt materyalny na obie półkule starego i nowego lądu; szóste (litewskie) — cicho i smętnie przytulone w niedobitych resztkach do pobrzeży baltyckich; siódme (słowiańskie) — nie bez groźnego okrzyku znikające na zachodnich swych krańcach, butnie a w milczeniu głuchém zagarniające całą wschodnią krawędź przestworzy geograficznych... I tu właśnie staje przed nami najdonioślejsza, a zarazem téż i najwznioślejsza z antytez powszechno-dziejowych. Kiedy tak bowiem siedmiu owych braci, wcale nie bajecznych—(starszych, młodszych?—niewiadomo), wiercąc się, kręcąc, tłukąc, objadając, obdzierając wszystkie kąty i zakątki świata, mają — czy téż właściwiéj „robią" minę proroków i apostołów czegoś, co wciąż jeszcze wyrazu potrzebuje, co wciąż jeszcze pierwszéj zgłoski wykrztusić nie może, — to brat w Helladzie osiadły, oddawna słowo swe wyrzekł — i skostniał. Kremer sądzi nawet, że skonał, „dokonawszy swego", — że „Grecya umarła na piękność, będącą jéj żywotnym pierwiastkiem" („Listy z Krakowa", wyd. wileń-

skie, 1869, t. III, str. 45). Złudzenie! Dusza starożytnéj Grecyi — w niéj i w nas niepodzielna — po dawnemu pławi się w niebiosach prawdy i nieskończoności, choć serce Greka istotnie już bić przestało, choć znikła boska Atena z ziemskiego swego podnóża, choć nie ma już ni Temistoklesów, ni Salaminy...

A pewnik ten czyliż nie do rdzenia przeistacza problemat sztuki greckiéj i życia greckiego? — Co nam po strojach, co nam po zabawach, co po biesiadach, wyścigach, łuskach i skorupach bytu, wobec wiekuistéj zagadki wspólnego tu i tam tchnienia żywota: być czy nie być? — nie być po zwierzęcemu, gdy się w sobie naprawdę już wyrzeźbiło wszystek zasób natchnień boskich, czy być daléj—po ludzku, gdy się mimowolnie zagrzebało w piaskach, mieliznach, zbiorkach wiór, błyskotkach i podłostkach ziemskich?

Aczkolwiek nie wszędzie sam siebie pewien, aczkolwiek uwikłany w niezliczone wężowe sploty alternatywy downętrzno-zewnętrznéj i odzewnętrzno-wnętrznéj, Taine obronną przecież ręką wyszedł. Z labiryntu swych wiedzników i umiejętników estetycznych. Dał, pozwolił w ramiona pochwycić, wzrokiem ogarnąć, przeniknąć wypukło- i płaskorzeźby d u s z y greckiéj. Możemy ją do serca przycisnąć, z rzęs jéj słodką rosę miłości zgarnąć, uśmiéch jéj ucałować. Niezmiernie prosty — najgłębiéj boski to uśmiéch. Linia jego zarysu da się ująć w jedno orzeczenie, nad granit trwadsze i trwalsze. A jest nią: bezwzględna, nieposzlakowana wiara w zacność, szczerość, ścisłość i rzetelność z e w n ę t r z n y c h objawów przyrodzenia — jednorodnego w bogach, ludziach i naturze: wiara bezdenna — i bezdenny w niéj i przez nią zachwyt. Przyczyna zaś téj wszech-przyczyny — całkiem historyczna, zgodna z wywodem Taine'a: w wędrowce z przeddziejowego gniazda praszczurów, z téj Ariany pierwotnéj — „Airyana waedża", w któréj, według jedynego szczątku wszecharyjskiéj tradycyi pisanéj, lata było siedm miesięcy—nie- latatylko pięć" (Pictet, „Origines", wyd. drugie, t. I, str. 48), — w wędrówce z owéj krainy rajskiéj, Grek odnalazł takie właśnie środowisko materyalne, takie otoczenie ziemno-wodne, z „dyausową" nad niém oponą niebios, że ono w przybyszu dalekim stwierdziło, wzmocniło, w pewnik oczywisty zamknęło początkowy, skrystalizowany już wcześniéj dogmat o nieomylności i świętości głosów, barw, spojrzeń, obietnic, zachęt i nadziei, tryskających z rodzicielskiego łona przyrody o k o l i c z n é j, przyrody spotkanéj na nowo,—téj saméj, na ogół, przyrody wszędzie, tylko-że jak się okazało, dla innych, pozostałych, dalszych aryjskich pątników albo zadrzemanéj mroźno i chmurnie, albo w granit nadoceanowy głu-

cho zaklętéj, albo wśród lasów ponuro huczącéj, albo ulewnemi dziwami po płaszczyznach rozhulanéj...

Rozdźwięk w dwu przeciwległych kierunkach, rozłam na dwa odrębne półświaty — na jaśniéjszy południowy i cienistszy północny, rozwarł się przed pielgrzymiemi gromadami wspólnoty rodziméj w sposób nieunikniony, niemal fatalny... Rzućmy okiem na światlejszą stronę obrazu, wpatrzmy się nieco baczniéj w tę niezziębniętą na razie duszę jońsko-dorycką, która dziś dla nas, praprawnuków, wypartego pod biegun osadnictwa aryjskiego, jest jedną z najcięższych zagadek do rozwikłania, a która sama w sobie, dla siebie, ani na chwilę zagadkową nie była. Pierworodne tło téj duszy greckiéj było niezaprzeczenie wyrównane, spoiste, bo niepodejrzanie boskie zarówno w kwiatach i wzgórzach, w zatokach i ptakach, jak i w Dyanach i Zewsach, w Cekropsach i Penelopach, w Peryklesach i Aspazyach. Zarówno w prawodawcach jak i pastuchach, — tylko-że ma się rozumiéć, nie w niewolnikach, co w rajskiéj Airyanie-wedży, nie bywali, praojczyców tam nie mieli... Istnieje domniemanie, że źrenica dawnych Greków nie rozwierała się na niektóre kolory, nieczułą była na pewne ich odmiany; trudno to sprawdzić obecnie. Natomiast, z pewnością można utrzymywać, że aż po ostatni szczyt umysłowego i politycznego rozwoju Hellady, dusza grecka pozbawiona była jednego z najrozleglejszych, — a z obecnego punktu widzenia, to i najbardziéj zasadniczych tonów: tego mianowicie tonu, który tak wszechwładnie w ostatniéj dobie zagórował w psychice ludów cywilizacyjnie młodszych, nowożytnych. Rozczarowania Grecy nie znali, nie zaznali go ani w jedném źdźble goryczy—w ciągu początkującego, rodzajnego okresu swego rozwoju. I nie było najmniejszego po temu powodu. Świéża, świéżo zagarnięta podstawa i powierzchnia bytu tak urozmaiconym kobiercem wysp, gór i zatok odwzorowywała dodatnią typowość powierzchni poprzedniéj, tak ściśle, tu i tam, kojarzyła się ze swą treścią intuicyjną, podskórną, odżywiającą — jedno zaś i drugie — pokrycie i nice—wydawało się tak rozumném, tak dobrém, tak pięknèm, że ani skargi na nic, ani żalu do nikogo się nie miało, ani nuty téj znikąd się nie słyszało. Ziemia piersią swą wykarmiła i daléj wciąż karmi bogów; nawzajem, bogowie nie przestawali i nie przestają wieńczyć czół i ramion ziemi; człowiek „chodzący drogami sprawiedliwości" stawał się dawniéj i staje się obecnie towarzyszem bogów: — z promiennie zaczarowanego tego koła nikt nie wychodził, wychodzić nie potrzebował, i do dni Anaksogarasa—nie śmiał, nie mógł, nie chciał. „Szczęśliwa od najdawniejszych czasów ukochana dziatwa bogów błogosławionych, w oskrzydleniu miłych i czystych zefirów, które boska Cy-

pryda zaczerpnęła z fal Ilissusu o pięknych wodach i po kraju rozlała", — dziatwa ta — rozradowana teraz w rozwadze swéj dojrzałéj, w doświadczeniu swém męskiém — przechowywała na nowéj siedzibie jako skarb swój jedyny, najdroższy — ową pierwotną, wszech-aryjską pozłotę rzeczy, ów zmysł ufnego, ogniście stapiającego postaciowania widzeń i przywidzeń, które nas samych we własnych naszych zaraniach życia, alboż nie przepełniały rozkoszą błyskawicznéj wymiany zdarzeń cudownych na rzeczywiste, rzeczywistych na cudowne?...

Niezaprzeczenie tak było. Ale, co do Grecyi, było tak w wyjątkowo-zcalonéj duszy helleńskiéj — w owych oderwanych, uogólnionych, platońskich poniekąd strefach dusz pojedyńczych, które to dusze, we wzajemnych do siebie stosunkach, tak samo jak pojedyńcze okolice całego kraju we własnych swych ugrupowaniach różnicowych, składały się na wielomian nader urozmaicony i różnorodny, — na wielomian podobny do owego Olimpu greckiego, gdzie odpowiednio do s t o p n i a przekształceń, uczłowieczających siły przyrodzone, ubóstwiających siły człowiecze, mieszkały bóstwa n i e r ó w n e, na wszelkich piętrach potęgi władczéj osadzone, — jedne, w których cechy fizyczne górują nad postacią osobistą, drugie, w których obie strony są równe, inne znowu, w których bóstwo, przybrawszy pozory ludzkie, łączy się już tylko nikłemi nićmi, — czasem jedną zaledwie widzialną nicią ze zjawiskiem żywiołowém, z którego wyszło (287). Tu właśnie szkopuł. Kapitalny błąd estetyki Taine'a — ogólnéj w całéj książce i greckiéj poszczególnie—na tém się bowiem zasadza, że autor w gorliwej pogoni za jednością i całością fizyognomii, zatarł owe zmarszczki i doły rysujące się pomiędzy jéj wyniosłościami — zatarł przedziałki między piętrami.. Że zaś, po pierwsze — w tych to głównie przedziałkach, w tych dołach i zmarszczkach mieści się akurat to, co pospolicie i najpopularniéj „otoczeniem" nazywamy (aczkolwiek, teoretycznie, pagórek dla jamy i nawzajem, bohatér dla nędznika i nawzajem—stanowić mogą i stanowią otoczenie), a powtóre, że owe zmarszczki i doły, owe przedziałki międzypiętrowe mają niekiedy rozległość stumilową i trwają lat secinami, gdy o piętrach nikt i nigdy tego nie powiedział, prosto i w zamętném, kotłowiskowém stłoczeniu przez Taine'a częściowych środowisk i częściowych ośrodków na ryczałtowe środowisko i ryczałtowy ośrodek, znajduje się szczypta prawdy — szczypta niewielka, przypominająca odrobinkę soli, jaką marynarz wydobyć zdoła z beczki wody oceanowéj. Innemi, wyrazistszemi słowy: wszędzie i zawsze życie ludzkie było jako ów wiekopomny, — a może i wiekuiście płynąć przeznaczony potok Bakona, na którego dnie, dla potomności przeznaczoném, osiadają jedynie rzeczy c i ę ż s z e... Co popłynęło, co płynie

przez czasy i przestrzenie, toż to i zjada wieprz otoczenia... Dzięki niech będą bóstwom, że pozostawiły choć resztki niezgryzione, niedogryzione...

Nie marne to zastrzeżenie. Z Grecyi Taine'a usuwa ono sporą wiązkę poglądów chybkich, dwuznacznych, sprzecznych, jak np. te ubiegania się Greka o sute pożytki kupieckie i żerowiska owocodawcze (222) obok téj jego wstrzemięźliwości niemal zakonnéj w napojach i jadle (220), albo jak owo gadulstwo bezcelowe i płytkie (226) obok nieustającego myślenia dla myślenia — dla nauki (225), obok sięgania myślą wyżéj, do źródeł, do przyczyn, w krainę dlaczego (224). A teraz, po odprawieniu za nawias plew i opiłków środowiskowych, możemy już daléj swobodnie, bezpiecznie mówić o duszy greckiéj—i o jéj boskiém dziecięciu, rzeźbie greckiéj, — a to własnemi niemal słowami historyka francuskiego. Na dnie religijnych wierzeń Greków spoczywa poczucie natury żyjącéj, trwałéj, nieśmiertelnéj, wiecznie twórczéj; boskością nasiąknięte są rzeczy przyrodzone, człowiek zwraca się do żywiołów, jak do istot świętych, z któremi jest spowinowacony po to, aby kierować wielkim chórem życia. Wszystkie potęgi natury są boskie, a i w człowieku nie ma rozbratu pomiędzy zwierzęciem a umysłem; dusza w nim uczczona przez ciało, ciało uwielbione przez duszę— a uwielbione religijnie, pobożnie, jako ogniwo i spójnia boskich przymiotów w naturze z przyrodzonemi własnościami w bóstwie. We-wszechbycie roztacza się jakby światło fizyczne przesnute, przejęte istnością moralną. Są w przyrodzie spaczenia, jak są w ciele i umyśle ludzkim kalectwa, — ale fałsz, kłamstwo nie istnieją. Jedyném zmyśleniem, czczém i jałowém byłaby żądza zmyślania. Bo i po co? Te góry nieruchome i groźne alboż nie są olbrzymami przykucniętemi na zwiadach, odgadującemi, co się gdzie czyni, mówi i myśli? a te wody lśniące i podskakujące, alboż nie są dziewicami boskiemi, co szczebiocąc i śmiejąc się, do duszy nam zazierają? (260, 281, 283—286). Bogowie są żywi, obecni; rozmawiają, widziano ich. Tak samo zchodzą oni do ludzi, jak ludzie do nich się podnoszą, z nimi obcują. Człowiek w ogólności, jest bogiem śmiertelnym, jak bóg śmiertelnikiem wiekuistym. Istota ludzka w swojém najbliższém otoczeniu, to bóstwo w swoim przybytku; świątynia boga jest jego mieszkaniem prywatném, wyłączném, relikwiarzem jego wizerunku, monstrancyą marmurową zawierającą jego posąg,—każdy zaś posąg, każde popiersie, każda rzeźba—skończoném uwydatnieniem dzielności człowieczéj, doskonałości walczącéj, cnoty zwycięskiéj, szlachetności niezmąconéj, pogody niezakłóconéj. Jak bóg do swojéj świątyni, tak człowiek ściśle przystaje do swego widnokręgu widzialnego i na nim poprzestaje; nie opuszcza

go, nie wyrywa się z niego — wystarcza mu on w zupełności, dobrze mu w nim (230, 237, 243, 251). I dobrze widnokręgowi temu z duszą, umysłem, zmysłami człowieka: przeczuwają się one nawzajem, rozumieją się, kochają: wytworne to bowiem zmysły, bystry to umysł, dumna i pojętna to dusza. W wysłowieniu jéj—prostota, w wyborze treści—swoboda, w dowodzeniu—zręczność, w przyozdabianiu — wdzięk lekki, przesłonięty odcieniem ledwie dostrzeżonéj ironii. Obrazowanie określone i wyraźne, bez nadmiaru czułości, bez najlżejszego zamętu w uogólnieniach. Żadnéj luki pomiędzy językiem faktów dotykalnych, a językiem czystego rozumowania... Wobec artyzmu téj duszy greckiéj, wobec jéj stylu, wszelki styl jest nadęty, ciężki, niedokładny, wymuszony; wobec jéj typów moralnych, wszelki typ jest przesadzony, niezdrowy, smutny; wobec jéj form rzeźbiarskich, budowniczych, krasomówczych, poetyckich, wszelka niezapożyczona od greckiéj forma jest nieproporcyonalną, źle spojoną, wykoślawioną lub rozsadzoną przez własną swą zawartość (225, 226, 228, 240, 254).

Józef Tokarzewicz.



Karol Algernon Swinburne.

PIELGRZYMI.

— Gdzie jest pani serc waszych, wy, którzy idziecie
Z pieśnią? Czyż z żalu po tém, co było na świecie,
Smutni tak — czy z tęsknoty za jutrznią, co będzie —
Śpiewacie tak żałośnie naraz i weselnie?
— Pani serc naszych ludzkie nie zobaczą oczy:
Nie ma ona rąk, źrenic, warg ani warkoczy
Złocistych, ani kształtu; lecz ten, co posiędzie
Jéj miłość—wié, że piękno jéj trwa nieśmiertelnie.

— Czyż to królowa, darów rozdająca skrzynie?
— Tak, owo: ten, co ujrzał ją — dla niéj jedynie
Żyć będzie — i w cierpieniu — we łzach, krwi i pocie
Dla niéj — męki nie syty — pójdzie po otchłaniach.
A gdy mu umrzéć każe — tedy umrze pewnie
I wszystko drogie rzuci i da téj królewnie
I nago pójdzie w słońca żarach, w śniegów słocie —
I życie swe przepędzi w wieczystych czuwaniach.

— Niemaż ona siedziby śród ziemskiego koła?
— Wiek wieku pyta, naród narodowi woła:
Gdzie ona? a na krzyk ten niemasz odpowiedzi.
Bo jeśli ona w duchu ludzkim się nie mieści,
Jeśli nie ma stolicy w wnętrzu twego łona,
Napróżno wołać będziesz: gdzie ona — gdzie ona?
Próżno śpiewać jéj chwałę: dźwięk—to pustéj miedzi,
Póki serce nie bije odczuciem jéj treści.

— A czy nie żal wam życia słodkiego potoku?
Bo śmiertelna wyrocznia płonie w waszém oku,
Hieroglif smutku, piętno wielkie a ogniste,
Że w życiu waszém nie ma wczasu ni spocznienia,
Miłości prostéj, uczuć żywych i serdecznych,
Przyjaźni, snów rozkoszy ani chwil bezpiecznych?
— Nie ma, tak! Dla nas tylko oblicze jéj czyste —
Jasny wzrok—i ożywcze a płodne jéj tchnienia.

— Ale wy wszak umrzecie, nim jéj tron ujrzycie.
— Pewnie — i odrodzony w słonecznym rozświcie
Glob bez nas płynąć będzie—gdy my legniem w grobie.
Lecz jeśli ona żyje i ziemię porusza —
Jeśli stary świat zerwie wszystkie stare pęta:
Toć przez nas owa jutrznia odrodzin poczęta.
My nie umrzem. Żyć będziem—pełni szczęścia w sobie —
Bo życie krótkie — śmierć zaś słodko wita dusza.

— A ludzie was zapomną. — Ale my na wieki
Staniem się częścią globu, oceanów rzeki —
Częścią eteru, ognia, który w ziemi płonie
I wszystkich rzeczy dobrych; w każdém uderzeniu
Ludzkich serc—będzie drgała krwi naszéj kropelka —
Jak w naszych bije pulsach—niewygasła, wielka
Krew zmarłych, co wszczepili żądzę w naszém łonie
By ich ognistym śladem iść w rozpromienieniu.

— Lecz wy pić moglibyście z rozkoszy kielicha!
Szalony teraźniejszość kwiecistą odpycha
I zamyka się w jutra tchnieniu lodowatém,
Gdy oto matka, ojciec, brat wasz, siostra wasza

I ta wybranka wasza, wasze ukochanie
Pójdą w proch—i z nich śladu, jak z was, nie zostanie.
— Zostanie ta, co była nam jedynym światem,
Razem siostra, kochanka, razem matka nasza.

— Wartoż ofiar, by nagród doczekać tak małych?
Patrzcie! zamarłe usta wieków osiwiałych
W przeszłości swéj zasnute, jak w wiecznéj ciemnicy,
W pozaświatowych mrokach—w mogiłach zamkniętych
Drwią z was, wiedząc jak wielu mówiło też słowa
I upadli—upadli, i zmarłych grób chowa!
Wstaniecie-ż wy, gdy tamci nie wstali z martwicy?
— Nie my—lecz ona! Dla niéj nie żal być z wyklętych.

— Nie jesteście-ż zmęczeni? duch wasz nie zamiéra,
Widząc, jak noc z kolei—noc, dzień—dzień pożéra,
Chwila chwilę w bezsennym ogniu jak pochłania?
Bezsenni! kiedyż do snu zamkniecie powieki?
— Znużeni my! Omdléwa serce, mózg, dłoń, nogi —
I pewnie sen by dla nas nad wszystko był drogi,
Nad wszystko—prócz strasznego tego pożądania,
Które, gdy kto raz odczuł, będzie czuł na wieki.

— Tak lubą wam, że za nią gonicie wyschnięci —
Tak pewną, kiedy próżne wszystkie ludzkie chęci —
Mara ta: by w orkanach uzdrowienia cudu
Szukać—złamanym sercom i grzbietom ugiętym?
— Gdyby żywot nasz ślepy był, a śmierć jałowa,
Dumna nadzieja świata przecież się zachowa.
Człowiek się do człowieka, lud zwróci do ludu
I żywe będzie żywém, słowo święte—świętém!

— Omijajcie nas zatém—i płyńcie swą drogą.
Jakież światła po śmierci zabłysnąć wam mogą?
A gdy świt zajaśnieje, dowiecie-ż się w grobie?
A gdy człowiek zwycięży, gdzie wam posłać gońca?
— Dość jest światła na miarę jednego żywota,
Ludzie mrą, nieśmiertelną—człowieka istota.
My ludzie śmierć ponosim, siejąc w nocy dobie,
By człowiek w dzień się żywił, żął i żył bez końca.

Z angielskiego przełożył *A. Lange.*

Praca społeczna na wsi w Niemczech.

Wraz z rozwojem obecnéj epoki cywilizacyjnéj, punkt ciężkości życia społecznego przenosił się ze wsi i miasteczek do wielkich ośrodków miejskich. W tych ośrodkach bowiem nagromadzały się zasoby sił materyalnych i duchowych, dzięki którym rozwinęły się: nauka, przemysł, państwowość, ogólna organizacya funkcyi życia publicznego, zatém wszystko, co stanowi dorobek cywilizacyjny naszéj epoki. Ten szybki i wszechstronny postęp osiągnięty został na drodze domagania się jednostki o swe prawa osobiste oraz o wolność rozporządzania prywatną własnością. Indywidualizm więc i kapitalizm stały się cechami czasów naszych. W związku z tém w życiu społeczném nastąpiły odpowiednie zmiany: w miejsce dawnéj hierarchii, jednostka uzależnioną została jedynie od ogółu, a stanowisko jéj społeczne określono jéj majątkiem.

Ten charakter naszéj epoki bardzo niekorzystnie się odbił na rozwoju życia społecznego na wsi. Pojęcia bowiem obowiązków względem najbliższych, względem tych, z którymi nas naturalne węzły łączą, musiały zanikać, natomiast praca dla ogółu w bardzo słabym tylko stopniu mogła przedostawać się do oddalonych zakątków wiejskich i osiadła w granicach wielkich miast, które ogół najłatwiéj reprezentować mogły. Wszelkie więc instytucye publiczne oraz organizacye

społeczno-polityczne obejmowały ludność miejską, rola ras wiejskiéj ludności w ogólnym rozwoju życia społecznego pozostawała bierną.

W ostatnich jednak dziesiątkach lat coraz wybitniéj zaczęły występować objawy, które nie w indywidualizmie i kapitalizmie czerpią swe źródło, ale z poczucia solidarności społecznéj wypływają. Objawy te dotyczą nie tylko miast, lecz i wsi. Wskazałem ich znaczenie wśród stosunków wiejskich we Francyi w artykule „Syndykaty rolne we Francyi" („Ekonomista Polski", grudzień 1894 r.). Obecnie zamierzam rzucić pewne światło na pracę społeczną po wsiach w Niemczech.

I.

Z pośród niezmiernie licznych spółek, stowarzyszeń i towarzystw rolniczych na wsi w Niemczech, jeden rodzaj odznacza się przedewszystkiém swym charakterem społecznym: są to stowarzyszenia zaliczkowo-wkładowe typu Raiffeisena. Właściwy ich charakter określa to, że mają one, obok swéj specyalnéj funkcyi ekonomicznéj, zadanie społeczne na celu, mianowicie wzajemną pomoc i ogólne podnoszenie stanu materyalnego oraz duchowego swych członków. Dla przedstawienia jakie znaczenie mogą miéć te stowarzyszenia, weźmy najlepiéj odrazu jeden z bardziéj typowych przykładów.

W powiecie Schlüchtern (w okręgu Kassel) zostało w 1892 roku założone pierwsze stowarzyszenie typu Raiffeisena. Powiat, liczący 30,000 mieszkańców, jest zamieszkały przez ludność włościańską, przeważnie ubogą i znajdującą się przytém pod wpływem żydów, rozproszonych po wsiach samych i trzymających włościan w swych lichwiarskich rękach. W dwa lata po założeniu pierwszego stowarzyszenia, widzimy w tym jednym powiecie 16 stowarzyszeń z liczbą 1,012 członków. Nie ma wsi, gdzie by stowarzyszenia nie przeniknęły; w poszczególnych wsiach stowarzyszeni wraz z rodzinami stanowią od 20 do 55% ogółu ludności.

W sprawozdaniu z 1894, proboszcz Mayenschein, dyrektor związku rzeczonych 16-tu stowarzyszeń, streszcza ich zadanie w następnych punktach: 1) szerzenie bojaźni bożéj i moralności, 2) przygotowywanie członków do powołania życiowego, 3) podniesienie stanu materyalnego członków. W piewszym względzie zaznacza współdziałanie pastorów, księży i nauczycieli wiejskich, oraz katolików i ewangelików wogólności na wspólnym gruncie moralnego ducha wiary chrześciańskiéj. Wskazuje on również umoralniający wpływ sposobu udzielania poży-

czek. „Jeżeli kto wpadł w biedę przez własną lekkomyślność, mówi on, to czyż przekonanie, że najgodniejsi ludzie we wsi przyszli mu z pomocą i oczekują zmiany jego postępowania, nie pobudzi go do rzeczywistéj poprawy.” Dowiadujemy się następnie ze sprawozdania, że stowarzyszenia założyły 16 szkół dla starszych tak zwanych *Fortbildungsschulen*, do których uczęszcza 334 uczni w wieku od 14 lat do 60. Szkoły te mają na celu wypełnienie drugiego punktu programu, przyczyniając się znakomicie do ogólnego rozwoju ludności. Ekonomiczna działalność stowarzyszeń wreszcie przedstawia obrót 594,292 marki; pożyczki udzielane były w kwotach 40 — 70 marek, ilość więc obrotów była bardzo znaczna.

Jako bezpośredni skutek działalności stowarzyszeń, okazało się, już w krótkim przeciągu czasu dwóch lat, wynoszenie się lichwiarzy ze wsi, głównéj plagi ludności wiejskiéj w powiecie Schlüchtern.

Tak znakomity rozwój stowarzyszeń Raiffeisenowskich w przytoczonym przykładzie, przypisać oczywiście należy wyjątkowym przymiotom pewnych osobistości. Wogóle zresztą wszelkie stowarzyszenia wymagają dla swego rozkwitu jednostek, które by im się całą duszą oddały, ale szczególnie przy zakładaniu stowarzyszeń typu Raiffeisena koniecznem się staje, by ich prowadzenia podjęła się osoba, do któréj ludność okoliczna może mieć całkowite zaufanie; idzie tu bowiem o oddawanie swych oszczędności oraz o otrzymanie kredytu osobistego, którego przyznanie w znacznym stopniu od prowadzącego kasę zależy. Najczynniejszymi téż przy wprowadzaniu w życie tych stowarzyszeń okazują się księża i pastorowie, również więksi właściciele ziemscy; jednym zaś i drugim nauczyciele wiejscy przychodzą z cenną pomocą. Zakres działalności stowarzyszenia odpowiada najczęściéj parafii, zapisują się na członków włościanie rolni, gdyż bezrolni oczywiście nie mają możności czynienia wkładów. Zresztą spotykamy te stowarzyszenia prawie wyłącznie w tych okolicach Niemiec, w których własność chłopska znacznie przeważa, mianowicie na Południu i Zachodzie, gdzie właściwéj klasy bezrolnych włościan prawie wcale nie ma. W całych Niemczech można liczyć do 2,000 stowarzyszeń typu Raiffeisena; w 1895 roku około 1,600 należało do do związku centralnego w Neuwied. Związek ten w r. 1880 obejmował zaledwie 53 stowarzyszenia. Rozwój więc stowarzyszeń typu Raiffeisena jest bardzo szybki, a ponieważ jeszcze w wielu okolicach o tych stowarzyszeniach nie słyszano nawet, należy więc spodziewać się, że rozwój ten trwać będzie nadal.

Inne stowarzyszenia rolne w Niemczech, a szczególnie spółki mleczarskie, wzajemne ubezpieczenia inwentarza, wiejskie stowarzy-

szenia spożywcze, posiadają również znaczną doniosłość społeczną przez podnoszenie materyalne średniéj warstwy włościańskiéj oraz organizowanie jéj pod kierunkiem jéj naturalnych przewodników, na czele bowiem takich stowarzyszeń stoją zazwyczaj obywatele lub proboszcze. W tych jednak stowarzyszeniach wpływ społeczny nie jest stawiany za cel i okazuje się tylko jako pośredni skutek. Przejdźmy więc odrazu do towarzystw stawiających sobie na celu przedewszystkiém, podnoszenie bytu ludności wiejskiéj oraz oddziaływanie na jéj usposobienia społeczne.

II.

Najbardziéj typowém w tym względzie jest „Towarzystwo dobra ludu" w okręgu Angeln. Założone ono zostało w r. 1894 przez pastora Hennigsena. Działalność zwracało dotychczas w kierunku rozpowszechniania pism i książek z właściwą tendencyą wśród ludności wiejskiéj, zwalczania złych stosunków mieszkaniowych służby folwarcznéj, walki z agitacyą socyalno-demokratyczną oraz urządzania wieczornych pogadanek dla ludu. Co do tych ostatnich, oto parę wyciągów z przepisów wypracowanych przez towarzystwo na posiedzeniu d. 20 stycznia 1895 roku: 1) pogadanki wieczorne nie powinny miéć charakteru zabaw, ale zwrócone być mają ku rozświetlaniu pojęcia dobra ludu oraz wzmaganiu poczucia solidarności społecznéj; 2) tematy pogadanek powinny być czerpane z historyi oraz z palących zagadnień życia ludowego; 3) kobiety są dopuszczane na zebrania, dzieci zaś są wykluczone.

W 1896, czyli w dwa lata po założeniu, towarzystwo liczyło 1,200 członków w różnych okolicach okręgu. Zaznaczyć należy, że jest to okrąg wielkiéj własności a włościanie są przeważnie bezrolni. W poszczególnych miejscowościach towarzystwo założyło wydziały, mające rozwijać działalność na swoją rękę. Nadmienić wypada, że przy ostatnich wyborach do parlamentu w okręgu Angeln prawie w każdéj wsi padło kilka głosów na kandydata partyi socyalno-demokratycznéj.

Agitacya socyalistyczna już poprzednio stała się powodem założenia innych towarzystw z celem wpływania na usposobienie ludności wiejskiéj. Na sejmiku partyjnym socyalno-demokratycznym w Halli w 1890, postanowiono zwrócić działalność partyi ku ludności wiejskiéj. Bezpośrednio po tém, na zebraniu towarzystwa rolniczego prowincyi Saskiéj, nauczyciel Deike wskazał potrzebę działalności, która by odwróciła niebezpieczeństwo, grożące ze strony agitacyi przewrotowéj.

Towarzystwo jednomyślnie uchwaliło, że wobec kwestyi społecznéj należy wszystkie odcienie polityczne pozostawić na boku i wspólnie dążyć do polepszenia stosunku między pracodawcami a robotnikami i służbą. Polecono zarazem specyalnéj komisyi opracowanie statutów odpowiedniego towarzystwa, któremu wskazano za cel podnoszenie dobrobytu klasy roboczéj oraz utwierdzanie jéj zgody z kościołem, państwem i ustrojem społecznym. Towarzystwo takie założono w roku 1891. We wstępnéj przemowie zaznaczył Nagel, jeden z założycieli, że, jeżeli się na seryo myśli o zwalczaniu niebezpieczeństwa, grożącego ze strony agitacyi socyalnéj, nie dość jest założyć towarzystwo, ale przedewszystkiém potrzeba, by każdy pracodawca myślał o spełnieniu obowiązków, jakie ma względem swych robotników. Widzimy więc, że przy zakładaniu nadano towarzystwu bardzo wyraźny charakter społeczny. Zaraz w pierwszym roku zapisało się do towarzystwa 722 członków, następnie widzimy słaby przyrost; w r. 1894 liczba członków wzrosła tylko do 776. W pierwszym zaraz roku dochody towarzystwa wyniosły 5,297 marek, w połowie z wpisowego, w połowie z większych jednorazowych ofiar, wydatki zaś wyniosły zaledwie 1,860 marek. W trzecim roku dochody przedstawiają sumę 6,158 m. rozchody zaś 6,750 m. Sprawozdanie z 4-go roku istnienia towarzystwa wskazuje nam, na co wydatki zostały użyte. Największą sumę, 3,235 marek, wydano na wsparcia w wyjątkowych potrzebach ludności roboczéj wiejskiéj, jako to: choroby, padnięcie krowy, spalenie się sprzętów domowych, zawalenie się mieszkania; prócz tego z téj sumy udzielono parę zapomóg na kształcenie synów robotników rolnych na nauczycieli wiejskich. Następnie 1,640 m. rozdało towarzystwo w 57 wypadkach jako nagrody w kwotach 25 do 45 m. za 25-cio letnią nieprzerwaną służbę u jednego chlebodawcy. Daléj towarzystwo postarało się o założenie przy szkołach ludowych i przy tak zwanych *Fortbildungsschulen* dobrych bibliotek, samo zaś założyło chrześciańskie towarzystwo robotnicze z celem rozbudzenia życia towarzyskiego wśród robotników; obok zaś tego towarzystwa zorganizowano kółka dla wspólnego czytania. Cała ta działalność głównie do robotników wiejskich się odnosi.

Nie wszystkie jednak zadania udało się towarzystwu na razie doprowadzić do skutku. Tak np. towarzystwo myślało o założeniu miejscowych organów swoich, ale nie zdołało tego uskutecznić. Następnie chciało ono zorganizować biuro dla wynajdywania pracy robotnikom bez zajęcia, chciało daléj wziąć w swe ręce kwestyę poprawy mieszkań robotniczych, ale musiało poprzestać na zamiarach, nie znalazłszy dostatecznego poparcia ze strony ogółu.

Obok wymienionego towarzystwa funkcyonuje w téjże samej prowincyi saskiéj inne „Towarzystwo dla poprawy stosunków robotniczych wiejskich", założone w roku 1891-ym. Głównym jego celem jest obrona właścicieli ziemskich przed łamaniem kontraktów najmu przez robotników, po za tém towarzystwo ma cel polityczny na widoku: walkę bezpośrednią z agitacyą socyalno-demokratyczną, wreszcie stawia sobie ono ogólne zadanie polepszenia bytu ludności robotniczéj wiejskiéj; w tym względzie wybrało ono komisyę, któréj działalność jednak dotychczas się nie uwidoczniła.

Za to prawdziwą doniosłość dla dobrobytu ludności wiejskiéj okazuje „Wirtemberskie towarzystwo pomocy w razach wyjątkowéj nędzy po wsiach". Założono je w r. 1887 w Stuttgardzie w celu niesienia pomocy piéniężnéj po wsiach w razach, gdy małym datkiem oraz radą uchronić można od ruiny rodzinę całą, zważywszy, że dobroczynność publiczna przychodzi z pomocą, gdy całkowita nędza nastaje i dźwignąć się już zapóźno. Towarzystwo stara się ogólnie o podniesienie ducha miłości bliźniego i zwrócenie ofiarności publicznéj ku pomocy ludności wiejskiéj. W tym względzie wydaje ono seryę broszur wychodzących trzy lub cztery razy do roku, pod tytułem: „Obrazy nędzy na wsi". Autorem tych broszur jest proboszcz ze Stuttgardu, Umfried, który ma prawdziwy talent autorski. Broszury rozchodzą się też w poważnéj liczbie 10,000 egzemplarzy. Rozporządza towarzystwo znacznemi środkami. W roku 1894-ym, podczas klęski na paszę, przyszło ono z prawdziwym ratunkiem włościanom zagrożonym wyprzedażą całego inwentarza. Tak np. na dwóch posiedzeniach tylko 21 i 22 lutego rozdało 42,691 marek na zakup paszy. Ogólne obroty piéniężne towarzystwa przedstawiają się imponująco: tak np. od czerwca 1893 r. do czerwca 1894 roku wydało ono na zapomogi 105,603 marki w 4,102 oddzielnych wypadkach.

Obok téj działalności filantropijnéj, podejmowało towarzystwo zadanie społeczne, jednym z celów jego bowiem jest pobudzanie do zakładania stowarzyszeń typu Raiffeisena, oraz ubezpieczeń inwentarza. Gdzie one nie istnieją, rozdaje towarzystwo najpierw odpowiednie broszury, a następnie wysyła w razie potrzeby specyalnego agenta, który podejmuje się zorganizowania i puszczenia w ruch odpowiednich urządzeń. Głównym ze skutków takiéj świadoméj celu działalności towarzystwa, jest wyrwanie ludności wiejskiéj z rąk lichwiarzy, z którymi towarzystwo przytém bezpośrednią toczy walkę, podejmując się kosztów procesów przeciw nim wytaczanych. Cała ta działalność towarzystwa przedstawia nam wybitny przykład wpływu inteligencyi śred-

niomiejskiéj na społeczeństwo chłopskie, cały okrąg bowiem koło Stuttgardu przez samych drobnych posiadaczy rolnych jest zamieszkały, a członkami towarzystwa są: kler i inteligencya miasta Stuttgardu.

Niemałą również doniosłość społeczną przyznać należy instytucyom filantropijnym, mającym na celu podniesienie stanu zdrowotnego ludności wiejskiéj, oraz niesienie pomocy w razach chorób. W swoim rodzaju typowém jest np. „Braunfelskie towarzystwo hygieniczne”. Przy założeniu swojém w roku 1894-ym liczyło ono 153 członków, postanowiło jednak objąć całą ludność okręgu. W tym celu organizuje ono wszędzie po wsiach swoje organy, w skład których wciąga wójta, księdza, nauczyciela, lekarza, jednego chłopa z danéj wsi zarazem. Każdy taki miejscowy organ towarzystwa znajduje się w ścisłym związku z lekarzem towarzystwa, który od czasu do czasu przyjeżdża i miewa dla chłopów pogadanki i odczyty o hygienie, daje wskazówki i rady, a miejscowemu organowi przekazuje zlecenia zarządu towarzystwa.

Dla stanu zdrowotnego ludności wiejskiéj, obok ogólnych warunków sanitarnych i doraźnéj pomocy lekarskiéj, niezmiernéj jest wagi—pielęgnowanie chorych, które po wsiach wiele pozostawia do życzenia i znajduje się w nadzwyczajném zaniedbaniu ze strony społeczeństwa, kiedy w mieście, dzięki ulepszeniom w urządzeniu szpitali, znaczny postęp na tém polu został osiągnięty. Szpitale jednak, po mniejszych nawet miastach, mogą zaledwie w bardzo słabym stopniu przychodzić z pomocą ludności wiejskiéj. Za to otwarte tu w całéj pełni pole dla działalności sióstr miłosierdzia. W r. 1885 w Schwäbisch-Hall powstał téż dom sióstr miłosierdzia ze specyalném przeznaczeniem pielęgnowania chorych po wsiach. Prócz znakomitych usług dla zdrowotności wiejskiéj, działalność sióstr miłosierdzia ma i ogólne znaczenie: wnoszą one wyższą duchową atmosferę w chaty chłopskie, sama ich obecność pośród włościan musi oczywiście wywierać na nich dobroczynny wpływ obyczajowy, siostry przytém same zajmują się dostarczaniem pożytecznych książeczek, a szczególnie starają się o uobyczajenie dziewczyn wiejskich przez wspólne spacery i pogawędki z niemi. Proboszcz Faulhaber, prowadzący wspomniany dom sióstr miłosierdzia, wzywa młode osoby płci żeńskiéj wszelkich stanów do wstępowania gromadnie do podobnych zakładów, nie na całe życie zresztą, bo to jest rzeczą powołania, które rzadko tylko się objawia, ale na lat parę, a to w imię spełnienia obowiązku, jaki każdy względem własnego społeczeństwa i bliźnich posiada. Wpływ bowiem, jaki siostra miłosierdzia może mieć na wsi, jest ogromny, choć i trudno-

ści, na jakie przy swéj działalności natrafia, są większe niż w mieście. Podnieść więc należy, jako objawy bardzo dodatnie, oddzielne wypadki osiadania po wsiach sióstr miłosierdzia. Tak np. w Rogzow, wielkiéj wsi podmiejskiéj, liczącéj 1,500 mieszkańców, pastor miejscowy założył dom przytułkowy i sprowadził siostrę miłosierdzia, któréj utrzymanie kosztuje 750 marek rocznie. Oddaje ona ludności wsi nieoszacowane usługi, pielęgnując chorych, ucząc gospodynie porządku i oszczędności, rozciągając opiekę nad dziećmi podczas nieobecności rodziców. Nic też dziwnego, że „Towarzystwo kobiéce okręgu królewieckiego" w swéj filantropijnéj działalności na wsi, wyłącznie prawie siostrami miłosierdzia się posługuje.

W ostatnim więc dziesiątku lat widzimy wyraźne zwrócenie się filantropii publicznéj ku wsi. W porównaniu z miejskiemi publicznemi urządzeniami dobroczynnemi, są to objawy małoznaczące, nabiérają jednak doniosłości, gdy uwzględnimy, że poprzednio prawie nic w tym względzie nie istniało.

Rozpatrzyliśmy działalność, odnoszącą się do wpływu na ogół ludności wiejskiéj. Teraz przejdziemy do właściwéj kwestyi robotniczéj na wsi.

III.

Kwestya robotnicza istnieje na wsi, zarówno jak i w mieście, choć w innym stopniu i rodzaju. Kiedy w mieście kwestya robotnicza powstaje i zaostrza się wraz z rozwojem przemysłu, wraz z postępem ekonomicznym, na wsi jest ona wynikiem przedewszystkiém historycznego rozwoju. W miastach—rozwój wielkich przedsiębiorstw, upadek drobnych, nagromadzanie się w wielkich centrach zastępów ludności roboczéj jest zjawiskiem normalném, postępującém z siłą konieczności naprzód, leży bowiem w ewolucyi ekonomicznéj ustroju kapitalistycznego. Na wsi widzimy co innego: wielka własność bowiem nie posiada bynajmniéj stanowczéj przewagi nad mniejszą w walce konkurencyjnéj. Gdy zboże jest w dobrych cenach i produkcya jego znaczne daje zyski — warunki sprzyjają rozwojowi wielkiéj własności, która rozporządza większemi środkami dla produkcyi na wielką skalę. Ale przy rozwoju ogólnéj konkurencyi ekonomicznéj, właśnie zboże najbardziéj ulega obniżeniu cen, jako produkt najłatwiéj ulegający transportowi. Gospodarstwo musi więc szukać oparcia w innych gałęziach produkcyi, jako to: w uprawie roślin handlowych, oraz w dostarczaniu produktów zwierzęcych. Wtedy to drobna własność osiąga

przewagę ekonomiczną, w tych bowiem gałęziach gospodarczych, główną rolę odgrywa ilość i jakość włożonéj pracy, gdyż idzie o pielęgnowanie niejako płodów i zwierząt.

Konkurencya więc ekonomiczna nie wywiéra bynajmniéj decydującego wpływu na kształtowanie się stosunków własnościowych na wsi. Stosunki te posiadają zresztą względnie wysoką stałość i tylko powoli zmiany w ich łonie następować mogą. To téż przewaga większéj lub mniejszéj własności w danym kraju jest wynikiem ogólnego historycznego rozwoju danego kraju.

W Niemczech widzimy téż dwie części, znacznie się, pod względem stosunku własności ziemskiéj większéj i drobnéj, różniące. Część zachodnio-południowa, leżąca po lewéj stronie Elby, posiada stanowczą przewagę drobnéj własności. Nie spotykamy tu téż właściwéj klasy robotników wiejskich. Służba folwarczna w nielicznych większych dobrach rekrutuje się z młodszych członków rodzin małorolnych włościan; zresztą liczba jéj jest ograniczoną do *minimum*. Ogół robót gospodarskich wykonywany jest przez dziennych najmitów, których obficie dostarczają okoliczne wsie gęsto zaludnione. W każdéj wsi bowiem sporo jest włościan małorolnych, którzy głównie z wyrobku się utrzymują. Włościanie ci nie wyodrębniają się, jako klasa, od swych bogatszych sąsiadów, z którymi obcują ciągle i jednakowy tryb życia prowadzą; dążeniem ich przytém jest dokupić sobie ziemi i stać się zupełnie niezależnymi, co im się czasem udaje. W téj więc stronie Niemiec właściwa kwestya robotnicza na wsi nie istnieje.

Inne stosunki spotykamy na wschód od Elby w całéj północnéj i wschodniéj części Niemiec. Tu większa własność przeważa i chłopi bezrolni stanowią główną grupę ogółu ludności. Folwarki utrzymują liczną służbę, ordynaryuszów i komorników, wsie bowiem są nieliczne i na robotnika z pośród rolnych włościan liczyć trudno. Tutaj robotnik wiejski nie należy do gromady włościańskiéj, nie mieszka na wsi saméj, w swojéj chałupie, ale obok zabudowań folwarcznych w czworakach dworskich. Robotnicy więc wiejscy, ordynaryusze i komornicy, stanowią osobną klasę ludności, w ścisłéj pozostającą zależności od pracodawcy i oddzielonéj od warstwy włościan rolnych. O wyjściu ze swego stanu i podniesieniu swéj sytuacyi dla takiego robotnika mowy prawie nie ma, otrzymuje on bowiem za swoją pracę tyle tylko, ile mu do życia potrzeba, a sam prócz swéj pracy nic nie posiada. W téj drugiéj więc połowie Niemiec kwestya robocza na wsi istnieje w całéj pełni.

Zwróciła ona na siebie ogólną uwagę społeczeństwa niemieckiego około 1870 roku. Powodem zajęcia się położeniem robotników wiej-

skich była, najpierw, wzrastająca ciągle emigracya bezrolnéj ludności wiejskiéj do miast. Tymczasem zaś rolnictwo niemieckie od r. 1850 znajdowało się w okresie szybkiego postępu ekonomicznego i zapotrzebowanie rąk roboczych na wsi ciągle wzrastało. Do ujemnego znaczenia dla stosunków wiejskich masowéj emigracyi chłopów do miast, przyłączył się po roku 1870-ym drugi czynnik, który jeszcze bardziéj zatrwożył ziemiańskie społeczeństwo niemieckie: agitacya socyalno-demokratyczna. W r. 1873 państwo urządziło ankietę o „położeniu robotników wiejskich w Niemczech" i jedném z pytań było: „czy agitacya socyalistyczna przeniknęła do ludności wiejskiéj i z jakim skutkiem?" Wiele było odpowiedzi, że agitacya ta nie przeniknęła, ale za to w razach, gdy odpowiedź była twierdząca, znajdował się prawie wszędzie dodatek, że agitacya miała skutek, a często było zaznaczone, że miała wielkie powodzenie. Widzimy téż w okresie od r. 1870 do 1880 cały szereg dzieł poświęconych kwestyi roboczéj na wsi, jako to: Knauera, von der Goltza, Schönberga, Leo. Z tych prac szczególniéj książka Knauera: *Die sociale Frage auf dem plattem Lande* narobiła rozgłosu i wywarła ogólny wpływ na opinię publiczną. Za punkt wyjścia dla tych prac posłużył program postulatów, opracowanych przez specyalną konferencyę przedstawicieli rolnictwa niemieckiego nad kwestyą roboczą na wsi. W konferencyi brali udział profesorowie, mężowie stanu, oraz bardziéj wybitne osobistości z pośród większych właścieli ziemskich. Odbyła się ona w r. 1872, program jéj został zatwierdzony na posiedzeniu 1 maja. Oto główne jego punkty (w streszczeniu): konferencya uznaje, że poprawa stosunków robotniczych na wsi wymaga koniecznie rozstrzygnięcia. Ku temu uważa za właściwe następujące środki: 1) utworzenie szkół-ochronek dla małych dzieci, które jeszcze nie mogą uczęszczać do szkół elementarnych, a w każdym razie urządzenie przynajmniéj ochronki, gdzieby małe dzieci mogły znaléść nadzór i opiekę, kiedy rodzice znajdują się u roboty; 2) utworzenie szkół dla dorastającéj młodzieży wiejskiéj, która już do szkół elementarnych nie uczęszcza, a to w celu wpływu na wyrobienie ogólnych poglądów nowych pokoleń; 3) umiarkowane stosowanie pracy kobiét i dzieci; 4) ograniczenie długości dnia roboczego; 5) poprawę mieszkań dla służby i robotników; 6) stosowanie jaknajczęstsze wynagrodzenia akordowego; 7) zaprowadzenie dodatkowych tantyem dla robotników; 8) organizowanie stowarzyszeń spożywczych, ubezpieczeń na bydło, kas pomocy w razie choroby lub śmierci, oraz kas oszczędności; 9) ułatwienie robotnikom nabywania ziemi na własność.

Postulaty te dotychczas figurują w literaturze ekonomicznéj, jako program postępowania dla rozstrzygnięcia kwestyi robotniczéj na

wsi. Urzeczywistnienie ich jednak z biegiem czasu w słabym tylko stopniu zostało dokonane. Około 1880 roku oto nastąpiło znaczne ochłodnięcie w zajęciu się sprawą robotników wiejskich. Z jednéj bowiem strony prawa wyjątkowe przeciw socyalistom (ustanowione w r. 1878) postawiły tamę szerzeniu się agitacyi partyi socyalno-demokratycznéj na wsi, kiedy w miastach odbywała się ona daléj pokryjomu, z drugiéj zaś strony rolnictwo zaczęło wchodzić w okres kryzysu ekonomicznego, który na razie sprowadził ogólny upadek ducha ziemian i obniżył zainteresowanie się sprawami społecznemi. Brak robotnika miejscowego zaczęto przytém zastępować, używając w pewnych porach partyi robotniczych, sprowadzanych z dalszych okolic. Po 1890-ym roku jednak znowu zaczęto zwracać większą uwagę na położenie robotników rolnych. Partya socyalno-demokratyczna bowiem, odzyskawszy swobodę działania po zniesieniu praw wyjątkowych w r. 1890-ym, natychmiast wzięła się do agitacyi po wsiach. Przewlekły zaś kryzys rolny, który początkowo ogólną apatyę sprowadził, zaczął wreszcie skłaniać rolników do obmyślania środków zaradczych i zwrócenia się ku zagadnieniom ekonomiczno społecznym. Ponownie więc pojawiają się w literaturze dzieła poświęcone położeniu robotników wiejskich. Pierwszorzędna powaga w zakresie ekonomii rolniczéj, von der Goltz, który już w okresie 1870—1880 r. wydał parę prac, poświęconych kwestyi robotniczéj na wsi, wydaje w r. 1893 dzieło „Klasa robotników wiejskich i państwo pruskie", w którém domaga się, by państwo zajęło się na seryo rozstrzygnięciem sprawy robotniczéj na wsi. Służyć ma ku temu tworzenie przez państwo kolonii robotniczych przez ułatwianie robotnikom wiejskim nabywania na własność małych parceli obok wsi włościańskich. Tym sposobem ludność bezrolna zamienioną zostanie w małorolną i zleje się w jedną klasę z obecném włościaństwem rolném. Obok tego państwo ma pobudzać i niejako zobowiązywać dzierżawców dóbr państwowych do zaprowadzania nowych lepszych stosunków względem służby folwarcznéj, która powinna zostać zainteresowaną w ogólnym dobrobycie majątku, oraz winna mieć możność, przez pracę i oszczędność, dojścia do lepszego stanu. Tym sposobem państwo będzie dawało przykład większym właścicielom, jak sami mają swój stosunek do robotników normować.

W podobnym duchu zaczęło wychodzić w Berlinie w r. 1890-ym pismo, poświęcone sprawie dobra ludu wiejskiego, *Das Land*, redagowane przez znanego działacza na polu społecznem na wsi, Henryka Sohnrey'a.

Dla lepszego pojęcia na czém może polegać działalność samych właścicieli ziemskich w sprawie poprawienia stosunków między nimi, a ich ludnością roboczą, rozpatrzmy parę faktów. Najradykalniejszym środkiem usunięcia kwestyi robotniczéj jest zaprowadzenie łączności interesów między właścicielem a robotnikami, przez nadanie tymże poważnego udziału w zyskach. Pierwszy przykład tego rodzaju urządzenia na wsi dał, już w połowie tego wieku, uczony ekonomista-rolnik Jan Henryk von Thünen, autor głośnego i po dziś dzień wartościowości dzieła: *Der isolierte Staat*, w swych dobrach Tellow w Mecklenburg-Schwerinie. Oznaczył on dochód od kapitału, jaki jego majątek przedstawia, na 18,000 marek i określił, że z nadwyżki dochodu ponad tą sumę przeznacza 11% do podziału między 22 rodziny służby folwarcznéj. Ze sprawozdań z lat od 1847 do 1891 widzimy, że w jednym tylko 1876—77 roku nie było żadnéj nadwyżki do podziału. Suma, przypadająca na każdą rodzinę, wyniosła w tym przeciągu czasu przeciçciowo 70 marek, w 5-ciu latach była ona niżéj 30 marek, w sześciu wyżéj ponad 100. *Maximum* widzimy w r. 1863 — 64, mianowicie 155,52 m. na każdą rodzinę. Sumy te nie zostają doręczane robotnikom, lecz zapisywane są do kasy oszczędności na ich rachunek i rocznie 4½% zostaje od nich wypłacany. Podniéść swą sumę z kasy oszczędności można dopiéro po ukończeniu lat 60-ciu. Do tego czasu poważny kapitalik uzbiérać się może. Obliczając sumy tylko z 30-tu lat, od roku 1860 do 1890 naprzykład, otrzymujemy kapitał 2,111 marek 31 fenigów.

Skutki tego urządzenia wydają się jaknajlepsze; to téż utrzymaném ono zostało aż do naszych czasów przez syna, a następnie przez wnuka założyciela. Z początku ludzie byli niezadowoleni, że sumy nie są im wypłacane w gotówce, następnie jednak zrozumieli całą korzyść, jaka właśnie dla nich wypływa ze składanéj oszczędności. Tak więc, kiedy udział w zyskach każe robotnikowi dbać o dobro pańskie, kasa oszczędności pozwala mu podniéść się ze swego stanu, jeżeli nie samemu, to przynajmniéj potomstwu.

Najbardziéj znanym przykładem udziału w zyskach jest urządzenie tego rodzaju w Posegnik, majątku Neumanna w Prusach wschodnich. Udział swéj służby folwarcznéj w zyskach określił Neumann po paru próbach na 8% od ogólnego czystego dochodu. Wskutek tego podziału, na każdą głowę przypadło przecięciowo około 45 marek na rok naddatku. Z tego udziału rocznego robotnika, ⅔ pozostawały w kasie oszczędności na procent składany 4⅓, skąd swą sumę dopiéro po skończonych 60 latach wycofać wolno. Tym sposobem robotnik, który wstąpił na służbę w 25-ym roku życia, może w 60-ym roku mieć

uzbiérany kapitał z 1,575 marek, i to bez specyalnego ze swéj strony zachodu. Założyciel tego urządzenia, Neumann, już po długoletniém doświadczeniu w roku 1874-ym wyraził się o niém bardzo pochlebnie; temu urządzeniu bowiem zawdzięcza on znaczne ułatwienie w prowadzeniu gospodarstwa, oraz oszczędność na pracy, narzędziach, paszy, wobec dbałości samych pracowników o wspólne dobro, tak, że ofiarę pieniężną, jaką dobrowolnie czyni ze swego dochodu, za ciężar dla siebie nie uważa.

Oryginalny sposób podziału zysków zaprowadził Jahnke w Bredow w roku 1872-im. Bredow jest to niewielki folwarczek, administracya jego nie przedstawia więc trudności, natomiast powodzenie przedsiębiorstwa w znacznym stopniu zależy od sumiennego wykonania robót. Jahnke zawarł wobec tego kontrakt z pięcioma rodzinami robotniczemi, które mu po 30 marek kaucyi poskładały. Mocą tego kontraktu właściciel zobowiązuje się dostarczyć wszystkich narzędzi i środków pracy, prowadzić administracyę majątku, oraz rachunkowość, robotnicy zaś zobowiązują się wszystkie potrzebne roboty wykonać sami, lub z pomocą najętych na ich własny koszt innych robotników. Właściciel dostaje za prowadzenie gospodarstwa 900 marek i, jeżeli ma zastępcę, musi go z własnych funduszów opłacać. Używanie na własną potrzebę ogólnych zasobów gospodarskich wiejskich, jako to: mieszkanie, opał, mléko, warzywa, zboże—jest zobopólne; dla właściciela określoném zostaje na sumę 650 marek, dla każdéj rodziny robotniczéj na sumę 135 marek. Za używanie koni roboczych do wyjazdów, zarówno właściciel jak i robotnicy płacą taksę do wspólnéj kasy majątku. Dochód czysty z majątku zostaje podzielony w równéj części między właścicielem z jednéj, a rodzinami robotniczemi z drugiéj strony. Na rachunek dochodu robotnicy otrzymują tygodniowe zaliczki.

Po trzech latach istnienia tego systematu, sam Jahnke chwalił sobie jego dobre rezultaty. Zaznaczył tylko, że z początku częste były sprzeczki między robotnikami. Rzeczywiście téż system ten, który jaknajbardziéj ścisłą spójnię między pracodawcą a robotnikami zaprowadza, wydaje się możebnym tylko w bardzo niewielkich folwarkach, gdzie mała ilość rodzin robotniczych wystarcza do opędzenia głównych potrzeb gospodarskich. W takich téż folwarkach na przychylności samych robotników najbardziéj zależy. Zaznaczyć przytém wypada, że Jahnke już w r. 1877 sprzedał swój majątek i całe jego urządzenie przepadło, pomimo że sami robotnicy domagali się dalszego jego utrzymania. Jahnkego „wygryźli" sąsiedni obywatele, którzy upatrywali w jego postępowaniu niebezpieczne bałamucenie ludzi. Wo-

góle zauważyć można, że warstwa większych posiadaczy rolnych z pewną niechęcią i uprzedzeniem zapatruje się na system udziału w zyskach, przykłady więc tego rodzaju są dotychczas czysto wyjątkowe i odosobnione.

Realniejszy już grunt, zdaje się, posiadają inne urządzenia dla robotników wiejskich, nie tak daleko sięgające, jako to: kasy oszczędności, kasy pomocy i t. p. Kasy oszczędności istnieją i rozwijają się korzystnie w kilku większych posiadłościach ziemskich; jeżeli jednak nie towarzyszą im inne urządzenia, które podnoszą dobrobyt ludu, same kasy nie mogą mieć rzeczywistego znaczenia dla właściwych robotników wiejskich, którzy zarabiają tyle tylko, by mogli się utrzymać z rodziną i o odkładaniu choć trochę znaczących sum myśléć nie mogą. Biorąc ten wzgląd pod uwagę, wspomniany wyżéj Neumann z Posegnik ustanowił przy zaprowadzaniu kasy oszczędności, że do każdego złożonego talara będzie sam markę dokładał, co znaczną jest już zachętą dla biédnych ludzi do jaknajwiększego ograniczania swych potrzeb i składania swych oszczędności.

Przykład kasy pomocy dla robotników wiejskich znajdujemy w Lupitz, własności d-ra Schultza. Pewien fundusz kasy został złożony przez samego właściciela, który prócz tego przeznacza na wydatki kasy część swych dochodów z majątku; do tego przybywa drobna część w postaci prawnie należącego się kasom pomocy procentu od płacy zarobnéj robotników. Kasa z jednéj strony udziela rodzinom robotników wsparć w razie śmierci lub kalectwa, oraz chorób, a z drugiéj—wyznacza gratyfikacye za dobrą służbą i pracę. Łączy więc ona tym sposobem dobro robotników z interesem samego właściciela.

Z innych urządzeń, mających na celu dobro robotników wiejskich, należy wymienić ochronki dla małych dzieci. W Hornsoemmern, własności Wadsack'a, widzimy ochronkę funkcyonującą od maja do września. Ochroniarka otrzymuje mieszkanie i pensyi 20 marek miesięcznie. Matki przynoszą dzieci od 5-éj rano, a same idą do roboty, na obiad zabiérają swe dzieci napowrót, po obiedzie pozostawiają je do 7-éj wieczorem w ochronce. Dzieci w ochronce są żywione odpowiednio do potrzeby. W majątku Werdhausen właściciel Vibrans założył ochronkę dla dzieci od 1½ do 6-go roku. Ochroniarka ma za zadanie nietylko dbać o porządek między dziećmi, ale przyczyniać się do ich rozwoju, opowiadając bajki, ucząc piosenek i t. p. Takąż ochronkę widzimy w dobrach, już dwa razy wspomnianych, Posegnik Neumanna.

Wyżéj przedstawione objawy stanowią tylko drobną część ogólnéj działalności ziemian, skierowanéj ku polepszeniu bytu robotników

wiejskich. Działalność ta bowiem mniéj w odpowiednich urządzeniach społecznych, ile w czysto osobistéj pracy i postępowaniu ogólném ujawniła się. Traktowanie robotników, mianowicie, uległo korzystnym zmianom, prócz tego właściciele ziemscy wprowadzili wiele rzeczywistych ulepszeń w urządzaniu mieszkań folwarcznych dla służby i komorników. W obecnéj naszéj pracy jednak uwzględniamy tylko te fakty, które nam nowe urządzenia społeczne przedstawiają. Otóż stwierdzić musimy, że całe zainteresowanie się społeczeństwa niemieckiego położeniem robotników wiejskich nie zdołało powołać do życia ogólnych urządzeń społecznych, któreby miały dokonać rzeczywistych zmian w stosunku chlebodawcy do pracownika. Oddzielne przykłady w tym kierunku albo są odosobnionemi objawami, albo też nie przedstawiają ogólnéj doniosłości społecznéj.

IV.

Na zasadzie przedstawionych faktów, możemy rzucić pewne ogólne światło na rozwój życia społecznego na wsi w Niemczech. Cechą wspólną przytoczonych objawów jest, że okazują wprowadzanie w życie poczucia solidarności ludzkiéj, w imię któréj słaby zostaje przez silnego podtrzymanym w walce o byt. Objawy te jednak, choć wspólnéj natury, przedstawiają wielką różnorodność i widocznie nie z jednego tylko źródła wypływają i nie na jednaki grunt natrafiają. Najdonioślejsze znaczenie okazuje działalność zwrócona ku podniesieniu bytu średniéj klasy wiejskiéj, włościan rolnych, ze wszystkich bowiem przytoczonych faktów, stowarzyszenia typu Raiffeisena, oraz „Stuttgardzkie towarzystwo pomocy na wsi" mają najbardziéj rozgałęzioną działalność obok najszybszego rozwoju. Dobrze również rozwija się ogólna działalność filantropijna na wsi, zwrócona szczególniéj ku podniesieniu stanu zdrowotnego ludności wiejskiéj; najsłabiéj zaś funkcyonują i rozszerzają się urządzenia, mające na celu polepszenie stosunku między pracodawcami a robotnikami.

Motywy wyżéj wskazanych objawów są różnorodne. Przedewszystkiém wymienić należy ogólne poczucie miłości bliźniego, które wszelkiéj filantropii jest podstawą. Głównym jednak, właściwym motywem pracy społecznéj, przez nas przedstawionéj, jest to poczucie obowiązku społecznego względem tych, z którymi nas łączą węzły naturalne. Ogólne wzmożenie się tego poczucia charakteryzuje w wysokim stopniu ewolucyę duchową, jaką obecna nasza epoka cywilizacyj-

na przechodzi. Poczucie to na wsi najsilniéj się objawia wśród kleru, daléj wśród nauczycieli wiejskich, właścicieli ziemskich, wreszcie wśród inteligencyi małomiasteczkowéj. W pracy społecznéj widzimy obok poczucia obowiązku niekiedy i inne motywy: tak np. względy polityczne wpływały na założycieli towarzystw występujących do walki z agitacyą partyi socyalno-demokratycznéj; wzgląd zaś ekonomiczny, mianowicie potrzeba uzyskania dla siebie robotnika, dążącego do emigrowania, wpływa w pewnym stopniu na właścicieli ziemskich w ich pracy, podjętéj dla polepszenia położenia robotników wiejskich.

Całokształt wskazanych objawów pracy społecznéj na wsi w Niemczech nie przedstawia się w obecnéj dobie imponująco. Jeżeli uwzględnimy jednak, że prawdziwy ruch w téj mierze zaczął się bardzo niedawno, musimy uznać jego doniosłość. Ruch ten przytém ma przyszłość przed sobą; w obecnéj bowiem chwili istnieje już sporo działaczów, świadomych swoich celów, którzy gorąco nawołują młode siły do brania udziału w ogólnéj pracy nad podniesieniem stanu społecznego ludności wiejskiéj, a wśród młodego pokolenia nie brak na chęciach do działalności społecznéj, brakowało tylko oryentacyi. Wiele téż nowych sił, jeszcze nie wyzyskanych, może przybyć wskazanemu ruchowi. Inteligencya drobnomiejska zdaje się dotychczas zbyt słaby brać udział w pracy społecznéj na wsi. Wypływa to głównie ze wzajemnego niezaufania, jakie panuje między inteligencyą z jednéj a klerem i dworem z drugiéj strony. Należy się jednak spodziéwać; że na gruncie wspólnego poczucia w spełnianiu swych obowiązków oraz bezinteresownéj pracy, niedowierzanie to zniknie. Dzięki usilnéj i trwałéj pracy we wskazanym kierunku zdoła wieś wyjść ze swéj biernéj roli i wziąć czynny udział w ogólném życiu cywilizacyjném całego społeczeństwa.

Władysław Grabski.



POCZĄTEK I SCHYŁEK

CESARSTWA RZYMSKIEGO.

Gardthausen V. „Augustus und seine Zeit". Lipsk, 1891 i 1896. B. G. Teubner Cz. I, t. I, str. 481; t. II. str. 485—1032. Cz. II, t. I, str. 276, t. II, str. 277—648. Seeck Otto. „Geschichte des Untergangs der antiken Welt." Berlin, 1895. Siemenroth et Worms. Tom I, str. 551.

Cesarstwo rzymskie pozostanie bezwątpienia nazawsze jednem z najciekawszych i najgłębsze umysły przyciągających zjawisk w dziejach świata.

Z jednéj strony rozciąga się ono, jako przejście do lekkiéj, powabnéj i swobodnéj u góry, bo od dołu na niewolnictwie opartéj kultury świata klasycznego, do surowych i ponurych, grubym mrokiem barbarzyństwa odzianych wieków średnich. Z drugiéj zaś strony wyrasta ono przeważnie jako owoc gwałtu i usiłowań jednostki, a równocześnie rzuca wielką ideę połączenia i związania w jedno kultury i cywilizacyi wszystkich ludów świata starożytnego, zarówno Wschodu, jak i Zachodu. A pomimo tego, ten wielki postulat dziejowy nie został osiągnięty, i cesarstwo rzymskie wali się pod naciskiem fali barbarzyńskiéj płynącéj od północy. Przez cały ciąg jego trwania od pierwszych dni pryncypatu Augusta aż do Konstantyna W. i jego następców, jakieś drgania podziemne zapowiadają co chwila straszliwy wybuch, a z nim zagładę zarówno saméj kolosalnéj budowie państwowéj, jak i całemu światu starożytnemu. Czy Rzym nie posiadał tyle

sił, aby zaszczepić swą kulturę i cywilizacyę ludom barbarzyńskim Germanii, podobnie jak to uczynił z ludami Galii? Czy idea powszechnéj kultury i cywilizacyi, którąby wszystkie ludy świata starożytnego objęła, była zbyt wczesną, czy też cesarstwo rzymskie nie mogło wziąć na swe barki zadania rozkrzewiania téj idei, oraz zabezpieczenia trwałego i równomiernego postępu ludzkości? Czy faktycznie na istnieniu i upadku tego cesarstwa spoczywa wina blisko całego tysiącolecia zmroku umysłowego, które przyniosły ze sobą wieki średnie? Pytania te należą do najciekawszych, a zarazem i najtrudniejszych, w przybliżeniu dających się tylko rozwiązać zagadnień historyi.

Bezwątpienia cesarstwo rzymskie przyniosło ze sobą dla ludów starożytności pewien uniwersalizm kultury i cywilizacyi. Posłuchajmy, co mówi o tém najlepszy znawca tych czasów, Th. Mommsen [1]): „W miastach rolniczych Afryki, w winnicach zakładanych nad Mozelą, w kwitnących miejscowościach libijskich gór i w syryjskich pustyniach, wszędzie musimy szukać i możemy odnaléść ślady pracy cesarstwa.” Ale uniwersalizm ten jest raczéj zewnętrznym pokostem, aniżeli ideą powszechnéj jedności, którąby tkwiła jako sprężyna działania w masach. Ani język rzymski, ani cześć dla wspólnego bóstwa, cesarza, zwłaszcza po prowincyach, ani legiony, ani urzędnicy rzymscy nie zdołali dokonać spojenia. Dzieła tego spojenia kultury i cywilizacyi podjęła się dopiéro idea chrześciaństwa. Cesarstwo rzymskie, które już w Konstantynie W. znalazło człowieka, co pojął wagę téj idei, prawnie i po upadku Rzymu nie przestaje istniéć i przez całe wieki średnie, łącznie z nową wiarą, prowadzi daléj dzieło łączenia i cywilizowania ludów. To nowe cesarstwo rzymskie średniowieczne było właściwie cesarstwem niemieckiém, zdawnego cesarstwa rzymskiego pozostała tu tylko łuska, czczy blask i tytuł, którego atoli wieki średnie nie przestawały cenić wysoko. Faktycznie cesarstwo, jako idea prawno-polityczna i papiestwo, jako idea religijna i kościelna—stanowią główny wątek historyi średniowiecznéj. Niemi żyły ludy średniowieczne (aż do najbardziéj na wschód wysuniętéj Polski) i pod ich wpływem tworzył się cały kierunek średniowiecza aż do nowszych czasów. Widzimy więc, iż z upadkiem cesarstwa rzymskiego wątek dziejów nie zatraca się, owszem za jedną z zasług cesarstwa rzymskiego trzeba poczytać i to, że jako idea polityczna z chrześciaństwem, ideą religijną, przetrwało całe wieki średnie i wątek dalszych dziejów podało i przekazało młodszym narodom. Inna rzecz, czy wśród tego przeobrażenia duchowego,

---

[1]) „Römische Geschichte“, t. V. „Die Provinzen von Caesar bis Diocletian.“ Berlin, 1885.

wewnętrznego, jakie się dokonało w łonie świata starożytnego pod wpływem chrześciaństwa, mogła się zachować stara budowa państwa rzymskiego. Już *a priori* da się powiedzieć, że nigdy. Rzym pogański mógł był jeszcze przetrwać ze swoją kulturą i dawną wiarą wieki całe. Schrystyanizowanie państwa było rewolucyą tak głęboką i gruntowną, że przy zupełném pomieszaniu i przestawieniu wszystkich czynników życia społecznego i politycznego, mury dawnéj budowy państwowéj i społecznéj skruszyły się i rozsypały w proch. Wieki średnie podjęły dopiéro napowrót budowę.

Historycy cesarstwa, rozważając na tle tego przeobrażenia ideowego poszczególnych atomów społeczeństwa, powszechnie znane fakta życia społecznego i politycznego téj doby, nie mogą się zgodzić na to, które z nich przyprawiły cesarstwo o zgubę. Dwie krańcowe kategorye przyczyn mają powszechnie na względzie: zewnętrzne i wewnętrzne. Jedni przypisują winę naciskowi barbarzyńców. Zdaniem J. Burckhardta, cesarstwo rzymskie mogłoby było istniéć i daléj, gdyby miasto Rzym było silniéj obwarowane, podobnie jak Konstantynopol [1]). Większość historyków, których zbyteczna byłoby wymieniać, przypisuje winę upadku Rzymu słabéj organizacyi wewnętrznéj bądź państwowéj, politycznéj, bądź społecznéj i etycznéj. L. Ranke wypowiada pogląd, że cesarstwo rzymskie było koniecznością dziejową, bądź dla połączenia i zlania w jedno różnic narodowościowych (ze stanowiska politytycznego), bądź téż dla zastąpienia starożytnego pogaństwa przez chrystyanizm (ze stanowiska postępu ducha religijnego) [2]), uważa więc tym sposobem misyę jego za całkowicie spełnioną. S. Duruy, znakomity historyk francuski a minister Napoleona III-go, całą winę upadku Rzymu zwala na karb wadliwy organizacyi państwowéj i już pierwszemu założycielowi i właściwemu twórcy cesarstwa, Augustowi, zarzuca to, co późniéj przyczyniło się do upadku Rzymu. Minister drugiego cesarstwa, którego utwór i istnienie pod wieloma względami było podobne do dzieła Augusta, bodaj czy nie żądał od tego ostatniego tych samych myśli i środków działania w polityce, które doradzałby swojemu panu. Cesarstwo, zdaniem Duruy'a, było koniecznością, znamionowało bowiem w porównaniu do dawniejszéj republiki postęp [3]), ale wymagało natomiast oparcia się na jednolitości instytucyi państwowych

---

[1]) „Die Zeit Constantius des Grossen“. Lipsk, 1880, str. 288.

[2]) „Weltgeschichte“, t. III. „Das römische Kaiserthum“. Lipsk, 1885.

[3]) „Geschichte des Römischen Kaiserreichs von des Schlacht bei Actium und des Eroberung Aegyptens bis zu dem Einbruche des Barbaren“ übersetz. G. Hertzberg, t. 2. Lipsk, 1885.

prowincyi i Rzymu, na jedności zasadniczéj idei przewodniéj wszystkich ludów—idei rzymskiego albo cesarskiego patryotyzmu. Uniwersalizm cesarstwa był postulatem dziejowym. Do przetworzenia państwa w tym duchu nie dorósł August ani zmysłem politycznym, ani talentem organizacyjnym. Pojmował on zadanie Rzymu również ciasno, jak pojmowali je dawni patrycyusze rzymscy: rządzić z Rzymu i przez Rzym [1]). Wszystkie pierwiastki swobody politycznéj i zasad federacyjnych u ludów podbitych czy to italskich, greckich czy celtyckich zostały upośledzone przez Augusta. Pozostała tylko jedna wola cezara. Między sobą a masą August nie postawił nic, nie oparł się na żadnym żywiole—legiony po prowincyach, pretoryanie w Rzymie, senat skorumpowany, na których chciał oprzéć swe panowanie, wbrew jego woli stały się z czasem żywiołami nieporządku i zagłady państwa rzymskiego. Cezaryzm oparł się na brutalnéj sile, na gołym fakcie przemocy, zamiast tego, żeby wynikać z koniecznego systemu. To była wina cesarstwa rzymskiego, a raczéj jego twórcy Augusta, który mógł był dziesięć wieków cywilizacyi uratować [2]). Niewątpliwie w tym poglądzie została wytknięta nie jedna, jeśli nie główna wadliwość urządzeń politycznych cesarstwa. W tych urządzeniach nie było przedewszystkiém swobody, a powtóre zarodka wspólnego i jednolitego rozwoju prowincyi, jak i samego Rzymu. Istotnie, w tym braku równouprawnienia, a w zastąpieniu go przez podporządkowanie jednych części składowych organizmu państwowego drugim, kryje się zaród przyszłego rozpadnięcia się tego olbrzymiego organizmu politycznego na dwie pierwiastkowe części, z których każda musiała nanowo dla siebie wytwarzać własne życie. Niewątpliwie potok życia cywilizacyjnego, skutkiem upadku państwa rzymskiego, został jeśli nie przerwany, to w każdym razie zahamowany, a wieki średnie nie byłyby takiém obniżeniem ogólném umysłowości, gdyby Rzym uratował był wobec barbarzyńców byt i całość imperyum, oraz zapewnił swobodny rozwój narodom. Tylko niewątpliwie idea cywilizacyi wyższéj, cywilizacyi chrześciańskiéj nie byłaby się podówczas przyjęła, ani rozwinęła. Ten ujemny pogląd na Augusta, jakotéż na utwór jego, jest natchniony późniejszym upadkiem Rzymu. W gruncie rzeczy, żaden kataklizm dziejowy, choćby najgroźniejszy, nie może i nie powinien zaciemniać historykowi sądu o całości danego zjawiska — poglądu na wszystkie rysy obrazu, zarówno dodatnie jak i ujemne. Tak téż ma się z cesarstwem rzymskiém.

---

[1]) Tamże, t. I, str. 384.

[2]) Tamże, t. I, str. 421.

Posiada ono swe olbrzymie znaczenie w dziejach rozwoju cywilizacyi, jako też rysy prawdziwéj wielkości i chwały, poczynając od samego swego wejścia na widownię dziejową, od Augusta, którego wiek w historyi słynie zarówno, jak wiek Peryklesa, albo Ludwika XIV, aż do chwili zgonu swego, kiedy z przyjęciem chrześciaństwa przez Konstantyna W. całkiem nowa era zaczyna świtać dla ludów Europy. Właśnie do poznania początków i schyłku epoki cesarstwa rzymskiego, przybyły nam dwie nowe i ciekawe prace, obiedwie historyków niemieckich V. Grundthausena i O. Seecka.

I.

Na wstępie do dzieła swego, o „Auguście i jego wieku", Grundthausen podnosi przemianę polityczną i ekonomiczną olbrzymiéj doniosłości, jaka zaszła po przyłączeniu do Sycylii Rzymu. Od systemu utrzymywania tryb w podbitych ziemiach przeszli Rzymianie do systemu prowincyi. Tryba była wyrazem równości praw, prowincya wyrazem podbicia czyli podporządkowania jednych części organizmu państwowego drugim. Stosunek ten w dzisiejszych czasach da się objaśnić na przykładzie Anglii i jéj kolonii. Kanada i Australia byłaby obecnie w stosunku do Anglii na podobieństwo dawnych tryb rzymskich, Indye na podobieństwo prowincyi. Rozszerzenie się Rzymu na zewnątrz kruszyło dawne podwaliny systemu rządów wewnętrznych. Dawnego obywatela-żołnierza zastępuje stały żołnierz, konieczny w celu utrzymania w zależności ludów podbitych. Istnienie stałéj armii wymaga stałego wodza. W chwili gdy Rzym staje się panem całéj kotliny morza Śródziemnego, cesarstwo jest gotowe. Niebezpieczeństwo grożące ze strony naczelnika prowincyi, posiadającego własne wojsko i wszystkie środki rządzenia, jest tak wielkie, iż prawo zabrania dłużéj jak rok sprawować ten urząd. Faktycznie Juliusz Cezar sprawuje przez lat dziesięć rządy nad prowincyą; nic dziwnego, iż powracał do Rzymu jako król.

Po obaleniu Juliusza Cezara czyli po Idach marcowych, roztacza się następujący obraz osobistości i partyi... Spiskowcy, którzy wiedzieli, czego sobie nie życzą, mianowicie króla, stanowili jedną partyę. Cezaryanie czyli stronnicy zabitego Cezara, jego generałowie, jak Labienus i niezadowoleni, wiedzą czego chcą, a mianowicie reform. Senat i lud stanowią trzecią partyę, jeżeli można partyą nazwać tych, którzy nie mają pojęcia ani o tém czego chcą, ani o tém czego nie chcą; ci ostatni poddawali się impulsom z zewnątrz: senat—sprzysiężonych, lud i weteranie—stronników Cezara. Na czele spiskowców stoi M. Junius Brutus, którego popchnął do czynu filozoficzno-polityczny doktryneryzm, nie lepszy od religijnego fanatyzmu Ravaillac'a. Żaden

środek, ani ostateczny, decydujący, ani tymczasowy, nie był obmyślony przez spiskowców: co uczynić po dokonaniu zamachu. Cios zadany Cezarowi nie obalił jego stronników, na których czele stoi Antoniusz, wódz dzielny, chociaż nie pierwszorzędny, którego stosunek do Juliusza Cezara jest analogiczny z tym, jaki zachodził między Muratem a Napoleonem. Śmierć Antoniusza z rąk spiskowców była by jednem morderstwem więcej, ale jednym błędem mniej. Lepidus, wobec Antoniusza był politycznem zerem, ale posiadał sam jeden wojsko w swojem rozporządzeniu, stąd też uważał siebie za jedynie uprawnionego do objęcia spadku po Juliuszu Cezarze. On działał najbardziej stanowczo i pierwszy postawił program: „zemsta mordercom", wypowiedziany publicznie w zgromadzeniu ludowem na forum 16 marca. Przybywał im jeszcze trzeci współzawodnik w osobie przybranego syna, a właściwie wnuka zabitego dyktatora—C. Oktawiusza. Był on nieobecny w Rzymie w czasie katastrofy, która sprowadziła śmierć jego dziadka. Za powrotem do Rzymu Oktawiusza, Antoniusz zachowuje się względem niego opornie i nie chce wchodzić w sojusz z domniemanym współzawodnikiem, zaledwie dziewiętnastoletnim chłopcem. Sposobiąc się do objęcia spuścizny po Cezarze, Antoniusz stara się posiąść siłę wojskową i zmusza spiskowców do opuszczenia miasta. Wszystko przemawiało zatem, iż po upływie roku Rzym wpadnie w jego ręce, a tymczasem dokonał dzieła tego Oktawiusz, który obrał sobie Antoniusza za pierwszy szczebel do wyniesienia się. Stanął on formalnie po stronie partyi senatu, która go przyjęła z otwartemi rękami w celu przeciwdziałania ambitnym planom Antoniusza. W zawarciu tego sojuszu pośredniczył Cyceron, najwybitniejsza postać w partyi senatu. Postać ta nikogo nie przypomina w takim stopniu w naszych czasach, jak Thiers'a z czasów republiki francuskiej. Oba o własnych siłach wybili się ponad swój stan i posiedli najwyższe, dostępne dla nich godności. Cyceron jednak był większym mówcą, Thiers zaś był większym mężem stanu. Thiers więcej zasłużył się dla dobra własnej ojczyzny, Cyceron zajął bardziej wszechdziejowe stanowisko. Sojusz Oktawiusza z senatem uwieńczył się zwycięstwem nad Antoniuszem pod Forum Gallorum i Mutiną. Oktawiusz zdołał skutkiem tej walki utrzymać niezależne stanowisko wobec Antoniusza i senatu. Interes jego nie dozwalał na całkowite złamanie przeciwnika. Chciał on utrzymać sojusz z optymatami dopóty, póki nie pozyska tytułu konsula. Za zbliżeniem się jego do Rzymu po zwycięstwie pod Mutiną, legiony rzymskie poddały się mu i Rzym był w jego rękach. Od chwili zamianowania Oktawiusza konsulem, ster władzy wypadł z rąk senatu. Ten moment możemy uważać za koniec republiki. Ale Kasiusz i Brutus na wschodzie zbierali wojsko. Antoniusz połączył się z Lipidem i obaj tworzyli groźną siłę.

Trzeba było działać drogą dyplomacyi i pozyskać sobie stronników. Sojusz z mordercami Cezara, Oktawiusz odrzucił. Unikając odosobnienia politycznego, Oktawiusz musiał podzielić się władzą z Antoniuszem i Lepidem. Gdy tryumwirowie wkraczali do Rzymu, lud patrzał na to spokojnie, podobnie jak kilkanaście wieków później Niderlandczycy patrzeli na Albę wkraczającego z Hiszpanami do Bruksellí. Proskrypcye zapanowały w Rzymie w najwstrętniejszéj swéj formie, ponieważ nie były skierowane przeciwko nieprzyjaciołom politycznym, którzy byli nieobecni, lecz przeciwko wrogom osobistym tryumwirów; miały one za zadanie zapełnić kasę na walkę z Kasiuszem i Brutusem oraz na ujęcie sobie armii. Po bitwie pod Filippami nie chodziło już o to, czy ma być republika czy monarchia, lecz jedynie o to, który z tryumwirów włoży na głowę koronę. Z podziału zdobyczy wypadło, że Antoniusz udał się na wschód. Oktawiusz miał zadanie najtrudniejsze, mianowicie zaopatrzyć weteranów w ziemię na ich własne żądanie już nie po prowincyach, jak to czynił Juliusz Cezar, lecz w saméj Italii, a liczba tych weteranów wynosiła 170 tys. Bez najmniejszego cienia prawa, 18 najbogatszych miast Italii zostało przeznaczone na zaspokojenie pretensyi weteranów. Była to rewolucya socyalna, która zniszczyła średni stan włościański, podobnie jak proskrypcye zniszczyły staro-rzymską większą własność. Oba czynniki położyły podwaliny zarówno dla przyszłych latyfundyów, jak i dla proletaryatu. Zrekrutowany z wydziedziczonych z ziemskiéj własności, musial skupić się w Rzymie. Kataklizm, jaki przeszła podówczas własność ziemska w Italii, przypomina analogiczne wypadki w historyi Anglii, mianowicie gdy po zwycięstwie nad Karolem parlament konfiskował dobra koronne, biskupów i szlachty, lecz tutaj zmieniali się tylko właściciele, włościanie zaś pozostawali ci sami na roli. Podobną paralelę nastręcza osiedlenie się Anglików w podbitéj Irlandyi—tylko że w starożytności pokrzywdzonymi zostali nie zwyciężeni, lecz strona neutralna. Rok 713 od założenia Rzymu a 41 przed Nar. Chr. był krytycznym dla państwa: podwaliny ustroju społecznego są zachwiane, ani własność ziemska, ani kapitał nie są czynne z powodu braku zapewnienia im bezpieczeństwa ze strony rządu. Niezadowoleni znaleźli sobie przywódców w osobie L. Antoniusza, młodszego brata tryumwira, i w Fulwii, żonie tego ostatniego, energicznéj kobiecie, usiłującéj przy pomocy publicznych rozruchów skłonić Antoniusza do powrotu i wyrwać go z objęć Kleopatry. Wojna domowa, tak zwana peruzyańska, jaka wybuchła skutkiem tego nagromadzenia materyałów palnych w saméj Italii, nie mogła być bardziéj nie na rękę Oktawiuszowi, ale koniec jéj nie mógł być również dlań korzystniejszym. Za jednym zamachem

zwyciężył on żywioły niespokojne i niezadowolone, jak również ciągnące ku Antoniuszowi. Neutralność tego ostatniego w wojnie peruzjańskiéj była nie do pojęcia. Wbrew traktatowi, Oktawiusz zajął prowincye hiszpańską i galską, które należały się Antoniuszowi i stał się panem całego zachodu od morza Adryatyckiego, z wyjątkiem części Afryki, pozostającéj w rękach Lepida. Złamanie téj ugody i co zatém idzie, zerwanie z Antoniuszem, było obmyślane. Wojna, jaka wybuchła w następstwie tego i traktat w Brundisium zatwierdziły tylko stan posiadania. Antoniusz przez cały ciąg swego pobytu na wschodzie jest aż do podziwu bezczynnym, pochłonięty nawskroś stosunkiem swym do Kleopatry: to jako gość spędza u niéj czas, to hellenizuje w Atenach, to znów bawi się eksperymentatorstwem politycznêm w Azyi, tworząc sztuczne państwa bez naturalnych granic z plemionami nienawidzącemi się wzajemnie, jak naprzykład królestwo Heroda. Tymczasem Oktawiusz zawiéra powtórny traktat z Antoniuszem w Tarencie. Gotował się wtedy do walki z Sex. Pompeiuszem, niebezpiecznym wrogiem, trzymającym w swych rękach Sycylię a więc dowóz zboża dla Rzymu. Z ogromnym wysiłkiem, przy pomocy Agryppy, jako wodza i olbrzymich zarządzeń wojennych, przypominających pierwszą wojnę punicką, Sex. Pompeiusz w stanowczéj bitwie pod Naulochus został pokonany. Cała rola, jaką odegrał Sex. Pompeiusz w historyi, dowiodła, iż zarówno cel jego utrzymania się na stanowisku równorzędném do tryumwira był chybiony, jako téż że brakowało mu inicyatywy i zmysłu oryentacyjnego, który nakazywał w polityce działać przeciwko Cezarowi, opiérając się na szybko rosnącéj partyi jego przeciwników i wyzyskując dla owych interesów sympatye i tradycye jeszcze nie wygasłe swojego ojca. Sex. Pompeiusz pokonany a co więcéj Lepidus, który przy téj sposobności, wchodząc w swe prawa tryumwira chce zagarnąć Sycylię, zręcznie i w porę usunięty—oto rezultaty polityki i dyplomacyi Oktawiusza.

Rozpoczął się teraz okres dwójwładztwa Antoniusza i Cezara. Owocem zwycięstwa tego ostatniego były prowincye Afryka i Sycylia. Podobnie jak Cezar zawierał traktat w Tarencie dla walki z Sex. Pompeiuszem, Antoniusz potrzebował pokoju z jego strony dla walki z Partami. Miał on na myśli wykonać plany dyktatora Cezara, pomścić klęskę Krassa i przyćmić świéżą chwałę zwycięstw nad nim, swego wodza P. Ventidiusza, Wyprawa ta jego przypomina fatalny pochód Napoleona na Moskwę. Te same olbrzymie przygotowania, ta sama walka nie tyle z nieprzyjaciołmi, co z naturą, to samo zbyt spóźnione spostrzeżenie niebezpieczeństwa i napróżne rozpoczęcie pertaktacyi. Talent wojenny Antoniusza okazał się w całéj pełni w odwrocie. Jak

szczątki armii Napoleona znalazły przytułek w Prusach, podobnież niedobitki Antoniusza schroniły się w Armenii — jedne i te same przyczyny powstrzymywały wrogie wystąpienie mieszkańców tych krain. Moment ten jest punktem zwrotnym dla gwiazdy Antoniusza, która błyszczała świetnie od czasu zwycięstwa pod Filippami a którą teraz poczyna przyćmiewać gwiazda jego kolegi. Wojna ta stanowczo położyła kres rozszerzaniu się Rzymian na wschodzie na przeciąg kilku stuleci. Mógł Antoniusz sądzić, że utrzymanie *status quo* pozostanie niezachwiane, dla Oktawiusza wojna była koniecznością jeśli miał osiągnąć dalsze cele. Antoniusz coraz bardziéj tracił z pod uwagi zachód, oddawszy się na usługi Kleopatrze. Stała ona na stopie najsilniejszéj monarchini wschodu. Antoniusz robił dla niéj podarunki nie tylko z prowincyi rzymskich, ale i z rzymskich żołnierzy. To wywoływało ogromne niezadowolenie w Rzymie. W pierwszych dniach 722/32 nastąpił moment krytyczny. Właśnie wtedy zostali wybrani konsulami Ch. Domitius Ahenobarbus i C. Sosius, obaj zdecydowani stronnicy Antoniusza. Teraz upływał termin prawnego pełnomocnictwa, udzielonego przez naród tryumwirom. Antoniusz chciał wpłynąć na usposobienie stolicy, rozgłaszając swoją gotowość zrzeczenia się władzy. W charakterze męża Kleopatry i współrządcy Egiptu, nie tracił on w gruncie rzeczy nic, kiedy tymczasem stanowisko Cezara zostawało do gruntu podkopane. Rozłam stanowczy musiał nastąpić. Ten dzień, w którym Oktawiusz wystąpił w senacie przeciwko Antoniuszowi i zmusił przeciwników do ucieczki z Rzymu, był 18-ym Brumaire'a cesarstwa rzymskiego, nie mniéj brutalnym, jak późniejszy Napoleoński. Antoniusz był silniejszy od swego przeciwnika. Stracił jednak właściwy moment walki, gdy Oktawiusz zajęty był zbieraniem środków wojennych, i gdy podatek nałożony przezeń na cele wojny wywołał straszne niezadowolenie wśród obywateli rzymskich. Winę ostatecznéj klęski Antoniusza w stanowczéj bitwie pod Actium, trzeba przypisać ucieczce Kleopatry w chwili, gdy się szale losów ważyły, ucieczce, spowodowanéj nie kaprysem nerwowéj kobiety, lecz wyraźnie obmyśloną zdradą, i bezprzykładnéj w dziejach lekkomyślności, jeśli nie obłędowi Antoniusza, który puścił się natychmiast za nią w pogoń. Kleopatra wywarła wpływ fatalny na losy Antoniusza. Zawojowała go nie tyle swą pięknością ile energicznym charakterem i sztuką kobiecą panowania nad mężczyznami. Kierowały nią jedynie polityka i korzyść osobista. Chciała ona przy pomocy Antoniusza zostać władczynią świata. Wraz z Kleopatrą zginęła ostatnia latorośl żeńska Ptolemeuszów, którzy przez lat 300 panowali w Egipcie, ostatnie państwo, założone przez Greków, stało się rzymską prowincyą. Po nich przejęli

Rzymianie obowiązek rozszerzenia starożytnéj kultury i cywilizacyi. Bitwa ta pod Actiom ma wszechdziejowe znaczenie nie tylko dla tego, iż ostatnie mniéj więcéj samoistne państwo starożytne, położone w kotlinie morza Śródziemnego zostało podbite przez Rzymian, ale i dla tego, że w niéj swoboda Rzymu została na wieki pogrzebana. Żołnierz i mąż stanu walczyli ze sobą o wszechwładzę w Rzymie. Rzym na szczęście wpadł w ręce tego drugiego. Za powrotem do Italii, Oktawiusz musiał uśmierzać bunt weteranów, zawiedzionych w swém oczekiwaniu podarunków. Trzeba było uciec się do zwykłego środka obdarowania ziemią, bądź odebraną od proskrybowanych, bądź zakupioną. August szczycił się, iż w 724/30 i w 740/14 wydał na ten cel 600 mil. sestercyi (130½ mil. marek). Ten bunt weteranów był ostatniém drganiem płomienia wojen domowych. Instynktownie przeczuwali oni, że ich panowanie już jest skończone. August podarował państwu pokój. „Cesarstwo to pokój"—myśl tę reprezentował August, zarówno jak późniéj Napoleon III. To powszechne pragnienie pokoju symbolicznie poparł senat, nakazując zamknąć drzwi świątyni Janusa. W imionach osób, w nazwiskach kolonii, na monetach ówczesnych, wszędzie przypomina się owo pragnienie pokoju, a wkrótce pokój znalazł swój kult i na ołtarzach.

Od téj chwili rozpoczyna się cesarstwo rzymskie. Przypatrzmy się teraz osobie głównego jego twórcy, Augusta. Różnorodne a nawet sprzeczne są opinie o nim. Tłómaczy się to jego jakby dwoma odmiennemi postaciami, w których występował: jedną przed osiągnięciem jedynowładztwa, drugą po przełomie. W gruncie rzeczy August był zawsze jeden i ten sam: zimy, trzeźwy, praktyczny, daleko mniéj genialny od Juliusza Cezara, natomiast bardziéj od niego rozsądny. Miał zawsze jeden i ten sam cel na oku—jedynowładztwo. Ale środki do niego umiał wybierać i zastosowywać odpowiednio do danéj chwili. Była to zresztą natura nawskroś egoistyczna, silna, twarda, nie skłonna do uniesień ani do spekulacyi filozoficznych, która nie zerwała nawet z przesądami i pojęciami religijnemi swego wieku i swego narodu. W prywatném życiu był August prosty, dostępny i uprzejmy. Miał zdolności nie tyle wojenne, co dyplomatyczne. Επεῦδε βραδέως było jego dewizą, jako dyplomaty. Miał szczęście, ale zarówno i talent organizacyjny. Cały ciężar rządów wziął na swoje barki, był sam swoim własnym ministrem. Umiał nie tylko pozyskać władzę, ale i utrzymać ją, gdyż dawał społeczeństwu, jego klasom posiadającym zabezpieczenie życia i mienia, a ludowi chléb i igrzyska. Dzięki zadosyć uczynieniu tym samym wymaganiom, potrafił Napoleon III narzucić społeczeństwu francuskiemu swoje panowanie. I jeden i drugi następowali jako

politycy, mężowie stanu po wodzach, przedstawiciele pokoju po bogach wojny. Obaj nie byli genialni, ale mądrzy i praktyczni w niepospolitém znaczeniu tego wyrazu. Panowanie jednego, jak i drugiego, było tyranią we właściwém znaczeniu tego wyrazu, ale nie brakowało w niéj także kropli demokratycznego oleju, którym namaścili siebie na władców. Zdobywszy władzę, obaj starali się przyciągnąć ku sobie i wzmocnić żywioły zachowawcze. Podobieństwo było w sytuacyi panowania obudwóch, ale różnica występuje w charakterach. Napoleon pozostał przez całe życie marzycielem i spiskowcem, jakim August nigdy nie był. Wszystkie błędy w polityce wewnętrznéj Napoleona nie sprowadziłyby upadku drugiego cesarstwa, gdyby nie miał on zewnętrznego wroga—daleko silniejszego, aniżeli wrogowie Augusta i Rzymu. Cesarstwo Napoleona było efemerydą, awanturniczym epizodem w dziejach Francyi. Cesarstwo rzymskie ma wszechdziejowe znaczenie; dzieło Augusta przeżyło swego twórcę i przetrwało do końca historyi starożytnéj. Wszechdziejowe znaczenie cesarstwa rzymskiego, założonego przez Augusta, polegało na tém, że skupiło ono siły wewnętrzne państwa rzymskiego dla odparcia barbarzyńców i tém samém uratowało kulturę i cywilizacyę świata starożytnego na przeciąg kilku stuleci. Przez ten czas wzmógł się i zorganizował kościół, który w chwili upadku Rzymu zadanie to przyjął na swoje barki. Bez cesarstwa rzymskiego nie istniałby kościół rzymski, który był w stanie powściągnąć barbarzyńców i zaszczepić im kulturę, którą oni przyjęli, jako spuściznę świata starożytnego i która się przechowała do dnia dzisiejszego.

Peryod wojen domowych w Italii sprowadził takie klęski, z któremi w czasach późniejszych mogą się porównać tylko klęski w epoce Odrodzenia, kiedy wojska cudzoziemskie pustoszyły Włochy. Jak podówczas Macchiavelli, chociaż sam republikanin, w swém dziele *Il principe* utrzymywał, że Włochy może zbawić tylko monarchia, tak i w starożytności w umysłach najkonserwatywniejszych i republikańskich, musiało powstać przeświadczenie o konieczności rządów Augusta. Z tego punktu widzenia, uzurpacya Augusta była koniecznością. Musiał on jednak przejście od republikanizmu do monarchii uczynić stopniowém. Pod względem prawnym, jak Mommsen słusznie określa, pryncypat Augusta nie był władzą nieograniczoną, tylko magistraturą, przystosowaną do form republikańskich rządu. Te formy dawne, republikańskie, nie tyle zostały zniesione, jak raczéj zawieszone i przeniesione na jednego nadzwyczajnego człowieka, któremu lud i senat na czas nieograniczony przekazali władzę. Była jedna luka w nowopowstałym systemie rządów — brak następcy tronu; August był stałym

wodzem i naczelnikiem rządu, — ale dożywotnim. Było to skutkiem tymczasowego, przejściowego charakteru jego władzy. Po jego śmierci miało nastąpić przesilenie, które zdecydowało, czy ta dożywotniość władzy ma pozostać wyjątkiem, czy téż stałą regułą. Przeistoczenie się stosunków republikańskich w monarchiczne znajduje odpowiedni przykład w nowszych dziejach. Słusznie porównywują stanowisko Augusta z analogicznėm Olivera Cromwella, jako lorda protektora, i Napoleona I-go, jako konsula. Wszyscy trzéj, pomimo znacznéj różnicy charakterów, planów i rezultatów usiłowań, oparci na wojsku, które im bezwarunkowo było oddane, rządzili monarchicznie republikami i stopniowo zmienili je w rodzaj monarchii. W nowoutworzonym przez Augusta systemacie rządów, senat zajął miejsce obok cezara, jako reprezentant republiki. Wolał on z nim podzielić się władzą, aniżeli z ludem. Senat nie był za cesarstwa żadną reprezentacyą ludu, co najwyżéj może być nazwany zgromadzeniem notablów, przedstawicieli wybitniejszych rodzin, którym cezar komunikował wielokrotnie sprawy i zamiary. Spory zakres władzy senatu nakazywał zawsze oczyszczać go z wrogich żywiołów. Znaczenie senatu i nadal nie przestaje być bardzo duże, ale senatorowie odtąd stają się statystami, gdy dotąd byli osobami czynnemi. Lud z dawnych praw sądowniczych i ustawodawczych został ogołocony, pozostały się tylko same ich pozory. Podatki bezpośrednie ciążyły na barkach prowincyałów, służba wojskowa na obywatelach i półobywatelach Italii. Lud rzymski, oswobodzony od podatków, utrzymał swe dawne przywileje, lubo dawnych obowiązków zaniechał. Zamiast praw, dano ludowi chléb i igrzyska. Za panowania Augusta rozdawnictwo chleba, dotychczas przygodne i dowolne, przechodzi w stałą zasadę ofiarności publicznéj państwowéj na rzecz biédnych. Igrzyska były narodowemi, a raczéj ludowemi zabawami, których rozwój August popiérał. W każdym razie od udziału w nich starał się powściągnąć z początku kobiéty. Co do magistratur, to August chciał wprowadzić stan urzędniczy stały, fachowy, na miejsce obieralnego i corocznie zmieniającego się, jak było za czasów dawnéj republiki. Stan ten miał być płatny, lepiéj kontrolowany i dobiérany ze wszystkich warstw społeczeństwa, nie wyłączając senatorów i jeźdźców, na wzór stosunków w państwie dyadochów. W porównaniu do rozkrzewiającéj się dzisiaj bujnie biurokracyi, uderza niezmiernie mała ilość urzędników w państwie rzymskiém. Sama Francya posiada ich dzisiaj przeszło sto razy więcéj, aniżeli ich było w starożytności we wszystkich ziemiach, podwładnych Rzymowi. Finanse i wojsko stanowiły główne podstawy rządów Augusta. Do organicznych reform finansowych, głęboko sięgających w istotę stosunków

społecznych, należy przejście za Augusta od podatków pośrednich do bezpośrednich (kataster gruntowy). Ale August nie miał na celu stworzenia monarchii militarnéj, czego dowodzi redukcya armii po bitwie pod Actium. W stosunku do ogromu państwa, liczba legionów była raczéj zamała, aniżeli zaduża. Podbojów zrzekł się August. Wojny, które prowadził, były spowodowane koniecznością. Tak po Kartagińczykach odziedziczyli Rzymianie zaledwie pas nadbrzeżny półwyspu Pirenejskiego. Musieli zatém albo wstrzymać się od walki, a zarazem zrzec się wszystkiego, albo rozszerzać i posuwać w głąb swe panowanie. Wybrali tę ostatnią drogę. Zacięty opór, jaki spotkali w krajowcach (Corocotta), przedłużanie się wojny kantabryjskiéj wzbudzało nie mało obaw w Auguście, gdyż wprost zagrażało jego władzy w Rzymie. Ukończenie téj wojny przez Agryppę przyciszyło żywioły burzliwe i opozycyjne w senacie. Do wyprawy na Arabię skłoniły go prawdopodobnie wieści o jéj bogactwie, wcale nieuzasadnione. Tém się tłómaczy ekspedycya Aeliusza Galla, rządcy Egiptu. W nieobecności jego, prowincya ta została zaczepioną przez Etyopów. Rzymianie pod wodzą Petroniusza, mszcząc się, zanieśli swój oręż na południe do wnętrza ich krajów (aż pod Napatę). Zrzekłszy się podbojów, August zajął się wzmocnieniem węzłów swego państwa. Prowincye, jak Egipt, Gallia, Hiszpania otrzymały swą ostateczną organizacyę. Liczna sieć dróg spoiła je z Rzymem. W podróżach swoich, które trwały niekiedy po trzy lata, miał August na celu osobiście badać stosunki prowincyi i jednocześnie na podobieństwo Solona i Likurga przez czas nieobecności swéj w Rzymie wypróbowywać praktyczność swych reform. Pod tym względem podróże Augusta rażąco się różnią od podróży Adryana, które były jakiémś nerwowém, niespokojném przerzuceniem się z miejsca na miejsce. Na pograniczu między plemionami dzikiemi a kulturą rzymską, zwykł był utrzymywać hołdownikiem jakiegoś króla. Kwestyę wschodnią miały i owe czasy: polegała ona na tém pytaniu, gdzie ma być przeprowadzona granica między panowaniem kultury zachodu a barbarzyństwa wschodu. Tutaj August objął w spuściznie walkę z Partami o półwysep Azyi Mniejszéj. Przykład Antoniusza i Krassa odstręczał Augusta od téj walki, w któréj mógł postradać życie i koronę. Wyprawa pod wodzą Tyberyusza wymogła przynajmniéj zwrot trofeów po Krassie.

Całe dzieło swe wraz z całą swą władzą chciał August przekazać ukochanemu siostrzeńcowi Marcellowi. Obok niego występował jako pretendent do władzy Agryppa, już nie młodzieniec pretendujący do władzy na mocy pokrewieństwa i protekcyi, lecz dojrzały mąż, któremu państwo zawdzięczało swą budowę narówni z Augustem, co więcéj,

jako ten, który położył jeden z fundamentów pod panowanie samego Augusta. Walka byłaby się musiała w przyszłości rozegrać pomiędzy nim a Marcellem, gdyby jéj nie przeszkodziła przedwczesna i niespodziana śmierć tego ostatniego. Ten wypadek pojednał Augusta z Agryppą. Odtąd August przyjął Agryppę za współrządcę: jeden panował na zachodzie, gdy drugi na wschodzie. Agryppa jako żołnierz uzupełniał Augusta-polityka. Jeżeli Agryppa był mężem, na którego mógł spuścić się August w czasie wojny, Mecenas, który zawdzięczał swój wpływ i stanowisko Augustowi, był jego prawą ręką w czasie pokoju. Na Mecenasie odbiło się najwidoczniéj owo przeobrażenie dawnego Rzymianina obywatela, oddanego w zupełności sprawom publicznym, w prywatnego człowieka epoki cesarstwa. Jak Agryppa popiérał sztuki plastyczne, a zwłaszcza architekturę, tak Mecenas stał się protektorem literatury, a zwłaszcza poezyi. Ale i Agryppa, drugi domniemany następca Augusta, wyprzedził go śmiercią. Na tém zdarzeniu (r. 742/12) kończy się przebieg wypadków historycznych, omawianych przez Grundthausena. Reszta jego dzieła poświęcona jest wybudowie i odbudowaniu Rzymu przez Augusta.

II.

Chcąc zrozumiéć budowę nowego państwa rzymskiego, trzeba pamiętać, iż reorganizacya Augusta dotknęła wszystkich sfer życia, zarówno prawa, ustroju społecznego i państwowego, jako téż religii, tradycyi i obyczajów narodowych. August zajęty był myślą odrodzenia religii, lecz to, co zrodziło się za jego wpływem, było połączeniem i mieszaniną wszystkich religii starożytnych, a zarazem stopniowém przejściem ku monoteizmowi. Odrodzenie moralne społeczeństwa również miała na celu polityka cesarza. Pragnął on tutaj działać bądź bezpośrednio przy pomocy władzy ustawodawczéj, bądź pośrednio przez podnoszenie staro-rzymskiéj przeszłości do znaczenia wzoru, ideału dla współczesnych. Istotnie wpłynął tém na rozbudzenie zmysłu i zajęcie dla wiedzy historycznéj, — ale stosunki takie, jakie były za dawnéj republiki, powrócić już nie mogły. Stare patrycyuszowskie rody wymarły, a chłopi, ten zdrowy, świéży żywioł zachowawczy, na którym opiérało się dawne państwo, został zastąpiony przez żołnierzy. Prawo, zmierzające do podniesienia rodziny upadającéj (*leges Juliae*), służą za najlepszy dowód, jak dalece za Augusta wzmogła się władza państwa, podejmująca na swe barki reformę obyczajową społeczeństwa.

Jakie były dodatnie, a jakie ujemne strony tego społeczeństwa, które wydało Augusta i w pośród którego sam on działał, w czém była siła i słabość nowo powstającego cesarstwa rzymskiego—to są pytania, które nastręczają dalsze burzliwe jego losy, a zwłaszcza stosunkowo zbyt rychły skon. Chcąc poznać przyczyny upadku Rzymu, trzeba poznać ustrój społeczny i państwowy, a zatém sięgnąć w ducha reform, które na schyłku państwa rzymskiego przedsiębrało dwóch cesarzów: Dyoklecyan i Konstantyn W. Tak właśnie czyni O. Seeck, autor „Historyi upadku świata starożytnego.

Pierwszego maja 505 r. równocześnie, choć w dwóch różnych miejscowościach (w Nikomedyi i Medyolanie), dwóch potężnych władców świata, Dyoklecyan i Maksymian, po długiém panowaniu składało koronę. Chcąc pojąć znaczenie tego niezwykłego w dziejach świata faktu, trzeba rozumiéć charakter Dyoklecyana. Był to pół-geniusz, drobiazgowy ideolog, bogaty w pomysły, ale ubogi w praktyczną mądrość życiową i znajomość ludzi. Z pochodzenia barbarzyńca, który się urodził może niewolnikiem, wyświęcił się na cesarza przez zabójstwo Apra. Tak samo nie cofał się przed żadném okrucieństwem w ciągu całego swego panowania, chociaż nie był okrutnym z żądzy, namiętności, jak Neron lub Kaligula. Żołnierz z zawodu, odznaczał się duchem lojalności i karności. Te same zasady starał się wszczepić w ciągu całego swego panowania w uczucia narodu. Z całą bezwzględną surowością rozporządzał życiem i mieniem, a nawet wierzeniami religijnemi swego narodu, jak i orzeczeniami wartości metali lub cen artykułów żywności na rynku. Wszystkie jego reformy, z których podobał się współczesnym i słynie w potomności (a większość z nich jest całkowicie albo napół chybiona), wypływają z jednego i tego samego źródła. Reprezentują one ducha radykalnych popędów, dzikiego eksperymentatorstwa na polu społecznėm i politycznėm — duch panujący w IV-ym wieku. Wszyscy czuli to, że stary gmach już się wali, ale nie starali się z resztek, tylko ponad temi resztkami wznieść nowy. Cesarstwo rzymskie utrzymywało fikcyę istnienia dawnéj republiki. Wbrew temu znajdujemy dążenie do umocnienia swéj dynastyi na tronie nawet u panujących, którzy przez aklamacyę wojska zostali powołani do steru rządu, jak Klaudyusz, Wespazyan, Adryan lub Sewer. Szczególniejszy system następstwa tronu został obmyślony przez Dyoklecyana. Prawa obwołania cesarza przez wojsko, które jemu samemu dało w rękę berło, nie śmiał i nie czuł się na siłach naruszyć. Sam nie miał syna i nie mógł marzyć o własnéj dynastyi. Ale mógł iść za przykładem Augusta i drogą adopcyi stworzyć sobie następcę i pomocnika. Wybór padł na Marka Aureliusza

Maksymiana, nie posiadającego żadnych talentów wodza, ani polityka. Dwójwładztwo okazało się praktycznem wyjściem, lecz Dyoklecyan z pojedyńczego doświadczenia pośpieszył wyciągnąć ogólną zasadę i uczynić z niéj nową formę rządów. Na przyszłość miało być dwóch współrządców z tytułami augustów w państwie. Obok nich postawił dwóch z tytułem cezarów, o mniejszym zakresie władzy, których obmyślił jako rezerwę do zastąpienia z czasem augustów i przeciwdziałania zamachom uzurpatorów. Piastunami tych nowopowstałych godności mianowani zostali Konstancyusz i Galeryusz. Abdykacya obudwu augustów po upływie wicennaliów, czyli lat 20-tu, miała pozostać jako stała zasada—system następstwa władzy, która przechodziła do rąk młodszych cezarów. W całym tym sztucznie obmyślanym planie był błąd ten, iż opuszczono z pod uwagi, czy i o ile ci współrządcy zejdą się i pogodzą charakterami, oraz zechcą podzielić się swą władzą.

Po ustąpieniu Maksymiana i Dyoklecyana, wybrano nowych dwóch cezarów, Flawiusza Waleryana Sewera i Maksymina Daję, gdy tymczasem Konstancyusz i Galeryusz wstąpili w dawne prawa augustów. Dla syna Konstancyusza — Konstantyna, przyszłego władcy, w tym systemacie współrządców nie było jeszcze miejsca. Charakter tego ostatniego zarysowuje się już od dzieciństwa, jako żołnierski. Był walecznym aż do lekkomyślności, rozrzutnym jak każdy oficer armii; stąd też późniéj hojnością swoją rujnował finanse państwa. Winą jego słabego wykształcenia był brak wyrobionego zmysłu prawnego, który byłby mu się tak przydał w późniejszym zarządzie państwem. Jego zaletami były głęboko wkorzenione uczucie obowiązku i nastrój religijny, który nosił wprawdzie koloryt gruby swego wieku, niemniéj jednak był szczery i prawdziwy. Bardzo być może, że w rodzinie Konstantyna istniały pewne skłonności do nowéj wiary. Poglądy ówczesnych pogan na chrześciaństwo nie negowały zupełnie istnienia Boga chrześciańskiego. Chodziło im tylko o to, któréj strony bóg jest silniejszy. Nawrócenie się Konstantyna musimy przypisać przeświadczeniu, że siła Boga chrześciańskiego góruje nad bogami pogańskiemi. Błędem jest wyprowadzanie nawrócenia się Konstantyna z pobudek politycznych. Ani armia, ani klasy wyższe nie skłaniały się do nowych wierzeń, jedynie część gminu miejskiego i stanu średniego—czynniki, które podówczas tyle, co nic nie znaczyły. A i w późniejszych czasach Konstantyn wobec religii zachowuje się, jako pokorny sługa i wyznawca. Nigdy nie czyni z niéj narzędzia swéj polityki, ani nie miesza się do spraw kościoła w celu rozciągnięcia nad nim swéj władzy. Owszem, strony walczące w kościele i uciekające się o jego po-

moc (naprzykład w schyzmie donatystów) odsyłał do wyroków synodu. Jego polityczne wykształcenie odbywało się na dworze Dyoklecyana. Konstantyn uwierzył w system i przejął polityczny katechizm tego ostatniego. Do władzy politycznéj Konstantyn nigdy sam nie dążył, ale gdy fakta go do tego skłaniały, umiał przeprowadzić do końca swoje plany. Po śmierci Konstancyusza legiony brytyjskie, którym Konstantyn umiał okazać dowody swego męstwa, okrzyknęły go wodzem. Galeryusz chętnie nie dopuściłby go do władzy, ale czuł, że Konstantyn pośród swych legionów jest zupełnie bezpieczny. Jednocześnie nastąpił wybuch w Rzymie, zakończony powołaniem do władzy Maksencyusza, syna Maksymiana. Nieudany pochód Sewera na Rzym, ucieczka i śmierć jego, oraz przywołanie Maksymiana, jako dawnego współrządcę Dyoklecyana, przez syna do pomocy, utwierdziły nowy porządek rzeczy. Konstantyn uznał go, nakazując obalić statuy Sewera w swojém państwie. Podobał mu się podówczas taki plan rządzenia państwem. Zamiast dwóch augustów i tyluż cezarów, czterech młodszych augustów i jeden starszy (Maksymian), bez rezydencyi i własnego terytoryum, lecz z prawem roztrząsania sporów i wydawania rozkazów. Gdyby Konstantyn był dążył do jedynowładztwa, gdyby istotnie był takim ambitnym egoistą, za jakiego podaje go historyografia dzisiejsza, natenczas najwłaściwszą chwilą do osiągnięcia celu byłaby dla niego chwila po nieudanéj wyprawie Galeryusza na Rzym. Konstantyn natomiast uznaje nowy porządek rzeczy. Lecz ten niedługo mógł się utrzymać. Po nieudanym zamachu na władzę syna, Maksymian wypędzony z Rzymu. W Karuntum, głównéj kwaterze armii panońskiéj o kilka mil tylko odległém od dzisiejszego Wiednia, nastąpiło spotkanie się jego z dawnym współregentem Dyoklecyanem i Galeryuszem. Na tym kongresie Dyoklecyan chciał w całości utrzymać i przeprowadzić swój system. Obok Galeryusza, drugim augustem został mianowany Licyniusz. Konstantyn zaś i Maksymin pozostawali się z tytułem cezarów. Maksencyusz został zdetronizowany.. Maksymian powracał nanowo w stan spoczynku. Były to zamki budowane w powietrzu, jak się pokazało niebawem. Maksymin ogłosił się augustem. Maksymian po nieudanéj próbie Konstantyna, u którego znalazł przytułek, ginie, według zdania naszego autora, przypadkowo. Śmierć jego nie pochodziła z winy Konstantyna, owszem, była mu nie na rękę, albowiem krzyżowała jego plany utrwalenia dynastyi (Maksymian był jego teściem). Co prawda, to w parę miesięcy potém znalazła się całkiem nowa zasada dla utrwalenia dynastyi Konstantyna, a mianowicie rzekome pochodzenie jego od cesarza Klaudyusza. Śmierć Galeryusza, pochwycenie terytoryalnéj spuścizny po nim przez Licyniusza

i Maksymina, a zwłaszcza plan podziału państwa jedynie między Maksyminem i Maksencyuszem nakazywały śpiesznie działać. Sojusz Konstantyna z Licyniuszem bronił jego lewego skrzydła. Wojna z Maksencyuszem w północnych Włoszech, w której pomógł Konstantynowi całkiem nowy system wojowania, łagodne obchodzenie się z mieszkańcami zdobytych miast, była jednym tryumfalnym pochodem. Na wieść o zbliżeniu się Konstantyna miasta same otwierały mu bramy. Największe niebezpieczeństwo dla niego było w pochodzie na Rzym. Cała przewaga leżała tutaj po stronie Maksencyusza, który bezpiecznie nawet po przegranéj walce w otwartém polu mógł się utrzymać z olbrzymią masą wojska, w olbrzymiém mieście zaopatrzoném poddostakiem w żywność. Przykład Sewera i Galeryusza mógł odstraszyć najśmielszych. Nic innego nie skłoniło go do tego pochodu, jak ów sen cudowny. Krzyż, którym ozdobił tarcze swych wojowników, był w oczach ich znakiem magicznym zapewniającym pokonanie wroga. Jak Konstantyn, tak również i Maksencyusz, powodowali się obaj nie zimną krwią i strategicznemi planami, lecz snami i znakami cudownemi. Bitwa na Milwijskim moście w kilka godzin rozstrzygnęła losy świata. Dziejowe znaczenie tego faktu było niemniéj wielkie, jak i wpływ psychologiczny jego na Konstantyna. Widział on w zwycięstwie swém pokonanie demonów przez wyższą potęgę duchową. Nietylko Konstantyn, lecz i armia jego przyjęła w podobny sposób zwycięstwo, gdyż weterani czcili bogów przedewszystkiém, jako pomagających im w walce i przynoszących zwycięstwo. Dlatego edykt dotyczący chrześcian został przychylnie przyjęty. Po tyrańskich rządach Maksencyusza, dla Rzymian, Konstantyn był tym, który im zapewniał bezpieczeństwo życia i mienia.

Przez cały ten czas Licyniusz na włos nie pomógł Konstantynowi. Również użył znaku krzyża, aby zwyciężyć Maksymina. Klęska tegoż na Campus Serenus, a wkrótce potém i śmierć uczyniły Licyniusza panem całego wschodu. Konstantyn posuwał swą zgodność z nim aż do nieroztropności, aby uratować choć cząstkę systemu Dyoklecyana. Ale różnica zapatrywań, zwyczajów i temperamentów uniemożliwiała dłuższy pokój i jedność. Licyniusz, podobnie jak i Konstantyn, nie dążył do samowładztwa, przystawał na system cezarów, ale za nic nie chciał mieć tak potężnego współregenta. Z ciężkiém sercem pochwycił Konstantyn za oręż, jak powiada autor, aby walczyć poraz pierwszy o swoje jedynowładztwo. Po bitwie pod Castra Jarba (314) jedność została przywrócona i utwierdzona traktatem (315 r.). Innego środka chwycił się Licyniusz, aby pokonać Konstantyna. Środkiem tym było prześladowanie chrześcian. Istniał przesąd religijny u pogan, iż modlitwa

lub śluby tracą swą siłę, jeżeli nie są w przepisanéj formie odprawione. Zakaz Licyniusza, dotyczący sprawowania obrzędów chrześciańskich, miał podobne znaczenie. Za pomocą niego Licyniusz obiecywał sobie odnieść zwycięstwo nad Konstantynem, który w Bogu chrześciańskim pozyskał sobie taką potęgę. Od téj chwili rozłam był nieunikniony. Bitwy pod Adryanopolem, pod Chryzopolis w pobliżu półwyspu Chalcedońskiego i odcięcie Licyniusza od Bosforu, podstawy jego operacyi wojennych, zdecydowało stanowczą jego klęskę. Ale względem pokonanego wroga i jego syna, Konstantyn zachował się zgodnie z zasadą chrześciańską „nie zabijaj.” Jedynowładztwo zostało narzucone mu siłą okoliczności. Pomimo tego system Dyoklecyana utrzymał i przeprowadził przed śmiercią w podziale państwa pomiędzy synów. Błąd Dyoklecyana (wielowładztwo), posunięty *ad absurdum*, stał się zasadą wciąż odżywającą.

Takie były najważniejsze zarysy budowy państwowéj, wzniesionéj przez Dyoklecyana i Konstantyna. Przypatrzmy się teraz budowie społecznéj i stosunkom zewnętrznym. Germanowie byli największą grozą dla państwa rzymskiego, nie oni jednak byli przyczyną jego upadku, tylko rozstrój wewnętrzny. Kultura Germanów była dopiéro w stanie zaczątkowym. Przysłowiowe pijaństwo niemieckie (*Trunksucht*) najwięcéj się przyczyniło do uprawy roli, bo większa część ziarna szła na wyrób piwa. Pojęcie własności ziemi byłoby w pośród nich równym absurdem, jak pojęcie własności powietrza. Brak konsekwentnego pojmowania prawa, indywidualna swoboda, dająca się z trudnością ująć w karby zarówno węzłami pokrewieństwa, jak i politycznemi—oto cechy barbarzyństwa. Ojczyznę zastępował stosunek sąsiedztwa lub dobréj zażyłości, z którego zczasem rozwinęło się pojęcie patryotyzmu. Pierwotne związki państwowe są jaknajluźniejsze—zléwają się wciąż i rozpływają. Zgromadzenia ludowe mają znaczenie pierwotnie religijne, późniéj dopiéro polityczne, udział w nich ludu polega na prawie aklamacyi; rzadko nie kończą się bójkami. Szlachty nie było, albowiem gdzie nie istnieje żadne prawo, nie może również istnieć żaden przywiléj. *Principes*, których wspominają autorowie rzymscy, nie mieli u Germanów znaczenia, opartego na prawie, lecz jedynie na faktycznéj sile. Potężne osobistości były wodzami. Armin panował wśród Cherusków, jak Perykles w Atenach, nie na mocy prawnie określonego stanowiska, tylko na mocy swéj potężnéj indywidualności. Pomimo tego braku organizacyi państwowéj, istniały zarodki wszystkich czterech form rządu, demokracyi, arystokracyi, monarchii a nawet teokracyi. Stan kapłański przynosili ze sobą Druidowie, uciekający przed Rzymianami z Galii. Tryb życia nawpół koczo-

wniczy, jaki Germanie prowadzili, pozostawał w szczególnym związku z ich organizacyą polityczną. W czasach przedchrześciańskich a nawet i późniéj nie było u nich państwa i władzy królewskiéj, któraby nie zawdzięczała swojego bytu i powstania wędrówkom. Wojskowe urządzenie przez Rzymian granicy nad Renem i Dunajem zmuszało Germanów do życia bardziéj osiadłego.

Siła, jaką mógł przeciwstawić Rzym nawale barbarzyństwa, polegała na jego armii. Z początku proletaryat był wykluczony z armii rzymskiéj, żołnierz sprawiał sam sobie uzbrojenie. Gdy dalekie wojny zniszczyły drobną własność, trzeba było ułatwić dopływ świeżych czynników. Żołd i zdobycz żołnierska nęciły proletaryuszów. Z radością więc przyjęto reformę Mariusza, otwiérającą im dostęp do szeregów wojskowych. Stałéj armii zawdzięcza Rzym podniesienie swéj taktyki i strategii. Z drugiéj strony, między żołnierzem a wodzem wytwarzał się taki stosunek, jak pomiędzy patronem a klientem. Stąd wypływało rozdawnictwo ziemi weteranom. Z czasem wytworzyły się 3 rodzaje armii: gwardya, składająca się z Rzymian i najstarszych sojuszników, legiony z Italików i ochotnicze kohorty z prowincyałów i libertynów. W obywatelach rzymskich a poczęści Italikach mieścił się główny żywioł cywilizacyjny armii. W zetknięciu się z barbarzyńcami wojsko Rzymian barbaryzowało się, gdyż wciągali oni w swe szeregi barbarzyńców, zastępy zaś barbarzyńskie się cywilizowały, albowiem sztuka wojenna Rzymian nie mogła pozostać dla nich długo tajemnicą. Tymczasem sztuka wojenna Rzymian przestała się doskonalić. Zarówno na tém, jak i na każdém inném polu zaznaczał się upadek umysłowy. Nowo-platonizm i chrześciaństwo, dwa główne prądy umysłowe w pierwszych wiekach wykształciły nie głowy rzymskie, ale przedstawiciele rasy semickiéj. Cóż było przyczyną tego upadku? Nie zbytek, gdyż był on zjawiskiem rzadszém, aniżeli dzisiaj. Tępienie najlepszych ludzi głównie powodowało osłabienie społeczeństwa. Dokonywało się ono za pośrednictwem wojen domowych, swawoli cezarów, korupcyi urzędników, systemu wojskowego (zabraniającego żołnierzom się żenić), wyuzdania pogan i ascetyzmu chrześcian (skazywanie się na męczeństwo najlepszych jednostek z niższych warstw). To tępienie najlepszych w daleko większym stopniu sprowadza obniżenie sił duchowych społeczeństwa aniżeli długie wojny. Te aczkolwiek powodują chwilowe zmniejszenie się cyfry ludności (naprzykład w Niemczech po wojnie 30-letniéj), niezadługo jednak sprowadzają stałe podniesienie poziomu umysłowego. Jeżeli w nich na 100 tys. silnych ginie 80 tys., to w takiém przejściu na 100 tys. słabych ginie 90 albo 95 tys. jednostek. Przeciętnie zatém siły społeczeństwa

wzrastają. Tymczasem tępienie najlepszych jednostek działa wyłącznie w jednym kierunku, obniżającym stale siły żywotne społeczeństwa. Społeczeństwo ogołocone ze swych najlepszych przedstawicieli, poczynając od pierwszego senatora, kończąc na ostatnim prowincyale, niewolniczo się płaszczyło przed cezarami, którzy musieli się stać wilkami, ponieważ senatorowie byli owcami.

Niewolnictwo spowodowało niegdyś rozkwit, ale i przyspieszyło upadek świata starożytnego. Niewolnicy stali niegdyś na stopie ekonomicznéj dzisiejszych drobnych dzierżawców a może i lepiéj. W klasie niewolniczéj dobór przyrodzony sprowadzał rozmnażanie się samych najtęższych, zdolnych do pracy jednostek. Drogą wyzwolin z niewolników tworzyli się klienci, klasa bezprawna i nawpół swobodna, ale posiadająca kapitał i pracę. Zresztą, za cesarstwa rzymskiego niewolnictwo tworzyło najlepszy kit dla spojenia najrozmaitszych części imperyum, nigdy późniéj krew rozmaitych ludów nie została pomieszaną w takim stopniu jak za czasów panowania Rzymu. Za cesarstwa utrzymują się setki niewolników nie dla pracy, lecz dla zbytków. Niewolnictwo staje się czynnikiem do rozwijania roskoszy. Handel niewolnikami nienajgorszą krew rozléwał w żyły społeczeństwa rzymskiego, ale fałszywy dobór ją psuł. Za cesarstwa potrzeba było posiadać tłumy własnych klientów, tworzących się z wyzwolonych niewolników, aby uchodzić za potężnego. Przy bezdzietności przechodziły na klientów majątki ich patronów. Bogactwo wyzwoleńców stało się przysłowiowém. Pogardzano pracą, natomiast nie wstydzono się żebrać od najwyższego do najniższego. Taką samą płaszczącą się, służalczą była i literatura. Posiada ona charakter czysto konserwatywny. Brak w niéj krytyki rewolucyjnéj ze stanowiska rozsądku i dobra powszechnego. Nikt w niéj nie gonił za jakimś idealnym celem, choćby za utopią. Jest ona znaczącym symptomatem upadku.

Upadek ducha pociągnął za sobą upadek materyalny. Zmniejszała się gwałtownie liczba ludności. Przyczyną tego nie były wojny lecz brak potomstwa. Rzadkie małżeństwa, bezdzietność, prostytucya wyludniały Rzym z mieszkańców. Stosunki religijne nie sprzyjały również rozwojowi zaludnienia. Chrześcianie żywili ideał ascetyzmu, męczeństwa, u pogan zaś na przeszkodzie rozmnażaniu się stanęło wyuzdanie. W świecie starożytnym objawił się jakiś popęd do samozniszczenia, nie dający się naukowo uzasadnić, podobnie jak w czasach późniejszych popęd do samobójstwa u Atylów o którym opowiadają nam misyonarze. Tworzyło się przeciwieństwo: stary świat nie pragnący się rozmnażać i Germanie na granicy szukający nowych terytoryów do zajęcia. Kiedy w imperyum kultura rolna podupada, na za-

chodzie Germanowie zdobywają ziemię pod uprawę. Tu powstaje instytucya litów lub aldiów z dawnych niewolników. Są oni uprawnionymi posiadaczami gruntów, jedynie przytwierdzonymi do gleby. Fala za falą barbarzyństwa napływała równocześnie, napierają się oni o pozwolenie osiedlenia w głębi imperium. Po strasznèm morowém powietrzu, które wyludniło państwo (r. 160) Marek Aureliusz pozwolił Germanom częściowo osiedlać się w imperyum; przysporzyło to nowych sił zarówno armii jak i kulturze rolnéj. Stan litów został wprowadzony z małemi modyfikacyami; inaczéj nazywali się oni *iniquilini.* Ci przybysze szybko się wynaradawiali; lecz gdy oni się romanizowali, imperyum rzymskie jednocześnie się germanizowało. Nawet cechy antropologiczne plemienia germańskiego, wysoki wzrost i blond włosy zaczynają się spotykać w pośród Rzymian. Nawięzują się normalniejsze warunki dla wzrostu i rozmnażania się rasy. Zwyczaje germańskie przenikają do armii, mianowicie Germanie służący w wojsku nie chcą się zrzekać swego prawa posiadania żon. Zezwolenie na to daje żołnierzom Septymiusz Sewer. Barbarzyńcy wnieśli niekarność w szeregi wojskowe: odtąd zaczyna się krytyka i wpływ wojska na swoich wodzów-cezarów. Zmienił się i wieśniak, stał się śmielszym, pohopniejszym do obrony swych praw (rozruchy włościan za Dyoklecyana). Nawet rozpowszechnianie się mięsa, jako artykułu żywności, jest jednym ze śladów wpływu barbarzyństwa. Reformy w III-m i IV-m wieku posiadają na sobie wyraźne piętno ducha germańskiego; duch ten potrafił się przystosować do nowych form, ale nie zrozumiał ich treści, stąd owe zapędy nowatorstwa na wszystkich polach, zwłaszcza na prawno-państwowém. Nowi cesarze pochodzą przeważnie z prowincyi illiryjskich najgęściéj zamieszkałych przez inkwilinów. Rozpoczynają swój zawód od służby wojskowéj. Armia składa się głównie z barbarzyńców. Te wszystkie przemiany dokonywały się w III-m w. ale niestety najmniéj posiadamy źródeł do ich poznania. Krew ludności się zmieniła, ale kultura dawna zwyciężyła. Stosunki się uzdrowotniły, chociaż okrucieństwo wzrosło. Przedewszystkiém podniosła się na polu moralném obyczajowość, na polu umysłowem oryginalność. Jakiemikolwiek były plany reform Dyoklecyana, zawsze wskazują one na pewną śmiałość i polot ducha, w przeciwieństwie do dawnego zwątpienia i zastoju. Tém nie mniéj na polu sztuki i abstrakcyjnego myślenia okazuje się brak siły twórczéj. Nowe społeczeństwo przedstawiało masę plastyczną, łatwą do urobienia. Czekało tylko na męża prawodawcę, reformatora. Jak Dyoklecyan i jego następcy wypełnili to zadanie— autor obiecuje w przyszłości dać na to odpowiédź.

W dotychczasowéj literaturze historycznéj wcale nie brak dzieł, przedstawiających nam epokę cesarstwa. Możemy przytoczyć na poparcie tego twierdzenia imiona takich historyków, jak V. Duruy, L. Ranke, a zwłaszcza Th. Mommsen, którzy zdawałoby się, iż to badanie już wyczerpali. Prace Szillera [1]) i Hertzberga polegają więcéj na gołém przedstawieniu samych faktów historycznych [2]). Burckhardt w świetnych barwach odmalował nam rozkład pogaństwa, jego rozpadnięcie się prawie na 300 sekt, zwyrodnienie fizyczne, jak i zwyrodnienie na polu umysłowości i sztuki.

Z dzieł, dotyczących specyalnie Augusta, praca Beulé'go, jest tendencyjną. Drumann zaś obecnie już nie wystarcza. Inskrypcye, wykopaliska współczesne, monety, otwierają drogę całkiem nowemu badaniu. W dziele swojém Grundthausen oparł się nie tylko na literaturze współczesnéj, ale i na źródłach pośrednich, jako to monetach, wykopaliskach, inskrypcyach. Przedsiębrał nawet podróże dla poznania i zbadania geograficznego terenu wypadków dziejowych. Opowiadanie jego jest tak barwne i tak zajmujące, iż żywcem przenosi nas w owe czasy a mimo to nie ma tu wcale fantazyi, lub gołego rozumowania autora, wszystko zdobyte jest drogą analizy z faktów. Zwłaszcza charakterystyki osób są przeprowadzone z metodą iście Taine'a, zarówno malują nam ubiór, ruchy, rysy twarzy, nawet kolor włosów, jak i odkrywają przed nami całą duchową stronę, wszystkie uczucia i motywy działania osób.

Przypatrzmy się jakie zmiany i uzupełnienia przynosi dzieło Grundthausena w charakterystyce Augusta i jego wieku. Najważniejszém jest, iż wiele rysów poprzednio znanych w charakterze Augusta zostało gruntownie umotywowanych. Zwłaszcza pisarze XVIII w., wieku wolności i oświaty nie mogli pojąć téj postaci historycznéj. A więc dla Monteskiusza August był tyranem, który uczynił z Rzymian niewolników. Voltaire nazywał go zręcznym i szczęśliwym potworem. Grundthausen zgadza się z Duruy'em, iż August był przedewszystkiém zimnym i wyrachowanym politykiem, lecz nie odmawia mu, jak Duruy, talentu organizacyjnego i nie zwala na niego niezasłużenie winy późniejszego upadku cesarstwa. Zdanie niektórych, jakoby August był założycielem wschodniego despotyzmu czyli sułtanizmu, nie posiada żadnéj wartości naukowéj. Owszem, Grundthausen idąc za Mommsenem, wszędzie kładzie silny nacisk na charakter magistracki władzy Augusta. Oczywista, nie da się zaprzeczyć, iż na późniejsze wyrabia

---

[1]) Geschichte des römischen Kaiserzeit, Gotha 1883.

[2]) Geschichte des römischen Kaiserreichs, Berlin 1880.

nie się i kształtowanie władzy cesarskiéj w Rzymie, silnie wpływały tradycye państwa Diadochów i już od Dyoklecyana ów rys sułtanizmu we władzy cesarskiéj silnie się zaznacza.

Z Mommsenem polemizuje autor zwycięsko, zarzucając mu, niekiedy całkiem słusznie, poglądy antykwarsko-prawnicze. Tak np. pomimo iż Mommsen usiłuje tryumwiratowi przypisać jakieś jurydyczne znaczenie, porównywując go z decemwiratem, autor ze stanowiska historycznego całkiem słusznie twierdzi, iż tryumwirat był gołym faktem gwałtu, przemocą, dla którego późniejsze usankcyonowanie prawne było czczą formalistyką. Jakkolwiekby się kto zapatrywał na tę rzecz, trzeba przyznać, iż fakta brutalnéj siły, przemocy, co krok spotykają się w dziejach, a wróg czy przyjaciel łatwo podciągnąć je może pod swój system. Tutaj formułki prawne tylko zaciemniają pogląd, dotyczą one formy, nie zaś istoty rzeczy.

Kwestya zasad i stanowiska Augusta w polityce zewnętrznéj, nie została dotąd stanowczo rozstrzygnięta. Już Duruy był wypowiedział pogląd, że August dążył nie do zwycięstw i sławy wojennéj, lecz do ochrony państwa na wielką skalę [1]). Grundthausen bardziéj skłonny jest na tym punkcie przypisywać Augustowi stanowisko niezdecydowane, wahające się. Z poglądem Duruy'a stoi w rażącém przeciwieństwie opinia Ranke'go, wedle któréj, August żywił ideę podboju całego świata [2]). Idea ta bezwątpienia ciążyła w umyśle Augusta. Nie napróżno *Monumentum Ancyraneum*, pomnik jego sławy, w którym sam wylicza zasługi swego panowania, podnosi, jak daleko posunęło się jego panowanie wgłąb Arabii i Etyopii, oraz zaznacza przybycie doń poselstwa od królów Indyi, którego nigdy przedtém Rzym w murach swoich jeszcze nie oglądał. Wszakże obawa zawikłań wewnętrznych, któreby się rozwinęły przy wszelkiém niepowodzeniu nazewnątrz, powstrzymywała Augusta od wielkich przedsięwzięć wojskowych.

Niesłusznie autor podsunął ambitne plany walki o koronę Agryppie, najwierniejszemu pomocnikowi i przyjacielowi Augusta. Tutaj autor posunął się tak dalece, iż zbliżenie się Agryppy do króla Heroda tłómaczy szukaniem sobie sprzymierzeńców na wypadek otwartego wybuchu. Na poparcie owego zdania autor przytacza jedną pogłoskę, zaczerpniętą z Velleiusza. W takich zaś razach należy szukać kryteryum w całkowitym charakterze i życiu danéj postaci historycznéj. Dla obalenia tego mniemania dosyć jest przytoczyć świadectwo Seneki, który nazywa Agryppę szlachetnym nietylko z urodzenia, ale z natury swo-

---

1) „Gesch. d. röm. Kaisserreichs", t. I, str. 226.

2) „Die Weltgeschichte", t. III, str. 3.

jéj, sądy współczesnych republikanów, którzy w nim widzieli spadkobiercę idei staro-rzymskiéj Katona.

Oceniając całość dzieła, musimy zaznaczyć, iż autor nie chciał zapuszczać się w głąb przeszłych dziejów, poprzedzających wystąpienie Augusta, aby nie rozszerzać zbytnio swego zadania. Ale skutkiem tego w dziele jego spotykamy lukę. Dla całości obrazu było ważném scharakteryzować dokładnie przejście pomiędzy epoką republiki a epoką cesarstwa—te liczne wstrząśnienia rewolucyjne, które przeszła Italia w ostatniém stuleciu istnienia republiki, — a więc najazdy barbarzyńców z północy, reformy Grakcha, rewolucya Maryusza. Wogóle dotychczasowemu przedstawieniu dziejów téj epoki da się i to zarzucić, że im brakuje podkładu społecznego. Ta wada wynika z charakteru dzieła. Około osobistości Augusta grupuje się cały interes opowiadania, a więc wszystkie inne postaci historyczne, a nawet samo społeczeństwo rzymskie umieścił autor poza plecami Augusta. Z toku przedstawienia rzeczy przez autora wypada, jakoby to społeczeństwo za jego wpływem się przeobrażało i nanowo organizowało. Słuszność rzeczy wymagała również przedstawić Augusta jako dzieło, jako wytwór swego społeczeństwa, albo ducha czasu. Charakterystyki społeczeństwa rzymskiego tak świetnéj i wyczerpująeéj, jaką jest charakterystyka Augusta, nie dał nam dotychczas autor. A przecież była to chwila zupełnego przeobrażenia stosunków socyalnych. Upadek drobnéj własności, koncentracya ziemi w rękach kapitalistów, powstawanie całych towarzystw tak zwanych publikanów, którzy wydzierżawiają ziemię wprost od państwa, a z czasem stają się jedynymi jéj właścicielami, zagarnianie wprost przez nich drobnéj własności, zastąpienie swobodnego robotnika przez niewolników przy uprawie roli, brak zajęcia, nędza socyalna i skupienie się ludności potrzebującéj pracy w Rzymie — oto tło społeczne, na którém budował August. Bezustannie napływająca ludność barbarzyńska do Rzymu, jak Gallowie, Afrykanie, Hiszpanie, Żydzi, nowo-powstająca na miejsce dawnego stanu średniego klasa wyzwoleńców, składająca się z drobnych kupców, przemysłowców, rentyerów, którzy zamiast dawnych Rzymian opanowali komicia, a z czasem dostali się aż do senatu—oto filary nowo-budującego się gmachu państwowego. Obraz ten stosunków od dołu gasi i przyćmiéwa przepych budowy Augusta, jaki się roztacza jeszcze dziś, gdy patrzymy na ruiny jego pomników w Rzymie.

Z całkiem odmiennego stanowiska traktowane jest dzieło Seecka. Tutaj wierność psychologiczna charakterystyk osób, omawianych przez

autora, oraz ścisłość naukowa socyologicznych jego wywodów i uogólnień nasuwają się przedewszystkiém do rozbioru.

Z Dyoklecyana uczynił Seeck jakiegoś ideologa, wyprowadzającego pewne pryncypia, zasady ogólne z pojedyńczych doświadczeń życiowych. Tymczasem w umyśle nawpół barbarzyńskim nie ma powodu przypuszczać chęci narzucenia życiu swoich formułek logicznych, raczéj przeciwnie, zbyt łatwe przystosowanie siebie do formuł żelaznéj konieczności życiowéj. Według Ranke'go, Dyoklecyan urządził państwo, jak tego wymagał duch czasu — zrównał prowincye z Rzymem, postawił na czele nowo-utworzonego przez siebie państwa urzędniczego władzę monarszą we właściwém znaczeniu tego wyrazu, któréj poddał zarówno senat, jak i wojsko. Na jeden tylko krok nie zdobył się, który uczynił miasto niego Konstantyn W., ażeby zastąpić pogaństwo, zgodne z całą przeszłością Rzymu, przez chrześciaństwo, które było prądem duchowym przyszłości. Mianowaniu przez niego współrządców przyświecały ważne pobudki polityczne, jak twierdzą Burckhardt [1]), Ranke [2]), mianowicie: po części chcąc usunięcia dotychczasowéj wadliwości w systemie rządzenia, wskutek obwoływania cesarzy przez wojsko, po części podział pracy. Ranke nawet przypuszcza, iż naznaczenie cezarów miało głównie na celu obronę granic [3]). Czy wicennalia było w planie pozostawić, jako stałą zasadę rządzenia i zmiany następstwa tronu, na to z trudnością da się odpowiedzieć. Burckhardt przychyla się na stronę twierdzącą, chociaż sam zaznacza wątpliwość tego mniemania, gdyż ideę tę współcześni przypisywali Galeryuszowi, co tak mało zgadzałoby się z jego charakterem [4]).

Jeżeli charakterystyka Dyoklecyana, jako polityka i męża stanu, wypadła zbyt ujemnie, natomiast co do Konstantyna autor idzie wzorem Euzebiusza i innych jego panegirystów. Z postaci téj usunął autor wszystkie egoistyczne, a zwłaszcza polityczne motywy. We wszelkiéj charakterystyce najważniejszą jest rzeczą odnieść stronę duchową człowieka (jego wyobrażenia, usposobienie, uczucie) do działań, postępków czyli woli. Żądaniu temu nie uczynił zadość autor. Cały przebieg działalności Konstantyna polega na stopniowém przybliżeniu się jego do jedynowładztwa. Zamiast ten fakt psychologicznie wytłómaczyć, autor usiłuje dowieść, że działo się to zawsze bez jego woli, a nawet wbrew jego woli. Konstantyn nigdy właściwie nie chce tego, co go spotyka: bez jego woli legiony obwołują go augustem, wbrew

---

1) „Die Zeit Constantius des Grossen". Basel, str. 43.

2) „Die Weltgeschichte", t. III, str. 474.

3) Tamże, t. III, str. 480.

4) „Die Zeit Constantius des Grossen", str. 46.

jego woli ginie Maksymian, bez jego woli upada Licyniusz i wbrew jego woli jedynowładztwo wpada mu do rąk. Posłuchajmy, co mówią historycy przeciwnego obozu, ci, którzy utrzymują, że dążenie do jedynowładztwa było główną sprężyną polityki Konstantyna. Ranke powiada, iż Konstantyn poświęcił na ołtarzu swéj polityki teścia, brata żony, męża siostry, a wreszcie własnego syna [1]. Burckhardt pod tym względem porównywa go z Solimanem Wspaniałym, który tak samo postąpił z synem swym Mustafą, jak Konstantyn z Kryspem, dla zasady politycznéj [2]. Ambicya była głównym motywem działania Konstantyna, który w polityce nie znał żadnych względów moralnych. Religię traktował jako środek ze stanowiska korzyści politycznych [3], sam zaś był niereligijnym.

Konstrukcye socyologiczne autora na podstawie hypotez biologicznych (doboru przyrodzonego i dziedziczności), zamało wzbudzają w nas przeświadczenia o konieczności ich skutków ze stanowiska historycznego. Takiemi są np. uogólnienia autora o dodatnim skutku wojen na podnoszenie się poziomu duchowego narodu i o przeciwném temu działaniu tępienia wybitniejszych jednostek, o poprawianiu się rasy za pośrednictwem przymieszki krwi barbarzyńskiéj, o dodatnim wpływie początkowym niewolnictwa (na rozmnażanie się samych pracowitych). Natomiast strona kulturalna dziejów (zwłaszcza w przedstawieniu Germanów) została zaniedbaną. Wykopaliska (któremi posługuje się Lamprecht w *Deutsche Geschichte*, t. I) zupełnie pominął autor. Napróżno szukamy w nim faktycznych wiadomości o organizacyi pierwotnéj — przejściu od prawa macierzystego do ojcowskiego, o zamianie organizacyi setek na organizacyę rodzin [4]. Ustrój gminowładczy u Germanów został przez autora najpobieżniéj dotknięty. Lekceważy on siłę i znaczenie obyczaju ze stanowiska tworzenia się prawa. Obyczaj jest pierwotnym węzłem prawnym i w instytucyach zwyczajowych znajdujemy zaczątki późniejszych form i urządzeń prawnych.

Oceniając i porównywując prace najświeższe Grundthausena i Seecka, musimy powiedzieć, iż oba dzieła traktują o jedném i tém samém olbrzymiéj doniosłości zagadnieniu dziejowém, ale każde obrało sobie inny punkt wyjścia, oraz inną metodę pracy. Pierwsze stawia

---

1) „Die Weltgeschichte“, t. III, str. 520.

2) „Die Zeit Constantius des Grossen“, str. 376.

3) Tamże. str. 375.

4) Por. „Lamprecht das Socialgeschicht der Urzeit“, t. I. Pangemeinde, „Sippe und Familie der Urzeit“.

sobie za cel poznanie początków, czyli tworzenie się cesarstwa rzymskiego i to głównie ze stanowiska osobistości Augusta. Drugie usiłuje wniknąć w istotę téj katastrofy, która spotkała stary Rzym, i w tym celu bada zarówno moment schyłkowy reorganizacyi państwa przez Dyoklecyana i Konstantyna W., jak i ducha ówczesnego społeczeństwa. W pierwszém dziele przeważa pragmatyzm historyczny i obrazowanie; w drugiém — analiza i pogląd filozoficzny. Z krańcowości tych kierunków wynikają główne wady obudwóch dzieł. W pierwszém zamało uwzględniono fakta ogólne natury socyologicznéj, sprężyny dziejów głęboko utajone albo wprost duch czasów, — w drugiém częstokroć pominięte są milczeniem fakta, z których splata się ciąg wypadków dziejowych, natomiast autor rozpływa się w ogólnikach, albo też szukając przyczyn pierwszorzędnych, zapuszcza się aż do czynników natury biologicznéj (dobór przyrodzony), strona zaś psychologicznie badania, o wiele bliżéj obchodząca historyka, bo związana z wolą, działaniem ludzkiém—mocno na tém ucierpiała. Obadwa dzieła zalecają się gruntownością i naukowością, z większém jednak przechyleniem szali sądu na stronę pierwszego (Grundthausena). Sądząc z dotyczasowego charakteru i zakroju prac obudwóch, po ukończeniu będą one stanowić na polu badań nad epoką cesarstwa rzymskiego dorobek, przewyższający znacznie rezultaty dotychczas wyłożonych w tym zakresie trudów nauki.

Adam Szelągowski.



NAJNOWSZE KIERUNKI

BIOLOGII DZISIEJSZEJ.

Dwieście lat z górą upłynęło od chwili, kiedy w r. 1665-ym Robert Hooke, dzięki ledwo co zrobionemu wynalazkowi mikroskopu, potrafił odkryć w materyi roślinnéj małe ciałka, które nazwał komórkami (*cells*). Niewiele do tego pierwszego odkrycia dołożyli późniejsi, słynni jednak badacze, jak Malphigi, Fontana, w r. 1781 odkrywający jądro i jąderko, Brown, Dujardin, który w roku 1835-ym dochodzi do określenia zawartości komórki, jako materyi zorganizowanéj i żyjącéj, nazwanéj przez niego sarkodą, zamienioną w r. 1846-ym przez Hugona Mohla na dzisiaj przyjęty termin „protoplazma". Turpin (1826) podaje prawdziwe znaczenie komórek, uznając je za elementa organiczne, których przeróżne kombinacye wytwarzają wszelkie organy i organizmy. Dotychczas wszelako badano jedynie rośliny i do nich tylko powyższe twierdzenia stosowano. Dopiéro dwie wielkie prace Dutrochet'a (1824 i 1837), oraz liczne studya Schwanna (1839) umacniają pojęcie o komórce, rozciągają ją do stanowiska elementarnéj formy każdego żywego organizmu, dowodzą, że stanowi ona część zasadniczą w budowie wszystkich naczyń i tkanek, dając temi pojęciami pierwsze zarysy wielkiéj teoryi komórkowéj.

Z umocnieniem tych poglądów, idących, rzecz prosta, równolegle z rozwojem przyrządów badania i techniki manipulacyjnéj, powstaje w biologii nowy, doniosły kierunek.

Historye naturalne Lineuszowskich i Cuvierowskich czasów to skrzętny inwentarz systematologiczny, którego jedyném zadaniem było jaknajsumienniejsze obliczanie nóżek, stawów, lub barwy piór skrzydeł. Jest to doba opisowa, w zewnętrznym morfologicznym rysopisie widząca cel nauki.

Z umocnieniem teoryi celularnéj, z narodzeniem się anatomii mikroskopowéj i embryologii porównawczéj, zmienia się nagle postać rzeczy.

Uczeni, biologowie już teraz, porzucają wypchane lub w słojach konserwowane okazy. Zoologia i botanika z nauki demonstracyjnéj staje się inspekcyjną. Badania przenoszą się do laboratoryum, nie potrzebne są już wielkie ogrody i wielkie zwierzyńce. Mikroskop i stolik dysekcyjny, termostat i odczynniki chemiczne — oto pole do pracy.

O ile pierwszy kierunek miał tę złą stronę, że łączył i grupował w działy i poddziały po większéj części na zasadzie cech zewnętrznych, raził drobiazgowością szczególików opisowych cech zewnętrznych, nieraz bardzo błahéj wagi, o tyle druga po nim następująca era, pod którą po za badaniami mikroskopowemi podłożył podwalinę Lamarck, ten wielki poprzednik Darwina, przeszła w nową krańcowość, w zbytnią drobiazgowość w badaniu najdrobniejszych szczególików wewnętrznéj budowy lub rozwoju.

Na téj to drodze najwięcéj położyli zasług, a raczéj pracy uczeni niemieccy, wyborni obserwatorzy laboratoryjni, dając co rok setki prac z dziedziny histologii, anatomii i embryologii mikroskopowéj, które co najwyżéj zaznajamiały świat z tém, że taki pączek nerwowy u raka schodzi się z innym pączkiem o milimetr wyżéj niż przypuszczano, lub że przy segmentacyi jajko takiéj gąbki rozpada się na tyle, a nie więcéj części. Błąd był znowu ten sam. Peryod pierwszy, jeśli weźmiemy pod uwagę historyę biologii od epoki odkrycia komórki do ustalenia się metod dzisiejszych, ta epoka „historyi naturalnéj zwierząt”, badała formę nie troszcząc się prawie o organa, ważność których nawet przy klasyfikacyach wskazywał jednak Jerzy Cuvier, kiedy peryod drugi, przeciwnie, zaniechawszy formę zewnętrzną wdarł się z całą zaciekłością w najskrytsze głębie organizmów, tam do nieskończoności poszukując najdrobniejszych zmian i wyglądów.

Jak pierwszy ten okres, tak i drugi zapomniał jednak najzupełniéj o czémś, co może stanowi najważniejszą kwestyę biologii, co jest może pierwszorzędną i najwłaściwszą jéj treścią...

Zapomniano, rozproszywszy się na setne drobiazgowe badania bez szerszego celu i znaczenia, o tych wielkich pytaniach, które same

tylko mogą objaśnić nam to, o co się tak dawno, bez ostatecznéj i pewnéj odpowiedzi, pytamy: co to jest życie, jakie są jego prawa. Zapomniano więc o niespożytych kwestyach ogólniejszéj natury, jako to: czém jest właściwie komórka, jakim jest jéj stosunek do złożonego organizmu, jakie są i jak się odbywają najprostsze jéj funkcye, jaką drogą i w jakim bodźcu jednakie, jednolite w zaraniu życia różniczkują się w późniejszym swym rozwoju, wytwarzając: jedne nerwy, inne mięśnie, inne tkanki i t. d. Jakim sposobem organizm może przenieść na swe potomstwo bądź swoiste, bądź nabyte cechy, jakie są, innemi słowy, prawa i zasady dziedziczności... Jakie, daléj, więzy pokrewieństwa łączą szeregi istot organicznych, drogą jakich zmian i przeobrażeń szły przez wieki szczeble hierarchii organicznéj... A nakoniec najważniejsze ze wszystkich, to może klucz do większości zagadek, mieszczące w sobie pytanie: jaka jest swoista budowa i własność komórki i jéj zawartości, — pytanie, na które odpowiedź da rozwiązanie wszystkich zagadek biodynamiki dzisiejszéj...

Bywały wprawdzie długie chwile, w których wiedza do tych wielkich zwracała się pytań. Dość przypomnieć prace Lamarcka, późniéj Darwina, Haeckl'a, teorye dziedziczności Weismanna, Naegeli'ego i tylu, tylu innych.

A jednak ponad temi szerszemi wzlotami myśli, co z zebranych szczegóników jakieś większe, ogólniejsze chciała budować gmachy, przechodzono po większéj części do porządku dziennego, po krótszéj lub dłuższéj dyskusyi i polemice, wracając do obliczania długości komórek lub ich wymiarów np. przy głodzeniu.

I w tém może tkwiła pewna czysto psychologiczna, prawdziwie ludzka przyczyna. Te badania laboratoryjne — to jedynie kwestye wprawy, cierpliwości i większego lub mniejszego oczytania. Tu szerszéj myśli, geniuszu nie trzeba. Praca sumienna wystarcza, aby przeciętny pracownik mógł zasłynąć jako wielki i sumienny uczony, często cytowany jako specyalista od... przypuśćmy, wymiarów jąderka w komórkach nerwowych żaby.

Czas więc wielki, aby, otrząsnąwszy się z téj pochłaniającéj coraz więcéj zdolności pracy szperaczy mikroskopowych, wziąć się do tych wielkich pytań biologii ogólnéj, które stoją otworem i co manią i wabią olbrzymiością swych zagadnień, wśród których swobodnie rozbijać się mogą najśmielsze i najbogatsze umysły.

Jednym z pierwszych, co w téj pierwszorzędnéj dla nauki dzisiejszéj kwestyi, rzucił rękawicę tym, co po za laboratoryum i mikroskopowaniem nie widzą żadnéj dla biologii przyszłości, jest profesor Sorbony—Yves Delage.

Wyzwanie to rzucił on w wspaniałém swém dziele: *La structure du protoplasma et les théories sur l'hérédité et les grands problèmes de la biologie générale* [1]. Ogromne to dzieło rozdzielił autor na trzy części: jedna nosząca tytuł „Fakty", druga „Teorye", trzecia zaś, będąca kombinacyą dwóch pierwszych, zawiéra własną teoryę autora.

Część pierwsza ma przedstawić dane konkretne, określenia i systematykę komórki i jéj części składowych. Jest ona jednak w rzeczywistości zwięzłym skrótem teoretycznéj części, która znowu daje nam w przepysznie obrobiony sposób wszystkie teorye komórkowe i dziedziczności od najdawniejszych czasów do dni ostatnich. W téj części zwraca uwagę nazwisko kilkakrotnie cytowane badacza naszego J. Ejsmonda.

Ta druga część dzieła ma na celu przedstawienie i jednocześnie krytykę wszystkich teoryi, jakie dotychczas ukazały się w literaturze naukowéj w tych kwestyach.

Tu zwracamy uwagę na doskonały rozbiór i krytykę teoryi Weismanna i Naegelego. Dla każdego zajmującego się biologią, ta część daje niespożyte bogactwo faktów, podanych jasno, oświetlonych trafnie, dostarczających każdemu potrzebnéj mu wiadomości, częstokroć bez potrzeby uciekania się do źródeł oryginalnych.

Przedstawia więc nam najprzód animistyczne poglądy najdawniejszych autorów, widzących w rozwoju osobnika i szeregów organicznych siłę życiową, mistyczne, gołosłowne określenie.

Późniéj zjawiają się ewolucyoniści, zrazu widzący w jajku jakby szereg wkluczonych jedna w drugą właściwości ich, które warunkują przechodzenie cech dziedzicznych. Cóś jak owa chińska kula, gdzie autor wyrzeźbia jedną w drugiéj, cały szereg coraz mniejszych pierścieni.

Nakoniec trzeci kierunek, ostatni, który mikromeryzmem ochrzcił, teorya widząca w organizmie jakieś idealne cząstki (setki nazw u setnych noszące autorów), które przenoszą z ciała rodzicielskiego w ciało potomka wrodzone lub nabyte cechy. A więcéj nawet: gdy jak u Weismanna, za pomocą jego słynnych bioforów nie udało się objaśnić przechodzenia cech nabytych, odrzucono je decydując, że cechy te nie są dziedziczne, wbrew obserwacyi, licznemi faktami popartéj.

---

[1] Ogromny tom o 878 stronach, z wyczerpującemi indeksami i wykazem bibliograficznym. Praca powyższa, o ile nam wiadomo, została przetłómaczona na język polski przez dr. Wandę Szczawińską. Z niecierpliwością prawdziwą każdy przyrodnik polski powinien oczekiwać jéj ukazania się.

Teorye te, zdanie ostatniéj doby, przenoszą całą siłę dziedziczną na idealnie małe ciałka, niedzielne elementy, które mają w sobie te zarodki funkcyi lub budowy z rodziców na dzieci przechodzące.

Pomijam tutaj rozbiór chociażby najkrótszy tych teoryi, pomijam własną teoryę Delage'a, chcę jedynie nadmienić jeden fakt: uwydatnienie przez uczonego profesora Sorbony prawdy, że wszystkie dotychczasowe teorye są jedynie przygotowaniem, że długie poszukiwania laboratoryjne oderwały umysły od tych najważniejszych dla biologii kwestyi, kierując je na manowce, pozostawiając na boku to, co przedewszystkiém uwagę zwrócić było powinno.

Długie zaś swoje osobiste wywody reasumuje autor w formule: „W filogenezie organ urabia funkcyę, w ontogenezie funkcya urabia organ”, t. j. w rozwoju i życiu osobnika jego przeróżne ustosunkowania się do środowiska, zróżniczkowania indywidualne wpływają na zmianę i modyfikacyę organu, stosownie do jego potrzeb: funkcya urabia tu organ. Zmiana anatomiczna jest podporządkowana zmianom natury fizyologicznéj.

W rozwoju zaś hierarchii organicznych, w rozwoju rodów rzecz dzieje się odwrotnie: tutaj zmiana anatomiczna warunkuje zmiany fizyologiczne. Wynika zaś to w najprostszéj swéj przyczynie z prawa przeobrażeń dla osobnika. Rozszerzenie się zakresu potrzeb i wymagań życia, narodzenie się nowych warunków i nowych konieczności wywołuje ewentualną musowość przystosowania organu do nowopowstałych funkcyi. Jeśli teraz te funkcye nowonabyte, wraz z nowowytworzoną wskutek ich pojawienia się zmianą anatomiczną okażą się pożyteczne, wygrają na terenie walki o byt, dając pierwszeństwo obdarzonemu niemi, — to cechy powyższe utrwalając się z osobnika na osobnik, wytworzą przedewszystkiém coraz donioślejszą zmianę anatomiczną, nową organizacyę przeznaczoną na nową funkcyę. Że zaś w początku powstawania w zarodku najprzód powstaje organ, mający wypełniać funkcyę, późniéj zaś dopiéro pojawia się funkcya, ewentualnie w szeregach ewolucyi rodowéj najprzód powstanie organ, a późniéj coraz silniéj w nim objawiać się będzie funkcya, czyli organ urobi, a raczéj uwarunkuje funkcyę.

To też dla ścisłości terminologicznéj wprowadziłbym do formuły Delage'a w pierwszym przypadku słowo „uwarunkowuje”, w drugim zaś „urabia”.

Jeśli więc, jak to przyznaje autor w końcu swéj pracy, nie tyle chodziło mu o wysunięcie na pierwszy plan swego osobistego zdania, ile o zainteresowanie ogółu badaczy kwestyą poruszenia na nowo wiel-

kich zadań biologii ogólnéj —to mieć należy nadzieję, że mu to przedsięwzięcie w zupełności udać się musi.

Może pod wezwaniem uczonego francuskiego, odrzucą biologowie czcze wycieczki w dziedzinę systematologii mikroskopowéj, a zechcą ogarnąć te szerokie, bezgraniczne horyzonty od początku istnienia do dzieczności cech nabytych idące... Że jednak powiał nad światem jakiś dobry prąd, te dążenia wzbijający na plan pierwszy, dowodzi tego druga praca, o któréj słów parę powiedzieć tu muszę.

Le Dauter, *Le théorie nouvelle de la vie.* Felix Alcan, 1896, Paris. Oto jéj tytuł.

Autor, doktór nauk przyrodzonych, stawia tu niezmiernie oryginalną i śmiałą teoryę życia, starając się od początkn do końca swéj doskonałéj pracy uwydatnić jeden fakt: życie istot organicznych rządzi się temi samemi prawami, z jakiemi spotyka się badacz przy obserwacyi ciał nieorganicznych, przy zjawiskach chemicznych i fizycznych.

Przedewszystkiém autor rozróżnia życie elementarne i życie właściwe.

Pierwszy udział istot monoplastycznych określa Le Dauter, jako własność plastydy (czyli nieukształconego ciała protoplazmatycznego), możność jéj zostania plastydą.

Przystosowanie się do miejsca wytwarza skupienia. Nazywamy organami poszczególne części skupienia. Czynność, działanie organu, zwane jego funkcyą, jest rezultatem własności życia elementarnego, wchodzących w skład jego elementów. Tutaj dodać należy, że plastyda obdarzona życiem elementarném ginie, skoro jéj odejmie się którą z głównych jéj składowych części, np. jądro. Dowodzą tego doświadczenia merotomiczne.

Złamanie ciągłości koordynacyjnéj w wieloplastydowym organizmie jest śmiercią. Śmierć może zabić organizm, pomimo że ani jeden element anatomiczny nie został zabity śmiercią elementarną.

Śmierć jest konieczną fazą następczą dla organizmów, może nigdy nie nastąpić w elementach, żyjących życiem elementarném.

Cała teorya Le Dauter'a, oparta ściśle na prawach fizyko-chemicznych zamiany materyi i zależności organizmu od środowiska, stanowi piękny przyczynek dla dzisiejszéj biodynamiki, czyli mechaniki życia.

Więcéj takich badań, więcéj takich sumiennych i bezpretensyonalnych uogólnień, a przyjdzie chwila, w któréj jeśli nie już, jak chciał Berthelot, syntezę materyi żywéj zrobiemy, ale przynajmniéj

będziemy mogli napisać prawdziwe i pewne równanie chemicznéj zamienności materyi w funkcyach życia.

Aby módz osiągnąć ten cel, aby raz módz się dowiedzieć, czém jest to życie, ten najpowszechniejszy i najpospolitszy proces przyrody, dotychczas tajemny i nierozwiązany, trzeba, porzuciwszy drobiazgowe szperania, zamienić laboratorya na pracownie dla celów biologii służące, dążąc do rozwiązania trzech wielkich pytań: co to jest protoplazma, czém jest jéj elementarna funkcya życia i jaką drogą to życie wraz ze swemi właściwościami przechodzi z rodziców na potomstwo.

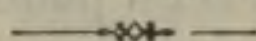
Rozwiązanie tych pytań stanowić musi cel całéj jutrzejszéj biologii.

K. Daniłowicz-Strzelbicki.



Z PIŚMIENNICTWA ANGIELSKIEGO

w 1896 roku.



Nie ma trudniejszego zadania, jak charakteryzować piśmiennictwo jakiegokolwiek społeczeństwa w ścisłym obrębie jednego roku. Krótkość czasu, zarówno jak rozmaitość przedmiotu, stać tu muszą na zawadzie. Jest ono materyalnie niepodobném, gdy się angielskie pod rozbiór bierze. Roczna produkcya liczy się tam nie na tysiące, ale na dziesiątki tysięcy dzieł. Nikt rościć pretensyi nie może, by znał je choćby z tytułów. Najpilniejszy czytelnik, oprócz swéj specyalności, poprzestać musi do poznajomienia się z drobniuchną zaledwie cząstką tych, co stoją po za jéj obrębem.

Nawet dominujące prądy, wytwarzające i grupujące się szkoły, nie dadzą się uchwycić w zasadniczych swych rysach w tym szczupłym zakresie czasu, gdyż na każdą ewolucyę życia umysłowego potrzebuje go znacznie więcéj. Wszelkie ogólne charakterystyki ograniczają się do cząstkowego naszkicowania jednego zakątku obrazu. Gdy się np. spotykamy ze zdaniem, iż rok ubiegły zaznaczył się stanowczym zwrotem ku studyowaniu klasyków narodowych, albo gdy nam wskazują umoralnienie powieści, skoro kobiéty-autorki zaprzestały rozpisywać się o patologiczno-fizyologicznych zagadnieniach, to można albo samemu faktowi zaprzeczyć, albo z większém jeszcze prawem

uznać taki szczegół drobiazgowy za niewystarczający do scharakteryzowania twórczości piśmienniczéj wielkiego, żywotnego i wysoce oświeconego społeczeństwa.

Nie wystarczającą zapewne, ale jedynie praktyczną metodą jest tedy, gdy się nie chce pisać oschłego katalogu bibliograficznego, pozbawionego zresztą wszelkiego interesu dla oddalonéj publiczności, wyjęcie z pośród téj pstrokatéj masy świéżo wydrukowanych książek, kilku, kilkunastu utworów, które z tych lub innych powodów uwadze publicznéj się narzuciły i najpowszechniéj czytane i rozbiérane były. Przegląd taki, nie kusząc się bynajmniéj o odsłonięcie tajemnic umysłowéj twórczości angielskiéj, ani zamierzając być systematycznym i dokładnym, zaspokoi wszelako tę naturalną u każdego wykształconego czytelnika ciekawość co do nowych objawów piśmienniczych u jednego z przodujących narodów świata współczesnego.

Zacząć ten przegląd przystoi od poezyi nietylko z zasadniczéj czci dla téj najwznioślejszéj formy twórczości duchowéj, ale i ze względu na żywotność, jakiéj ona ani na chwilę w Anglii nie straciła. Inne narody skarżą się na stygnący dla poezyi interes, na niepoczytność poetów: u Anglików niczego podobnego nie ma i śladów, przeciwnie mnóstwo dowodów, że społeczność jest w ciągłym i bezpośrednim związku nietylko z poetami o ustalonéj sławie, co oddawna już weszli do Panteonu narodowego, ale że przysłuchuje się pieśniom młodych, wczoraj jeszcze wmieszanych, bez indywidualnego znamienia, do gwarnego roju *poetae minores* i że odznacza zaszczytném wyróżnieniem tych, co złożyli dowody wyższego uzdolnienia. Wykazał rok ubiegły, z okoliczności stuletniego jubileuszu szkockiego barda, Burns'a, jak wielką jest po dziś dzień popularność tego samorodnego śpiewaka ludowego: osobistości najznakomitsze nietylko literackiego, ale naukowego, politycznego i kościelnego świata, wzięły udział i zabrały głos w uroczystościach pamiątkowych. Innym przykładem trwałéj pozycyi, zdobytéj przez poetów, są dwie naraz nowe edycye zbiorowe dzieł lorda Byrona, podjęte przez wielkie firmy księgarskie, oraz rozmaite publikacye, biograficzne i krytyczne, do niego się odnoszące. Jest to zjawisko niespodziane, ów zwrot ku Byronowi. Przed kilkunastu laty nietylko zdawał się nie być już na porządku dziennym, ale wystarczało oddawać mu hołd, aby się okryć śmiesznością. Pompatyczny jego romantyzm brzmiał jak anachronizm wśród atmosfery realistycznéj, atmosfery dnia dzisiejszego. A oto znajduje zastępy czytelników, komentatorów, lubo nikomu na myśl nie przychodzi marzyć o wskrzeszeniu byronizmu. Ta sprawiedliwość oddawana śpiewakowi Childe-Harolda jest czémś więcéj, niż umieszczeniem jego popiersia

w galeryi historycznéj poetów: zwracają się do niego nietylko jako do antenata, ale lubują się w nim, jako w mistrzu formy, co nie straciła nic na swéj piękności.

Wskrzeszając pamięć onegdajszych swych wieszczów, nie skąpi téż Anglia miejsca wczorajszym. Przedłużająca się chronologicznie epoka Wiktoryi o wiele daléj, aniżeli to normalnym tokiem wypadków przewidzieć było można, miała tak genialnych poetów, jak Tennyson i Browning, tak wysoce utalentowanych, jak Swinburne i William Morris. Pierwszy z tych dwóch ostatnich nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa i nie stracił swego przodowniczego stanowiska. Nawet podrzędniejsze jego utwory, jak wydane w roku zeszłym *Tale of Balem*, przyjęte zostały z zapałem i nie ma wątpliwości, że przynajmniéj pod względem piękności formy, artystycznego kunsztu wiersza, nikt mu z krajowych poetów nie dorównywa. Zgon Williama Morris'a wywołał tyle żywych manifestacyi żalu narodowego, że nie potrzeba innego dowodu, jak wielkiéj czci śpiewak „Raju ziemskiego" zażywał do ostatniéj chwili. Była tu mowa niedawno [1]) o jego twórczości poetyckiéj: i jego stanowiska w poezyi angielskiéj nie ma potrzeby podnosić ponownie.

Straciła także Anglia w ubiegłym roku innego ze swych wydatniejszych poetów, sięgających jutrzenką swéj twórczości do pierwszego okresu epoki Wiktoryańskiéj. Mamy na myśli p. Coventry Patmore. Był to poeta domowego zacisza, śpiewak rodzinnego ogniska a cześć podniosła dla jego kapłanki, kobiéty, stanowiła dominującą nutę jego utworów. Cieszyły się one wielką popularnością, a poemat *Angel in the house*, i drugi *Faithful for Ever* zasługiwały na nią bezwarunkowo i czystością natchnienia i kunsztowną prostotą formy. Coventry Patmore, jedyny z pomiędzy nowoczesnych poetów angielskich, którzy ogółem są panteistami albo agnostykami, był nietylko spirytualistą, ale katolikiem żarliwym. Szczególniéj w ostatnich jego utworach uwidoczniła się przewaga mistycyzmu, w którym zaginął, jak w bezbrzeżnym oceanie, ów prąd egotycznego liryzmu, co stanowił jego wybitną stronę poetycką. Nie genialny to wieszcz zapewne, ale jeden z tych, którzy każdemu piśmiennictwu chlubę przynieść mogą.

Kwiaty, które sypie społeczność angielska na świeże mogiły swych ulubionych wieszczów, nie przeszkadzają wieńczeniu nowych, na poetycką arenę wstępujących. Rok ubiegły ostatecznie usankcyonował sławę dwóch z nich przynajmniéj — Johna Davidson i Williama

---

[1]) Patrz „Ateneum" za styczeń r. b.

Watson. Obadwaj mają już za sobą kilkoletnią twórczość i niemało zaszczytnych wysiłków, ale obecnie można już bez obawy zbyt pośpiesznego sądu, umieścić ich w orszaku poetów, których strofy chwytane są w lot przez zasłuchaną w nie społeczność. Wymieniani oni ciągle bywają *ex aequo*, jakby w niepewności, któremu z nich pierwsze należy się miejsce. Szala przechyliła się, jeżeli osobiste wyrazimy zdanie, ku pierwszemu.

John Davidson jest istotnie oryginalnym poetą. Próbował on już sił swych w kilku rodzajach, a między nimi w poetycznych dramatach, pisanych widocznie z okiem ku scenie zwróconém. Gdy się talent jego wzmoże i rozwinie, będzie to dla dramatycznéj sceny angielskiéj, tak zadziwiająco ubogiéj, nabytek cenny. Przekład *Pour la Couronne* Franciszka Coppée, którego dokonał w kunsztownéj formie dla sceny Irvinga, Lyceum, świadczy czego się po nim w tym kierunku spodziéwać będzie można. Ale mistrzowstwo swoje ujawnił on w lirykach. W ciągu dwóch ostatnich lat ogłosił zbiory „Ballad" i „Sielanek", a w roku 1876-ym dał i nowe ballady i nowe sielanki. Te ostatnie, które mu jednozgodny poklask zdobyły, nie są bynajmniéj bukolikami pasterskiemi. Autor nazywa je eklogami z ulicy Fleet. Ironia tego tytułu pochwycona być może dopiéro wtedy, gdy się przypomni, że ta ulica, o nieustającéj wrzawie, bez jakiéjkolwiek piękności plastycznéj, jest siedliskiem całego dziennikarskiego i publicystycznego świata angielskiego. Wrze tu jak w kotle, ale nie ma miejsca na marzenia poetyckie, a środowisko samą myśl eklog sielskich Teokryta lub Wergiliusza wyklucza. Istotnie z innym téż światem mamy do czynienia. Poeta, zamieszany w ten wir kotłującego życia dzisiejszego, oryentuje się w niém, szuka drogi, szuka zasad i idei przewodnich. Umysł jego jest pełen rozwagi i sądu krytycznego. Rozumié ustrój demokratyczny, podsłuchał skargi cierpiącego ludu. Nie ma w nim czułostkowości sentymentalnéj dla proletaryatu, ale poeta przemawia jako trybun ludu. Jest gorącym patryotą i potęga państwa brytańskiego, w którém nigdy nie zachodzi słońce, odurzająco działa na jego wyobraźnię. A wyobraźnię ma bujną, rozkołysaną i taką, że, unosząc się nad krytycznym poziomem jego sądu, czyni go niezaprzeczenie poetą. Malowniczość jego palety, zdumiewające bogactwo obrazów, kunsztowność formy, częste wiersze, które odczytane, ryją się w pamięci: oto jego zalety zewnętrzne. Gdy zaniecha zbytecznego skupiania myśli, gdy się stanie bardziéj przezroczystym i gdy skrzydłem swém wielkie kręgi zataczać się nauczy po firmamencie, to będzie, bez najmniejszego wątpienia, poetą nowego pokolenia. Uznanie publiczne, które go otacza, jest zupełnie uzasadnione.

Jego rywalem w sławie poetyckiéj jest William Watson. Gdy przed dwoma laty wyszedł zbiór jego: „Ody i inne poemata”, przychodzący po kilku innych, dawniejszych, wysoce cenionych przez znawców i miłośników poezyi, krytyka o nim wydała sąd najpochlebniejszy. Nie wahano się stawiać go na téj saméj równi, co Matthew Arnold, ba, nawet co Tennyson. Najbliższe pokrewieństwo duchowe wiąże go z Wordsworth'em, najpierwszym z liryków angielskich. Co przedewszystkiém zadziwia i zachwyca w poezyach W. Watsona, to mistrzowstwo nieposzlakowane ich formy. Jest ona nawet przerażającą. Obrawszy sobie poezyę za specyalność wyłączną, wystudyował on, zgłębił tak dokładnie wszystkich najznakomitszych pieśniarzy krajowych, począwszy od epoki Elżbiety, że przyswoił sobie, nieświadomie może, wszystkie ich właściwości. Czytając jego wiersze, ma się zawsze poczucie, że się już kiedyś, dawniéj te podniosłe, pełne szczytności, kryształowe, dźwięczne rymy czytało. Na przemian tego lub owego z największych narodowych poetów przypomina, i pod żadnym względem nie zostaje za nimi w tyle. Taka pochwała jest jednocześnie krytyką. Ten wirtuoz nieporównany nie posiada prawdopodobnie samodzielnéj oryginalności. Nie wiemy, jak wiemy u Davidsona, w co wierzy, jakie są jego istotne dążenia, jakie mu przyświecają ideały. Podejrzewamy nieraz istotę jego wzruszenia poetyckiego i gotowiśmy przypuszczać afektacyę i deklamacyę tam nawet może, gdzie jest całkiem szczery. Jako arcydzieło jego niechaj nam będzie wolno polecić zwolennikom poezyi jego „Hymn do morza”. Jest to charakterystyka mistrzowska, pełna najwspanialszych a razem najwierniejszych obazów, jest to inwokacya istotnie natchniona. Zamiast rozwodzić się nad kapryśnością rozigranych fal, poeta podnosi wieczyste, niezmienne prawa życia morskiego i łatwo sobie wyobrazić, jaką przeciwstawę z działalnością ludzi i jaką harmonię pomiędzy jednym a drugim światem odkrywa.

W ciągu ostatniego roku p. Watson wydał zbiór sonetów, poświęconych prześladowaniom Ormian. Zbiór ten nazwał „Purpurowym Wschodem”. Poświęcenie siedmnastu sonetów temu jednemu przedmiotowi świadczyło o głębokości wrażenia, jakie tragiczne te wypadki wywarły na jego wyobraźni, ale szkopułem tu musiała być jednostajność. Jest zaiste dowodem wysokiego talentu, że nie daje się ona uczuwać zbytecznie. Muza poety jest pełna górnolotnego natchnienia. Wzięty oddzielnie, każdy z tych sonetów jest doskonały. Nużą, przerażają nawet, gdy się je czyta jednym tchem. Jak świetna jest gra imaginacyi p. Watsona, nic lepiéj nie pokazuje jak ustępy, w których wyrzuca swemu narodowi, iż zdradził świętą sprawę uciśnionego naro-

du, nie dając, koniec końcem, obiecanéj pomocy. Jeden z sonetów przedewszystkiém nazwany „Honor Anglii", w którym bolejący wieszcz-patryota składa ten honor splamiony do mogiły, zostanie po wsze czasy pomnikiem poezyi angielskiéj.

Możnaby jeszcze wymienić, oprócz Davidsona i Watsona, kilku innych poetów popularnych i poczytnych, a przedewszystkiém jednego z nich, którego świéże *Soldier Tales* pochwycone zostały przez całą masę narodową, ale zdaje się właściwszém przejść do innych działów piśmiennictwa. W filozoficznym, rok 1896-ty przyniósł z jednéj strony ostatni tom „Socyologii" Herberta Spencera, a z drugiej—„Historyę wojny pomiędzy wiedzą a teologią" Andrzeja White'a. Nie tutaj, w szybkim przeglądzie, miejsce dla charakterystyki pomnikowéj „Filozofii ewolucyjnéj" Spencera. Dość będzie przypomniéć, że ta praca trzydziestoletnia, prowadzona przez wielkiego myśliciela bez przerwy, a obejmująca najprzód „Pierwsze zasady", a z kolei „Zasady biologii", „Psychologii", „Etyki" i „Socyologii", stoi przed światem obecnie w swéj całości systematycznéj. Doktryna ewolucyi, jako taka, przestała już być herezyą, albo nawet nowością, i weszła w krew i soki umysłowe świata współczesnego. Filozof angielski uważany za zuchwałego rewolucyonistę, gdy stawiał fundamenty dla swéj budowli, znajduje już teraz przeciwników tylko na tym lub owym punkcie drugorzędnym, gdy idzie o zastosowanie téj lub owéj gałęzi świadomości ludzkiéj do całokształtu świata takiego, jaki on pojmuje. Kiedy on sam, z łatwém do zrozumienia zadowoleniem spogląda na dokonane przez się dzieło, w kołach inteligencyi angielskiéj powstała myśl upamiętnienia tego doniosłego wypadku odpowiednim obchodem. Pierwszą jego formą jest ofiarowanie narodowi portretu Spencera, wykonanego przez Herkomer'a, jednego z najsłynniejszych malarzy. Subskrypcya publiczna pozwoli prawdopodobnie i na inne oznaki wdzięczności społecznéj względem Nestora filozofów krajowych.

Dzieło p. Andrzeja Dickson White'a, którego tytuł w oryginale brzmi *History of the warefare of science with theology in Christendom* wyszło jednocześnie w Nowym Yorku i w Londynie u wielkiéj firmy wydawniczéj Macmillan'a. Te dwa grube tomy znalazły tu powodzenie nadzwyczajne. Jedno z pełnych życia pism tygodniowych literackich, *the Academy* rozpisało okólnik do kilkuset najznakomitszych osobistości świata piśmienniczego, z prośbą o wymienienie dwóch książek najbardziéj interesujących, jakie im się w ostatnim roku czytać zdarzyło. Więcéj niż połowa tych luminarzy wymienia jako taką pracę p. White'a. Nie ma wątpienia, że dzieło to zostanie niebawem przetłómaczoném na wiele języków: odpowiada ono do wysokiego stopnia

potrzebom chwili, a wywarło już potężne wrażenie wśród tych warstw anglo-saskiego szczepu, które kroczą naprzód z okiem skierowaném ku postępowi ludzkości, ku światłu i prawdzie.

P. Andrzéj White wydał tę „Historyę" walki wiedzy z teologią na upamiętnienie 25-éj rocznicy fundacyi uniwersytetu Cornell w Stanach Zjednoczonych, którego był profesorem historyi i rektorem. Naukowa ta instytucya, licząca już dzisiaj 2,000 studentów i 150 profesorów, ufundowana była przed ćwiercią wieku przez p. Cornell, z warunkiem, że wszystkie prace naukowe w niéj podejmowane nie mają się krępować względami teologicznemi. Była to zuchwała inowacya w świecie anglo-saskim, gdzie cała oświata wyższa była tradycyonalnie trzymana w rygorze teologii; przyjęto ją okrzykami zgrozy i prześladowaniami. Krótkiego atoli trzeba było czasu, ażeby tę stronniczą niechęć rozbroić i udowodnić, że ani moralne podstawy, ani czysty duch wiary religijnéj, nic na zniesieniu klauzuli teologicznéj nie ucierpią. Ci, co pragną identyfikować religię z obskurantyzmem naukowym i chowają się po za zastarzałą teoryę scholastyczną, krzywdę przynoszą religii, a postępów i rozwoju wiedzy nie powstrzymają. Autor téj pracy poważnéj, ambasador amerykański w Petersburgu, porównywa ją w swéj przedmowie do tych przerębli, jakie wykuwane bywają na lodzie Newy: i ona także ma ułatwić swobodę prądu i zapobiedz klęsce gwałtownego wylewu.

Byłoby błędem uważać obecne dzieło za jednoznaczne z książką Johna W. Draper'a *Conflicts between Science and Religion.* Ta, swego czasu tak rozgłośna praca, była, zaprzeczyć się nie da, nieprzyjaźnie usposiobiona względem wszystkich kościołów, względem każdéj religii i widziała w nich nieprzejednanych wrogów wiedzy. Od roku 1872-go, w którym ona wyszła na widok publiczny, upłynęła zaledwie ćwierć wieku, a już punkt wyjścia wydaje nam się przestarzały, sekciarski, ciasny. Inaczéj zapatrują się dziś najlepsze umysły na rolę, która wielkim organizmom spirytualistycznym, jakiemi są kościoły, i wszechpotężnemu działaczowi cywilizacyjnemu, jakim jest religia, przypadła w udziale. Zostawiając im otworem pole kształtowania i uszlachetniania moralnéj strony natury człowieczéj, wyswobodziła je zupełnie z odpowiedzialności, ze wszelkiego obowiązkowego udziału w postępach wiedzy, w zdobyczach naukowych. *Philosophia—ancilla theologiae,* doktryna średniowieczna, sformułowana w téj słynnéj formule przez Wincentego z Beauvais, straciła w nowszych czasach wszelką racyę bytu. Wyemancypowana z wszelkiego wpływu kościelnego wiedza, czyni poszukiwania, bada zjawiska świata zewnętrznego, zdobywa piędź za piędzią, wśród mozolnych wysiłków, jedna po drugiéj prawdę, wni-

ka coraz głębiéj w tajemnice przyrody i wszędzie, na każdym kroku, u granic swéj świadomości spotyka się z odwieczném zagadnieniem pierwiastku spirytualistycznego, Twórcy wszechbytu. Pomiędzy wiedzą, o takim praktycznie zakréślonym programacie, a religią, zdążającą do obudzenia w duszy ludzkiéj czci i miłości dla tego Twórcy, nie ma najmniejszego powodu do waśni: każda swojém korytem do tego samego zmierza oceanu. Spór i zacięta walka były wtedy tylko możliwe, gdy zabierająca głos samozwańczo w imieniu religii, teologia przemawiała rozkazująco do wiedzy, uczyła ją prawd przyrodniczych, zakréślała granice jéj poszukiwaniom i karciła za każde samodzielne zboczenie z wytkniętego jéj szlaku. Przeciwko téj uzurpacyi teologii zbuntował się świat nowożytny i w ciągu trzech ostatnich wieków udało się wiedzy całkowicie zwyciężyć tę przedtém potężną przeciwniczkę. Dzieje téj walki, tych zapasów, opisuje p. Andrzéj White ze spokojem wyzutym z wszelkiéj napastniczéj zaciętości, z olbrzymim rynsztunkiem nauki historycznéj i technicznéj. Nie potrzeba wcale dodawać wniosków tendencyjnych do tego wymownego obrazu historycznego, gdyż z nawału umiejętnie i systematycznie nagromadzonych w nim danych gościniec, jakim pójdzie świat jutrzejszy, ukazuje się w jasnéj perspektywie.

Jądro tego dzieła zawiéra się w pierwszym, wstępnym rozdziale, którego wszystkie dalsze są tylko ugruntowaniem i rozszerzeniem, w zastosowaniu do rozmaitych gałęzi wiedzy. Nosi on tytuł: „Od stworzenia aż do ewolucyi" i obejmuje historyę idei przemagających u ludzkości co do powstania świata. Na początku stoi pojęcie o stworzeniu świata z niczego przez osobistego Twórcę i stopniowo widzimy je podkopane i obrócone w niwecz przez Kopernika, Kepplera, Galileusza, Kartezyusza i Newtona. Ostatni cios teoryom teologicznym zadać musiała doktryna ewolucyi. Autor rozpatruje systematycznie poglądy świata starożytnego i średniowiecznego na sposób, w jaki stworzenie świata zajść miało, na materyę stworzoną, na epokę i na datę, oraz na osobę Twórcy; idzie za pierwszemi objawami sceptycznego powątpiewenia co do wiarogodności téj teogonii, pokazuje jak pojęcie ewolucyi świtało już w odległych czasach, w starożytnym i średniowiecznym kościele, jak się rozwinęło od XVI-go wieku aż do naszych czasów, gdy przez prace Buffona, Lamarcka, Cuvier'a, Wallace'a, Darwina i Lyell'a stanęło w rzędzie prawd naukowych. Wszystkie usiłowania potępienia teoryi i odkryć wiedzy, zamknięcia ust jéj rzecznikom spełzły na niczém, tak samo jak nie mogły być uwieńczone skutkiem starania pogodzenia teoryi teologicznych z pewnikami wiedzy. Za ostatni protest nauki przeciwko ewolucyi, uważać można opo-

zycyę tak wielkiego uczonego, jakim był Agassiz. Od roku 1859-go, gdy teorya ewolucyi ostatecznie sformułowaną została, upłynęło zaledwie kilka lat dziesiątków, a już obecnie zgroza i przekleństwa, rzucane na Darwina, znacznie osłabły i nie trudno przewidzieć chwilę, w któréj ci, co przy genezie teologicznéj upiérać się będą, zapragną wśrubować ją do niéj, tak samo, jak zmuszeni byli uczynić to po odkryciach Kopernika, Galileusza i całego szeregu przyrodoznawców.

W następnych dwóch rozdziałach autor wykazuje walczące jedne z drugą te dwie doktryny w dziedzinie geografii i astronomii. Forma, kształt i rozmiary ziemi, charakter jéj powierzchni i jéj wnętrza, oraz jéj mieszkańcy: na każdym punkcie tym teologia kościelna musiała złożyć broń. Nie potrzeba przypominać epizodów tragicznych walki z odkryciami astronomów w XVII-ym wieku: dała ona p. White sposobność do napisania jednego z najbardziéj przekonywających ustępów swéj pracy. Z kolei przechodzi do geologii, do chronologii biblijnéj i do archeologii przedhistorycznéj. W formie wstępu do historyi o upadku człowieka wykazuje, jak do przekazanych nam pod tym względem pojęć hebrajskich, weszły żywcem starsze od nich legendy chaldejskie i asyryjsko-babilońskie i mity i jakim zmianom uległy, gdy ufundowano na nich pojęcie monoteizmu. Teorya stworzenia człowieka i jego upadku rozpatrywana jest ze stanowiska antropologicznego, etnologicznego i historycznego. Autor wyraża przekonanie, że dopiéro z chwilą, gdy całą tę teoryę teologiczną zniweczono, powrócona została człowiekowi swoboda woli i że dopiéro teraz prawdziwa, wzniosła, czysta religia ma pewny grunt pod nogami do kształtowania duszy człowieczéj. Walka z przesądami i zabobonami, egzorcyzmy, wypędzanie dyabła, potępianie czarownic, magia, stopniowo prowadzą do narodzin fizyki i chemii. Nauki to młode jeszcze, w dziecinnym nieledwie wieku, ale z dokonanych już przez nie odkryć i przewrotów łatwo przewidzieć, jaką mają przed sobą przyszłość. Każdy nowy ich krok jest ciosem dla pojęć, za które wiedza teologiczna niedawno jeszcze kruszyła kopie. Rozdziały, w których autor pokazuje postępy dokonane przez wiedzę w sferze medycyny, stającéj do walki z wiarą w fetysze i cuda, i wprowadzającéj jedne po drugich badania anatomiczne, szczepienie zarodków, użytkowanie środków anestetycznych i hygieny w niezliczonych jéj zastosowaniach, nabiérają istotnego dramatycznego interesu, gdy przypomina długi szereg wysiłków, jakie czyniła teologia, aby im drogę zagrodzić i działanie utrudnić.

Ostatnią część swego wyczerpującego dzieła poświęca p. White porównawczéj filologii i przeciwstawia ją biblijnéj teoryi o pomieszaniu języków i wieży Babel, oraz porównawczéj mitologii przez którą

dochodzi do szybkiego przeglądu egzegezy krytycznéj i olbrzymich odkryć jakie się jéj udało uczynić co do składu i charakteru starego i nowego testamentu. Rola jaką zajmuje buddyzm w teodycei chrześciańskiéj jest należycie podniesiona.

Nie ma jednéj stronicy, jednego ustępu w tych dwóch grubych tomach, któreby się czytało obojętnie; na każdym kroku najważniejsze zagadnienia umysłu ludzkiego stają w historycznym swym rozwoju, walczące o prawo bytu. Nie podobna, wobec tego tysiąca przywiedzionych dowodów, nagromadzonych przykładów, wątpić że autor ma słuszność twierdząc, iż teologia nic z wiedzą ścisłą nie ma wspólnego, że się do tych kwestyi mieszać nie powinna, że zgubne jéj i ujemne działanie skończyło się raz na zawsze. Można by tylko było pragnąć ażeby, doszedłszy do kresu swego studyum, obszerniéj się rozwiódł nad wagą spirytualistycznego pierwiastku dla rozwoju ludzkości i ażeby był wykazał, że może być w nią wpajany inną drogą aniżeli tą, jaką szła teologia dawniejsza. Jest to atoli zadanie które snadno będzie innym myślicielom wykonać, gdy on już wszystkie zapory zwycięsko uprzątnął przed nimi.

W sferze polityczno-społecznéj, tak pierwszorzędne miejsce zajmującéj w życiu angielskiém i tak gorliwie uprawianéj w piśmiennictwie, nad wszystkiemi, nader licznemi utworami, górowało dwutomowe dzieło o 1,000 stronic wielkiéj 8-ki Williama Edwarda Lecky, profesora Dublińskiego uniwersytetu, historyka wszechświatowéj sławy pod tyt. *Democracy and Liberty*. Zarówno stanowisko jakie zajmuje uczony autor w świecie naukowym, przez klasyczną wartość dawniejszych swych prac jak „Historya XVIII wieku”, „Historya etyki europejskiéj” i „Historya racyonalizmu” etc., jak sama osnowa dzieła o tak wyrazistym tytule utorowały mu odrazu drogę do poczytności. Było ono rozbierane wielostronnie, wywarło niezaprzeczenie silne wrażenie w kołach wykształconych i nie pozostanie prawdopodobnie bez praktycznego wpływu na instytucye krajowe, obecnie gdy p. Lecky, jako członek ministeryalnéj, zachowawczéj większości wszedł do parlamentu. Nie potrzebnie autor usprawiedliwia się w przedmowie, że on, historyk, co stracił najlepszą część życia na badaniu zamierzchłéj przeszłości, poważa się zabrać głos w sprawach tętniących życiem współczesném. Nie ma lepszego przygotowania do wydania wyroku o względnéj wartości tych zasad, które świat nowożytny obrał sobie za hasło, jak oświetlenie ich przez dokładną znajomość całego rozwoju ludzkości. Więcéj niż od kogokolwiek innego można było od niego oczekiwać bezstronnego sądu a témbardziéj go było potrzeba, że wiele z dawniejszych pojęć, jakie sformułowała teorya o demokracyi i o wolności, uległy,

i uledz musiały radykalnym zmianom w miarę, jak życie społeczne poddawało je probierzowi doświadczenia. Musi uderzać najpowierzchowniejsze oko różnica zapatrywań na stosunek wzajemny demokracyi do wolności wczorajszego pokolenia a dzisiejszego. Nie dawne to jeszcze czasy, gdy z naiwną ufnością oczekiwano od wolności politycznéj zniesienia wszystkich dolegliwości bytu społecznego, gdy w demokracyi widziano najwyższe słowo mądrości politycznéj, apoteozę postępowego rozwoju świata. Chociaż demokracya nie przestawała płynąć pełném korytem, chociaż swobodne instytucye zapuszczały coraz głębsze korzenie wśród organizmów państwowych, a może właśnie dla tego, że różnorodnych przykładów na prawo i na lewo nie brakowało, straciliśmy sporą dozę apryorycznych zapatrywań i z pesymistycznym nieledwie sceptycyzmem spoglądamy na te dwa filary społeczeństw. Owe marzone *millenium*, owa wszechharmonia świata człowieczego która się nam niegdyś uśmiechała, nie na téj drodze urzeczywistnione być mogą. Czujemy się w prawie poddać te zasady nowemu a ścisłemu badaniu, gdyż podejrzéwamy że ich wzajemny do siebie stosunek nie jest bynajmniéj tak prosty, jak się nam to utrzymywać podobało.

Widocznie wygórowane były oczekiwania nasze, gdyż praca p. Lecky zadowolniła je zaledwie w bardzo podrzędnych rozmiarach. Nie uważamy za najgłówniejszą jéj wadę tego, że brakuje jéj wszelkiéj systematyczności, wszelkiego organicznego planu: wszyscy prawie pisarze angielscy grzeszą w ten sam sposób. W istocie „Demokracya i Wolność" p. Lecky, jest zbiorem *essay*'ów, które napisał w ciągu ostatnich lat kilku i które nam się tu i owdzie w pismach peryodycznych czytać zdarzyło. Niektóre z nich w bardzo luźny tylko sposób należą do traktowanéj materyi. Jest to raczéj encyklopedya, gdzie autor traktuje *de omni re scibili et quibusdam aliis*. Najrozmaitsze figurują tam fakta, które prawdopodobnie wpadły pod jego oczy w pismach codziennych i które przytacza jako przykłady, nie stwierdziwszy uprzednio ich wiarogodności. Przy tak zadziwiającym braku zmysłu krytycznego, wkradła się tu nie jedna anegdota, nie jeden drobiazg, oddawna już uznane przez lepiéj poinformowanych za pozbawione wszelkiéj wartości.

Ale te i podobne usterki tracą na znaczeniu, gdy się weźmie na uwagę ogólny nastrój, ogólną tendencyę całéj téj pracy. Jest ona stanowczo nieprzyjazna demokracyi. Ponieważ wielu z najgłębszych myślicieli pod ten sam anti-demokratyczny sztandar się zapisało, nie ma najmniejszego powodu dziwić się, że takie są opinie p. Lecky. Ale można mu zarzucić sposób ciasny, stronniczy, w jaki je umotywował, można się dziwić powierzchowności z jaką kwestyę tego znaczenia

traktował, ów słynny historyk. Gdy Maine, albo Mill, albo Bagehott, że już o Tocquevillu nie wspomnim, wykazują konflikty w które wolność staje z demokracyą, to trzeba uznać potęgę ich argumentów i cała ich doktryna w logicznéj spójni staje przed nami. Inaczéj u p. Lecky. Odłożywszy na stronę te dwa grube tomy, czuje się chętkę zapytać, czy autor istotnie rozumié co to jest demokracya. Definicye, jakie jéj podaje, różnią się często jedne od drugich. Najwyrazistsza jest ta, w któréj ją określa jako formę społeczną, w któréj nędza i głupota rządzi i kieruje własnością i inteligencyą. Z paradoksem tym spotykaliśmy się już często. Gdyby on miał być prawdą, to przy ciągle wzrastającéj liczbie społeczeństw demokratycznych, przy coraz głębszém zapuszczaniu się demokratycznych korzeni, byłoby nieodzowném zubożenie ludzkości i jéj ogłupienie. Skoro wprost przeciwne fenomena mają miejsca, zatém jest oczywistém, że nędza i głupota, nawet w społecznościach demokratycznych, nie przewodzą światu. Jest atoli pewne jądro prawdy w spostrzeżeniu p. Lecky'a, uszło tylko jego uwagi to, że owe ujemne czynniki przemagają jedynie w teoryi, ale że w praktyce równouprawniona masa proletaryuszy była, jest i będzie upośledzoną, podwładną warstw posiadających i dostatek i naukę. Za przykład można postawić Anglię właśnie. Demokracya płynie już w niéj pełném korytem, ale ponieważ całość narodowa wyrobiła od wieków nie tylko instytucye ale i ducha zachowawczo-arystokratycznego, zatém świéżo wyemancypowane masy wzorują się na téj saméj modle i zamiast być ujemnemi czynnikami organizmu, przynoszą doń nowe żywioły, nowe soki zdrowe.

Powiedzieliśmy, że pogląd autora na demokracyę jest jednostronny i ciasny. W niczém się to jawniéj nie pokazuje jak właśnie w tém pominięciu wpływu, jaki pojawienie się na widowni społecznéj masy ludowéj wywarło na klasy uprzywilejowane i przewodniczące. Nie podobna zaś nie zauważyć, jak się nasze pojęcie sprawiedliwości i prawa rozszerzyło, jak ideał nasz rozpiął swe skrzydła, jak ciepły humanitaryzm przeobraził świat nowoczesny i radykalnie go odmiennym od starożytnego uczynił. Skoro nam przyznaje, że demokracya jest dominującym faktem i że nie może być mowy o zatamowaniu jéj dalszego postępu, zdawałoby się naturalném nakréślenie jéj programatu takiéj działalności, któraby zmniejszała znaczenie szkodliwych jéj pierwiastków a potęgowała dobre, któraby oświecała i umoralniała masy. Ale słabe są tylko objawy takiego męskiego, jędrnego pochwycenia problematu, a przemagają ckliwe skargi, sarkastyczne ucinki i harce po dawno udeptanych szlakach.

Jest czystém niepodobieństwem streścić pracę p. Lecky, naprzód dla tego że porusza z kolei i jednocześnie wszystkie zagadnienia, jakie świat postępowy ma przed sobą, a potém dla tego, że nie ma w niéj jednolitéj myśli przewodniéj. Powiedział o nim jeden z krytyków uszczypliwie, że może on służyć za wzór jak o demokracyi pisać nie należy. Chociaż sąd to doraźny, miałoby się ochotę nań zgodzić. Kiedy uderzają w niéj rażące braki, jak między innemi pominięcie australskich stosunków, tak wyjątkowo ciekawych dla wykazania sprzeczności pomiędzy temi siostrami - bliźniaczkami, demokracyą a wolnością, to z drugiéj strony autor niepotrzebnie rozwałkowywuje nadużycia i szkodliwe następstwa, jakie tryumf demokracyi ma nieść za sobą. Łatwo sobie z góry wyobrazić, że zamordowanie wolności we Francyi przez dwóch Napoleonów staje się w jego oczach aksyomatem nie cierpiącym wyjątku: każda demokratyczna rzeczpospolita ma nieodzownie prowadzić do despotyzmu. Napróżno by mu się zwracało uwagę, że dzisiejsza, trzecia rzeczpospolita trwa we Francyi już dłużéj niż jakakolwiek z form rządowych od wielkiéj rewolucyi i że zwalczyła bez wyjątkowego wysiłku zachciankę militarnego despotyzmu, który w osobie Bulangera starał się ją pohańbić; napróżno przypominałoby się mu, iż wielka rzeczpospolita amerykańska nie pokazała od stuletniego z góry swego istnienia, najmniejszych tendencyi do despotyzmu militarnego. Autor przeskakuje z łatwością do innego rodzaju argumentów, a historya, a doświadczenia przeszłości służą mu za rodzaj arsenału, z którego z kolei jedną broń wydobywa po drugiéj, choćby je już rdza czasu strawiła. Pomiędzy najgłówniejszemi zarzutami, jakie czyni demokracyom, jest obdłużanie lekkomyślne skarbu państwowego, gdzieby zupełną słuszność przyznać mu się mogło po zastrzeżeniu, iż pracują one nie dla dzisiejszego tylko pokolenia ale czynią wysiłki dla ugruntowania nowego ustroju społecznego; daléj utrzymywanie armii i przekupstwa oraz nadużycia skandaliczne sług publicznych. Nie można bez uśmiechu przyjąć tu dwu ostatnich. Wielkie armie, podkopujące ekonomiczne gospodarstwo narodów, nie są bynajmniéj wyłącznością społeczeństw demokratycznych, i jeżeli kto to historyk jest w stanie wykazać przyczyny, które je uczyniły możliwemi i nieledwie koniecznemi w obecném stadyum rozwojowém świata. Skandale i przekupstwa urzędników, frymarczenie groszem publicznym miewało niestety miejsce pod płaszczem najbardziéj arystokratycznych instytucyi i anti-demokratycznych rządów: dopatrzenie się słomki w oku bliźniego nie uchodziło nigdy dotąd za okaz bezstronności i sprawiedliwości.

Najciekawszą stroną dzieła p. Lecky powinna była być część poświęcona formom, w jakich demokracya zamanifestowała się w Anglii i następstwom, jakie za sobą pociągnęła: jest tam na swym własnym gruncie a ów proces ewolucyjny ma wysokie znaczenie pedagogiczne. Wyżéj uczynione uwagi przygotowały już zapewne czytelnika do wniosku, że i na tém polu autor nie jest zadowolniającym i być nim nie może. Naprzód nie jest on sędzią ale stroną. Jest namiętnym partyzantem, protestanckim oranżystą niecierpiącym katolicyzmu i Irlandyi: gdzie mu o nich mówić wypada albo nawet tam, gdzie do tego nie ma powodu, szpikuje ich zatrutemi strzałami. Daléj brakuje mu mléka humanitaryzmu a natomiast w żyłach jego płynie kwas doktryneryzmu. W jego oczach najświetniejszą epoką dziejów angielskich był okres pomiędzy bilem reformy 1832, emancypującym warstwy średnie a rokiem 1867, gdy się demokracya ludowa do udziału w sprawach publicznych wdarła. Od téj chwili datuje się jego zdaniem, upadek moralny Anglii i bankructwo systemu reprezentacyjnego. Nie ma potrzeby z tego rodzaju zapatrywaniami kruszyć kopii.

Nie ulega wątpliwości, że tryumf demokracyi wszedł w kolizyę z systemem parlamentarnym, który z tego rodzaju zapaśnikiem dawniéj ścierać się nie potrzebował. Starą machinę trzeba będzie przerobić i przeistoczyć, ażeby nowym warunkom odpowiedziéć mogła: to jest oczywiste. Kiedy najgłębsi politycy skwapliwie poszukują sposobów i środków przeprowadzenia téj reorganizacyi, p. Lecky daje nam swoją receptę: zaprowadzenie reprezentacyi proporcyonalnéj przez danie głosu mniejszości i reformę izby lordów, do któréj pragnie wprowadzić wybieralnych delegatów z pośród klasy dziedzicznych prawodawców.

Możnaby się szeroko rozpisać o rozdziałach, w których autor traktuje o socyalizmie i kwestyach robotniczych, o plutokracyi, o małżeństwie cywilném i rozwodzie, o emancypacyi kobiet i t. d., ale jesteśmy w obawie, że i tak już zadługo rozpisaliśmy się o pracy, któréj nadzwyczajny rozgłos nie zdaje się nam odpowiednim jéj rzetelnéj wartości.

Rzadko zdarzyło się książce poważnéj, ugruntowanej na autentycznych dokumentach, wywołać większy rozgwar, ba, skandal nawet, jak ten, który powstał z ogłoszenia „Życia kardynała Manninga, arcybiskupa Westminsteru” przez Edmunda Sher. Purcella. Protestacye, klątwy z jednéj strony, a z drugiéj taka popularność samego dzieła, że w ciągu jednego roku te dwa tomy o 1,500 stronicach, rozchwytane

zostały w czterech edycyach — stoją jako świadectwo potężnego interesu jaki ono wywołało. P. Purcell, któremu kardynał Manning jeszcze za swego życia powierzył wiele dokumentów autobiograficznych, dzienniki, które spisywał w latach swéj młodości, korespondencye etc., zaczął pisać jego żywot ze skrupulatną wiernością. Po śmierci kardynała w roku 1892-im wykonawcy jego ostatniéj woli z kardynałem Vaughan, następcą jego na stolicy Westminsterskiéj, na czele, wręczyli Purcellowi wszystkie papiéry po wielkim zmarłym pozostałe w niezłomném przeświadczeniu, że poufny biograf pominie lub wykreśli dyskretnie wszystkie rysy i szczegóły, któreby mogły zmniejszać urok wywierany na świat przez wielką postać Manninga. Naturalną jest ta tendencya do apoteozy u biografów i jeżeli gdzie, to tutaj można się było jéj spodziéwać. Rodzaj osłupienia zapanował w kołach arcybiskupstwa, gdy p. Edmund Purcell odmówił zakomunikowania swego rękopisu. Odebrano mu pośpiesznie papiéry, które mu oddane były do użytku, ale kroki przezorności przyszły już za późno: biografia pojawiła się na widok publiczny. Wprawdzie komitet wykonawców ostatniéj woli Manninga zaprotestował, odmówił jéj wszelkiéj wartości i oświadczył, że urzędowe życie zmarłego będzie ogłoszone z jego poręki niebawem, lecz nie zagrodziły te swary drogi do powodzenia pracy p. Purcell'a, a przeciwnie posłużyły jéj za potężną reklamę. Żądna zazwyczaj skandalów publiczność rzuciła się do tego życia, w którém podejrzéwać zaczynała jakiéś ukryte strony, ale na szczęście, nie znalazła ich bynajmniéj. Wrażenie, jakie każdy bezstronny czytelnik przewertowawszy je wynosi, jest że kard. Manning nie był żadną po za światem stojącą, anormalną istotą, że był człowiekiem, a zatém posiadał wady i ułomności ludzkie. Gdyby autor nie był ich uwzględnił, miałoby się prawo wierność jego obrazu podejrzéwać i wartość biografii zmniejszyłaby się wielce. Ale nawet gdy się pozbawi Manninga téj aureoli, w którą stroić go zaczyna legenda, i przyjrzy mu się takiemu, jakim był w rzeczywistości, to sprawiedliwość przyznać nakazuje, że pozostaje jednym z najszlachetniejszych, z najczytszych typów, jakiemi ludzkość poszczycić się może.

Przekonania tego nabiéra czytelnik, idąc po prostu biegiem wypadków, które p. Purcell opowiada z drobiazgowemi szczegółami. Autor nie przyczynia się bynajmniéj do wzbudzenia entuzyazmu. Rzadko zdarzyło się nam czytać biografią, pisaną z większą obiektywnością. Widoczném jest, że autor jéj obawiał się, ażeby nie opanował go ten czar poetyczny, jaki wionie od Manninga: jest oschły, suchy, prozaicz-

ny i nie rozpłomienia się nigdy. Posuwa taki nastrój aż do przesady, i w tém leży prawdopodobnie źródło zgorszenia, jakie wywołał. Można mu także zrobić inne zarzuty, a mianowicie, że nie uwzględnił wielu z najciekawszych epizodów w zawodzie duchownym książęcia kościoła, że nie podnosi należycie jego filantropijno-socyalnéj działalności lat ostatnich. Dowodzi to atoli poprostu, że nie łatwo jednemu pisarzowi, jakkolwiek pracowitemu, wniknąć w tak wielostronną naturę, z jaką się tu ma do czynienia. Jest widocznie miejsce dla przyszłego biografa do podniesienia stron pozostawionych w cieniu, ale wątpimy, ażeby rysy zasadnicze, jakie p. Purcell wykazał, zdruzgotane zostały przez jego następców.

Pierwszy tom biografii obejmuje życie Manninga od daty jego urodzenia w r. 1807 i prowadzi je przez cały peryod anglikanizmu aż do przejścia na łono kościoła katolickiego w r. 1851. Widzimy go w zamożnym domu rodzicielskim, w pośród licznéj i szczęśliwéj rodziny, towarzyszymy mu do szkoły w Harrow i do uniwersytetu w Oxfordzie. Chociaż autor nie kładzie należnego nacisku na ruch Puseizmu, który właśnie wtedy ogarnął *alma mater*, chociaż nie daje dostatecznych szczegółów o stosunkach przyjacielskich z Gladstonem i Newmanem, to epoka ta jest naszkicowana dostatecznie, ażeby pojąć, że nic nie zapowiadało wówczas przyszłego kardynała. Młody Manning był ambitnym młodzieńcem, któremu uśmiéchały się sukcesy światowe i karyera polityczna. Strata majątku i zawód miłosny tłómaczą, że wchodzi do organizmu kościoła anglikańskiego. Nie było, bezwątpienia, w téj epoce śladu entuzyazmu religijnego u proboszcza w Lawingtonie, tak samo jak nie było burzy w jego kilkoletniém pożyciu małżeńskiém. Gdy owdowiał, gdy przechodzi na szersze pole działania jako dziekan w Chichester, wtedy zagadnienia teologiczne i życie religijne nabiérają dlań żywszego interesu. Jego stosunki ze stronnictwem Traktaryuszy i z Newmanem stanowią wysoce interesujący epizod jego życia, a momentem jego przełomowym jest przejście Newmana na katolicyzm. Najgłówniejszym zarzutem, jaki katolicy czynią panu Purcell, jest ogłoszenie przezeń korespondencyi pomiędzy tymi dwoma purpuratami, korespondencyi, która pokazuje istniejące pomiędzy nimi różnice zapatrywań, spory, rywalizacyę ukrytą, a przejawiające się w tysiącznych okolicznościach. Były to istotnie dwie całkiem odmienne natury, ale jest przesadą utrzymywać, że zazdrość względem Newmana, chęć pozbawienia go wysokiego stanowiska, jakie odrazu zajął w kościele katolickim i zimna ambicya popchnęła go do nawrócenia się także w lat kilka późniéj. Korespondencya, jaką prowadził

w całéj téj epoce swego życia z Robertem Wilberforce odsłania przed nami cały ten ciekawy proces duchowy. Pobyt w Rzymie w okresie rewolucyjnym 1847—1848 roku był ostatnią iskrą, która zapaliła płomień neofityzmu.

Jeżeli zawartość pierwszego tomu przedstawia wyższy interes psychiczny dla tych badaczy, którym idzie przedewszystkiém o śledzenie procesu rozwojowego charakteru aż do jego punktu kulminacyjnego, to pod względem wypadków znaczenia ogólnie historycznego i udziału, jaki brał w nich Manning, drugi tom, w którym zawód jego, jako katolika, jest skréślony, ma bezwątpienia wyższą doniosłość. Ci, co tak gorzko wyrzucają autorowi téj biografii i co go oskarżają o zdradę, iż wprowadził profanów za kulisy katolicyzmu angielskiego i pokazał bój zacięty, a niemy, uwijających się w nim stronnictw, wrzącéj walki o wpływy, zapominają, że te fakta uprzednio już przeszły do historyi. Nie można zresztą wyrzucać tego podziemnego wrzenia Kościołowi katolickiemu w Anglii. Była to epoka jego niemowlęctwa, gdy się wytwarzał na nieprzyjaznym sobie gruncie, wśród wyjątkowo trudnych okoliczności i dziwić się niepodobna, że trzy tak wysokie, tak wpływowe i tak bezinteresowne osobistości, jakimi byli trzéj kardynałowie: Wiseman, Newman i Manning, z okiem wyłącznie w przyszłość zwróconém i dbając jedynie o rozrost znaczenia swego kościoła, różnili się co do metody organizacyjnéj i propagandy. Gdy po śmierci kardynała Wisemana, Manning zostaje mianowanym w roku 1865-ym arcybiskupem dyecezyi Westminsterskiéj, ukazuje się jego geniusz w pełnym rozkwicie i nie dziwimy się przeważnéj roli, jaką niebawem odegrać mu przyszło na soborze watykańskim, ani temu, że po śmierci Piusa IX-go, z którym tak szczera łączyła go przyjaźń, i jego kandydatura na tron apostolski była postawiona. Autor, jak już powiedziano wyżéj, nie rozwiódł się jak należy nad ostatnim okresem życia wielkiego kardynała, nad filantropijnemi, politycznemi, edukacyjnemi i socyalnemi jego kampaniami. Nie ma tu najmniejszéj potrzeby rozszerzać się nad poglądami na przyszłość katolicyzmu w Anglii, które nie jeden interesujący rozdział téj biografii stanowią i dają jéj niejako praktyczną sankcyę. Pragnęliśmy tylko przypomnieć czytelnikom pracę, która w ciągu ostatniego roku, od początku do końca stała na pierwszym planie.

Było zamiarem naszym wprowadzić do tego przeglądu charakterystykę nowych dzieł w dziedzinie literatury i krytyki, a prace Jerzego Saintsbury, pani Meynell, Fr. Harrisona i studya p. Klemensa Shorter, ten tak ciekawy epizod z piśmiennictwa przeszłorocznego, że już o wie-

lu innych nie wspomnimy, przeważnie się do niéj kwalifikowały. Należało się tu także przedstawienie kilku prac ekonomicznych o niezaprzeczonéj oryginalności, które świéżo na widok publiczny wyszły. Ale przekroczyłoby to o wiele ramy tego szkicu. Czas, ten mistrz bezstronny, strąci może niektóre z nich niezadługo z tych wysokości, na które reputacya efemeryczna je wprowadziła. Do tych, co się na nich utrzymają, nie będzie zapóźno i po upływie niejakiego czasu powrócić.

N. T.



Początki naszéj komedyi społecznéj.

Jak w przyrodzie, tak i w twórczości poetyckiéj wszelkie przemiany odbywają się nie nagłemi kataklizmami, lecz drogą powolną i ustopniowaną.

Widziéć to można we wszystkich rodzajach literackich, a więc i w komedyi. Z pierwszego wejrzenia możnaby poczytać sztukę Molierowską (u nas Fredrowską) za coś zupełnie innego aniżeli którakolwiek komedya charakterów w dobie nowożytnéj. Poszukawszy jednakże podobieństw pomiędzy niemi, odnajdziemy je bez wielkiego trudu. Przecież ci, co wszystkie kształty komedyi nowszéj dostrzegają, zarodkowo w Molierze, nie bez słuszności mogą przytoczyć „Mizantropa" jako zaczątek literatury komicznéj w nowym duchu.

Przystańmy na to, ale dodajmy zaraz, nie wchodząc w szczegóły zbyteczne i nie śledząc przeobrażeń pomniejszych, że ażeby z „Mizantropa" mogła powstać która komedya Augier'a, potrzeba było pojawienia się „Wesela Figara" Beaumarchais'go, który stężałą masę typowości ożywił i uskrzydlił wprowadzeniem do niéj pierwiastku indywidualnego.

I u nas również, pomiędzy Fredrą a komedyopisarzami nowożytnymi, były także ogniwa pośrednie, a między niemi najważniejsze stanowił Józef Korzeniowski, przemieniwszy typy na charaktery zindywidualizowane:

W ciągu jego działalności komedyopisarskiéj, zachodziły we Francyi, która na polu dramatyczném prym ciągle trzymała, przeobrażenia niemałéj doniosłości zarówno w wyborze tematów, jak i w sposobie ich traktowania. Przedstawicielem głównym tych przeobrażeń był tu Emil Augier, charakter prawy i wyniosły, umysł rozległy, o wyrobionych poglądach, obserwator bystry i przenikliwy, stylista jędrny i dowcipny. Przejąwszy od poprzedników swoich charaktery indywidualne, wzbogacił je rysami szczegółowszemi i dobitniejszemi, bez gubienia się w odcieniach i subtelnościach, a w wyborze tematów kierował się poczuciem ważności i doniosłości objawów społecznych. Traktował te objawy zawsze poważnie, z przejęciem się głębokiem stroną ich wpływu na wielkie masy. Biczował niemiłosiernie przez lat 30 najróżnorodniejsze ujemności swego społeczeństwa, podejmował zagadnienia palące, które w danéj chwili najżywszy budziły interes, lecz zagadnieniom tym umiał nadać trwałą podstawę, gdyż nie powierzchowne tylko chwytał cechy, ale sięgał do głębi i umiał natrafić na warstwy duszy ludzkiéj niepożyte.

Cechą jego umysłu i jego działalności była szczerość i prawość. Nie gonił za paradoksami, by chwilowy pozyskać poklask; lecz albo przedmiotowo kréślił obrazy wad i śmieszności, albo téż wybuchał oburzeniem na takie przejawy przewrotności i zgnilizny, które wstrząsnąć musiały sercem człowieka, noszącego w sobie ideał szlachetności i podniosłości.

Wobec takiego usposobienia nie mogło być miejsca na wesołość bez troski, na śmiéch swobodny a głośny; komedya musiała przybrać charakter poważniejszy, śmiéch musiał się zamienić w uśmiech ironii lub sarkazmu; wszelkie błaznowanie należało wykluczyć. Mimo to przecież komedye Augiera nie stały się bynajmniéj suchemi zbiorami morałów lub grzmiących tyrad, lecz były obrazami ludzi żywych, sytuacyi przenikniętych prawdą, a odmalowanych z nadzwyczajną nieraz werwą satyryczną.

Sposób traktowania rzeczy w dobie najświetniejszéj twórczości Augiera, kiedy pisał „Bezczelnych” (*Les effrontés*), „Syna Giboyera”, „Imć pana Guérin”, był realistyczny, ale miarkowany delikatném poczuciem piękna i sztuki. Mistrzowstwo w układzie scen, siła stylu niepospolita, czyniły go panem umysłów w teatrze.

Na naszą literaturę dramatyczną sztuki Augiera zaczęły oddziaływać stosunkowo dość późno. Wprzódy przetłomaczono np. „Honor i piéniądze” (1855) Franciszka Ponsarda, który jako tragik wcześniéj zaczął tworzyć od Augiera, lecz jako komedyopisarz w dziesięć lat dopiéro po pierwszéj jego sztuce wystąpił;—zanim ukazała się „Filiberta”

(1860) w przekładzie Władysława Sabowskiego. Gdy wszakże komedye Augiera wprowadzono do teatru naszego, cieszyły się one powodzeniem ogromném i budziły zajęcie gorączkowe. Wyparły go późniéj z tego stanowiska sztuki Aleksandra Dumasa syna, ciętością dyalogu i paradoksalnością lub niezwykłością twierdzeń iskrzące się. Co więcéj, nawet Oktawiusz Feuillet i Wiktoryn Sardou, wśród ciągle zmieniających się usposobień, zyskiwali sobie zwolenników i wielbicieli, jako łatwiejsi do spoufalenia się i naśladowania aniżeli mistrz słowa, głębią swego ducha i wyniosłą powagą imponujący. Zdaje się jednak, że teraz znowu nastąpi zwrot do utworów wielkiego komedyopisarza, gdy teatr warszawski zapowiada ich wznowienie. Wśród autorów naszych dramatycznych, poprzedzających bezpośrednio nowsze pokolenie, dwu było takich, co niewątpliwie znali dobrze rozwój komedyi francuskiéj: Jan Chęciński i Wacław Szymanowski. Chęciński jako aktor, czasowo reżyser, już z fachu swojego musiał się zaznajamiać z najświeższemi płodami scenicznemi. Czy jednak znajomość ta wpływała na jego własną twórczość? W małéj tylko mierze, jak się zdaje. Dostrzédz można pewien wpływ na tak zwane przysłowia dramatyczne („Przed obiadem i po obiedzie", „Cicha woda brzegi rwie" i t. p.); ale w komedyach większych („Szlachectwo duszy" 1859, „Porządni ludzie" 1861, „Poświęcenie" 1865, „Krytycy" 1874) oddziaływanie owo jest bardzo drobne. Autorowi jakby brakło śmiałości do rozwinięcia tematu na rozległą skalę społeczną, więc po staremu poprzestaje na szczuplejszéj sferze rodzinnéj, a pamiętny dawnego określenia komedyi, nie waży się kolizyi dramatycznéj naprężać, chociaż wszystkie rysy wewnętrzne charakterów ku temu zmuszają.

Komedya, która mogła miéć pretensyę do znaczenia społecznego i która rzeczywiście ze względów czasowych miała powodzenie wielkie, to „Szlachectwo duszy." Przeciwstawione w niéj zostały zalety i zasługi dzielności i prawości osobistéj przesądom urodzenia i uroszczeniom bogactwa. Gdyby Chęciński umiał był pogłębić charaktery, nie poprzestając na kilku rysach ogólnikowych, przesadnych zarówno w obrazowaniu złego jak dobrego; gdyby potrafił był nadać słowom osobistości swoich dodatnich więcéj siły przekonywającéj, rozumowéj, nie poprzestając na tyradach uczuciowych: to przeciwstawienie owo mogłoby było nabrać istotnie doniosłości społecznéj i utworzyć komedyę wyższéj wartości. Tak jak jest, przy najzacniejszych myślach i uczuciach, nie robi wrażenia starcia się ludzi żywych wśród warunków współczesnych, lecz wrażenie frazesów dość mdłych, przybranych w kształty ludzkie. Ponieważ nastrojem odpowiadało „Szlachectwo duszy" ówczesnemu usposobieniu inteligencyi chodzącéj do

teatru i czytającéj książki, cieszyło się więc uznaniem chwilowem. Uznanie to jednak wkrótce przebrzmiało i dziś, gdyby się odważono przedstawić tę sztukę, wydałoby się zapewne utworem bardzo już starym.

W „Porządnych ludziach" był materyał na silną satyrę społeczną, zapewne nie takiego znaczenia jak „Bezczelni" Augiera, ale bądź co bądź nie banalną. Ci bowiem „porządni ludzie", używający w świecie najlepszéj opinii, czczeni w domu, są to albo wydziercy cudzego mienia, sprawcy cierpień i udręczeń, przywłaszczający sobie w dodatku sławę dobroczyńców, albo też lichwiarze i intryganci, wyzyskujący wszystkich i wszystko. Ta nikczemność obłudna zasługiwała oczywiście na chłostę dotkliwą; tymczasem autor starał się usilnie, ażeby wieść o szelmostwie tych ludzi nie przedostała się poza kółko najbliższych—i to wyzyskiwanych—znajomych. Ta bojaźliwość autorska zaszkodziła sztuce, mającéj parę szkicowo dobrych postaci (natur artystycznych, szlachetnych a nieopatrznych) i kolizyę w pomyśle bardzo dramatyczną, gdyż jeden z owych „porządnych", Antoni Ładzicki, ma córkę dobrą, serdeczną, kochającą i kochaną, którą wiadomość o nikczemnym postępku ojca mogła była zabić. Chęciński téj kolizyi nie tylko nie chciał wyzyskać, lecz ją całkowicie w wykonaniu pomysłu usunął. Uzyskał przez to pogodne rozwiązanie sztuki, ale się dobrowolnie pozbawił scen najbardziéj dramatycznych i najsilniéj do serca przemawiających.

Podobne uwagi można zrobić co do „Poświęcenia" i „Krytyków". W pomyśle mają one starcia potężne i dające się wspaniale rozwinąć; w wykonaniu mdłe, albo też krzykliwe, melodramatyczne efekta psują założenie. Nie ma tu tego, co Augierowskim komedyom dawało trwałość artystyczną i społeczną, nie ma poważnego a głębokiego wejrzenia w namiętności ludzkie, w głąb ducha ludzkiego, nie ma siły i jędrności w malowaniu charakterów i sytuacyi.

Wacław Szymanowski przetłómaczył komedyę Ponsarda „Honor i piéniądze", a w pięć lat potém napisał sztukę oryginalną p. t. „Dzieje serca", premiowaną na konkursie r. 1860. I tutaj chodzi o honor i pieniądze. Życie wystawne, namiętność do gry w karty pogrąża prezesa w długi i stawia go nad przepaścią. Z ratunkiem śpieszy bankier Geld, rachunkowy, zarozumiały, śmieszny swojem popisywaniem się niedorzeczną erudycyą, ale ostatecznie dość dobroduszny i uczciwy, nie szukający zemsty. Chce się on ożenić z córką prezesa, ponieważ ta może dobrze dom reprezentować. Nie kocha jéj i głośno przyznaje się do tego otwarcie, uważając miłość za czynnik w małżeństwie niepotrzebny. Prezes, przyciśnięty grozą nędzy, skłania córkę do wstrętnego

jéj związku. Julia wszakże poczytywała za swój obowiązek uprzedzić Gelda, że nie tylko go nie kocha, lecz nadto, że kocha innego. Geld uważa, że taka spółka we troje nie zdała się na nic i cofa się od niebezpiecznego przedsięwzięcia. Julia poszła za skłonnością serca, a interesa majątkowe prezesa za pośrednictwem Gelda jakoś się uregulowały. Honor został ocalony wprawdzie nie przez samoistne postanowienie zagrożonych, którzy się już godzili z położeniem, lecz wskutek szczerości Julii z jednéj, a przezorności bankiera z drugiéj strony. Pieniądze zaś nie wyglądają tu bardzo wstrętnie, trochę tylko śmiesznie; śmieszność tę umniejsza nawet autor tém, że jednego z rycerzy honoru, poetę Adama, uczynił również śmiesznym, lubo mu nie odjął zasadniczéj szlachetności.

I Szymanowski zatém, podobnie zresztą jak Ponsard, gwoli pogodnemu rozwiązaniu sztuki, nie chciał wyprowadzić najdalszych konsekwencyi, na jakie narazić może poddanie się wszechwładzy pieniądza; stworzył tym sposobem komedyę, która miała w sobie zarodki społeczne, ale zatrzymane w rozwoju.

Gdy komedya ta przedstawiona była w Warszawie, bawił w Paryżu, uczęszczając na wykłady w Sorbonie, 21 letni młodzieniec pełen życia i spragniony jego uciech, Józef Narzymski (urodzony 8 lutego 1839 r. w Radzikach małych w prasnyskiém, z Jana i Katarzyny z Grąbczewskich). Niewątpliwie chodził on i do teatrów, gdzie sztuki w nowym duchu: Augiera, Dumasa syna, Feuilleta były grywane. Jakie narazie wywarły one wrażenie na umyśle zdolnego młodziana, nie wiemy; ale niewątpliwą zdaje się rzeczą, iż społeczne ich znaczenie musiało żywo przemówić do człowieka, który miał jakby wrodzone poczucie interesów społecznych.

Nie znamy wprawdzie pierwszéj sztuki Narzymskiego, napisanéj jeszcze w r. 1859, ale sam już jéj tytuł: „Wielki człowiek powiatowy” zdaje się wskazywać, że sprawa społeczna musiała w niéj na pierwszym być planie. Druga sztuka, wydrukowana w Poznaniu z datą r. 1863 p. t. „Niekomiczna komedya w trzech aktach” (str. 88), jakkolwiek bardzo młodzieńcza pod względem techniki dramatycznéj, przedstawia nam przecież umysł niezmiernie wrażliwy na prądy chwili. Chciał tu Narzymski przedstawić stosunki krajowe z r. 1861 i 1862 i użył ku temu alegoryi t. j. odmalował starcie się opinii przeciwnych w kształcie zatargu prywatnego. Pod względem artystycznym utwór na tém ucierpiał; stał się naciąganym, nienaturalnym, nieprawdopodobnym. Ale w każdym razie stał się dla nas cennym psychologicznym dokumentem świadczącym o przekonaniach i dążnościach społecznych autora.

Plenipotent niegdyś księcia Janusza, baron, doprowadził swego chlebodawcę do zupełnego ubóstwa, a sam porósł w pierze. Córka księcia, piękna i szlachetna Amelia, musi biegać za lekcyami „wśród błota i chłodu, by lichy grosz zarobić na kawałek chleba.” Sam książę myśli o procesie z przywłaszczycielem, ale gdy ten z własnego popędu zaofiarował mu 2,000 rocznéj pensyi, Janusz zarówno z wrodzonego sobie usposobienia dyplomatycznego, jak nie mniéj pod wpływem rad swego przyjaciela hr. Kaliksta, wielce pobożnego i drżącego na myśl o skandalu, postanawia, wbrew błaganiom córki i perswazyom młodego entuzyastycznego malarza Zdzisława, przyjąć propozycyę barona, z wyraźnem zastrzeżeniem, że z pretensyi dalszych bynajmniéj nie kwituje. Syn barona, Artur, młodzieniec rozpustny i cyniczny, zapaławszy żądzą posiadania Amelii, porywa ją w porozumieniu z ojcem, i w domu swoim umieszcza. Książę przybywa zgnębiony po córkę, ale znowu ulega poszeptom dyplomacyi i zaklęciom bigota, by nie robić hałasu; bierze od barona słowo honoru, że Amelii nic złego się nie stanie w jego domu; chce już odejść, gdy nadbiega Zdzisław wraz z przyjacielem swoim, doktorem Gustawem, i groźbą wymusza na baronie nie tylko oddanie Amelii, ale i zwrot majątków księcia. W pojedynku z Arturem raniony, otrzymuje, lubo chłop z urodzenia, rękę księżniczki, pozostawiając księcia i hrabiego w tém przyjemném dla nich złudzeniu, że szczęśliwy obrót całéj sprawy zawdzięczać należy dyplomacyi i modłom.

Pod względem układu mnóstwo jest w sztuce błędów, charaktery nierozwinięte, monologi bardzo długie; autorowi nie chodziło o dobrą kompozycyę, tylko o efektowne sytuacye, wypowiedzenie swych uczuć, które wcielił w postać Zdzisława, oraz o wychłostanie poglądów przeciwnych zwłaszcza hrabiego, którego sposób widzenia rzeczy uwydatniono najznamienniéj w następnéj przemowie:

Święte są słowa księcia! tak! siłą moralną,
Siłą naszego ducha—bezcielesną—wielką,
Wobec któréj moc ziemska jest drobną kropelką
Przy oceanie — siłą czystą, nie orężną,
A panującą wszędzie i wszędzie potężną
I twą powagą chłodną—a bierną godnością,
Niewzruszonym spokojem, szlachetną biernością,
Znosząc żarty z pokorą, modląc się w cierpieniu,
O! modląc się, wciąż modląc i cierpiąc w milczeniu,
Książę zwalczysz Barona, przekonasz, naprawisz,
Sam odzyskasz majątek i grzesznika zbawisz.

Wprost przeciwne jest zdanie Zdzisława:

. . . . Książę! jam dziecięciem ludu;
Zrodzony wpośród cierpień, łez krwawych i trudu,

Wśród pól się wychowałem; w siermiędze i boso,
Wśród biednych, co pracują nie piórem, lecz kosą —
O, ja nie mam tradycyi; ani szereg długi
Antenatów poza mną, ani koron. — Pługi,
Sierpy, kosy i praca — oto herby moje,
I całéj méj fortuny tych rąk oto dwoje!
I to serce i głowa; — a jednak, na Boga,
Mnie, mnie - chłopu—ta niby dyplomacyi droga
Nikczemną się wydaje.

Jak ta przemowa Zdzisława, tak i całe prowadzenie akcyi jest gorączkowe; efekty nie są obrachowywane i rozwijane; lecz tylko w miarę sytuacyi samych i zmiennéj siły słowa raz słabiéj, to znów mocniéj się zaznaczają.

Po ogłoszeniu téj sztuki, zamilkł Narzymski na lat kilka, przebywał w Dreznie, Krakowie, Poznaniu. W r. 1871 zaczął pisywać do świéżo wtedy założonego przez Edmunda Calliera „Tygodnika Wielkopolskiego", prowadzonego w duchu postępowym. W artykułach Narzymskiego widać wielkie zajęcie się teatrem. Zasługują mianowicie na uwagę dwie rozprawki: jedna p. t. „Słówko o teatrze, znaczeniu tegoż i o moralności scenicznéj" (NN. 15—17), druga „O repertuarze teatralnym" (N. 42). W obu zasadnicze poglądy są te same. Autor bardzo wysoko ceni sztukę sceniczną, nazywa ją „najdemokratyczniejszą z form sztuki", kwitnącą tam przedewszystkiém, gdzie nietylko arystokracya, ale i masy były zdolne poznać i ocenić artyzm. „Żadna wystawa, żadne galerye—powiada—żadna biblioteka, ani nawet prelekcye i odczyty nie są w stanie tak szybko, tak potężnie oddziaływać na zmianę pojęć, na podniesienie poglądów, uczuć, a nawet do pewnego stopnia na moralność publiczną szerszych warstw, jak dobry i dobrze prowadzony teatr" (N. 15). Ze względu na to jego znaczenie i na „realistyczny kierunek epoki, odpychającéj liryzm, żądającéj plastycznych obrazów życia", poczytuje teatr za „jeden z najpotężniejszych środków propagandy" myśli rozumnych, dążeń dobrych. Kreśląc ideał pisarza dramatycznego, kładzie nacisk zarówno na stronę wewnętrzną, ideową sztuki, jak i na artyzm wykonania. Pisarz dramatyczny „nie powinien ani na chwilę zapominać, że naród go słucha, że słowo jego odbija się w serc tysiącach, że jego idee mogą być ziarnem pysznych kwiatów lub nikczemnego zielska." Jest on dzisiaj nietylko sztukmistrzem, lecz i „myślicielem, moralistą, propagatorem, agitatorem". W zakresie jego twórczości leży prawie wszystko: „Ostrzegać przed zgubnemi prądami, prześladować przesądy, siec i chłostać wszystko, co podłe i nikczemne, ideałami wieść w sfery szlachetniejsze, postaciami bohatérów budzić odwagę gasnącą i wyszlachetniać dusze, podnosić

kwestye społeczne, których kodeks nie obejmuje; słowem, kuć uparcie tę drogę postępu, jaką ludzkość idzie, pchać bryłę silnemi ramiony: — oto wielkie, zaszczytne zadanie dramaturga, podzielane przez niego z tysiącami pracowników na innych drogach, ale do spełnienia którego on ma od wielu więcéj środków i pole obszerniejsze."

Zaznaczywszy tak silnie dążność społeczną dramatu, dodaje Narzymski przestrogę: „Nie wolno być dramatycznemu pisarzowi tylko sztukmistrzem; — ale najświetniejsza tendencya, najgenialniejsze czy najszlachetniejsze idee nie uwalniają go od tego, by był artystą w całém słowa tego znaczeniu." Rozumié autor doskonale, jak trudno jest, odgadnąwszy „prądy panujące", pogodzić wymagania artystyczne z wymaganiami chwili; na to potrzeba osobnego talentu, któremu niektórzy dramatycy francuscy zawdzięczają swoje powodzenie. Trzeba przedewszystkiém „studyować życie, chwytać kwestye palące, choćby z ich zniknięciem i sztuka miała stracić wartość swoję, brać typy własne, z życia wzięte, a nie szukać ich w książkach lub własnéj fantazyi." Tu występuje Narzymski w obronie dramatyków francuskich, których utworom zarzucano niemoralność. „Romans mężatki, wprowadzenie upadłéj kobiéty, lada wyrażenie niezupełnie purystowskie, nadają sztuce cechę niemoralności w oczach panów krytyków. Tymczasem jest to błąd tém zgubniejszy, że wiąże ręce autorom i krępuje ich w ciasném kole konwenansu." Takie właśnie kwestye „drażliwe i dwuznaczne" należą, zdaniem Narzymskiego, do tych, „które podnosić, wyjaśniać, oczyszczać z przesądów jest rzeczą pisarzy dramatu." Powołuje się tu na autorów francuskich, mówiąc: „Feuillet w *Pokusach* i w *Julii* dał obraz walk, jakie kobiéta przechodzi, nim padnie, i pokazał, jak często nawet dobry mąż do przepaści popchnąć ją może, jak brak taktu, serca, rozumu stają się przyczyną nieszczęścia; winna jest tu ukarana, ale widz jéj przebacza, a potępia prawdziwego winowajcę. Inny pisarz, Al. Dumas (syn), podniósł drugą kwestyę i w *Pojęciach pani Aubray* z kobiéty upadłéj zrobił bohatérkę, pokazał, że nie zawsze jawnogrzesznica nawet zasługuje na potępienie, i że to społeczeństwo, które tysiące dziewcząt zostawia bez opieki, bez religii, bez chleba, a otacza je wszystkiemi pokusami, nie ma prawa być zbytecznie surowém względem ofiar własnéj niezdarności (? może: niezaradności), nie ma prawa zamykać im drogi poprawy i cnoty. Podnosząc to, młody Dumas był nietylko moralnym, nietylko szlachetnym, ale prawdziwym chrześcianinem. — Myślą, która natchnęła *Pojęcia pani Aubray*, były owe najpiękniejsze słowa, jakie wyrzeczono na ziemi kiedykolwiek: kto z was bez winy, niech rzuci na nią kamieniem. Obie te kwestye są palące,

na czasie, ważne i sprawiedliwe. Na dziesięć wypadków wiarołomstwa, dziewięć razy mąż winien. Na sto upadłych kobiét 99 razy winowajcą jest społeczeństwo lub jego wykształceni reprezentanci. Surowość dla kobiét, pobłażliwość dla mężczyzn, będąc z jednéj strony demoralizującą niesprawiedliwością, pogarsza jeszcze złe. Gdyby uwodziciele byli równie surowo sądzeni, jak ich ofiary; ofiar tych byłoby mniéj daleko; gdyby im zostawiono drogę poprawy i rehabilitacyi, wiele z nich wróciłoby ze złéj drogi wcześnie" (N. 16).

Poglądy takie, które, mówiąc nawiasem, podzielało wówczas całe myślące młode pokolenie, wskazywały, jak silnie przeniknięty był Narzymski potrzebą podejmowania „kwestyi palących", jak chodziło mu o chwytanie „chwilowych prądów" na gorącym uczynku.

Nie chciał jednak Narzymski wcale, by nasi dramatycy stawali się ślepymi naśladowcami francuskich. Ten, co kazał wglądać w samo życie, a nie w książki lub wytwory fantazyi, pragnął przedewszystkiém, by autorowie polscy czerpali treść z życia polskiego. To téż w artykule o repertuarze teatralnym położył silny nacisk na potrzebę wprowadzenia do niego sztuk swojskich, na potrzebę utrwalenia tradycyi dramatycznéj ojczystéj. Stąd postawiwszy wymaganie, by dla odświéżenia umysłu „zapylonego r e a l i z m e m dzisiejszych komedyi i dramatów", dawano w teatrze tragedye Szekspira, Słowackiego, Schillera, Goethego i Wiktora Hugo (czasem), radził w każdym sezonie dawać „kilka sztuk Fredrowskich, jeden lub dwa utwory Korzeniowskiego", gdyż one zawsze „świéżemi zostaną", gdyż one „są w z o r e m, są tém, co dla Francuzów Molière". Co więcéj, sądził, że „nie zaszkodziłoby sięgnąć i głębiéj, poprosić o pomoc Krasickiego, Zabłockiego, nawet Bohomolca", radząc jedynie, by tych prób naszéj rodzącéj się sztuki „nie nadużywać, ale je zwolna pokazywać, bo są w nich rzeczy cenne."

W przyswajaniu komedyi francuskich doradzał zachowanie „miary i taktu", mówiąc: „pojawia się rocznie we Francyi cztery, może pięć dobrych utworów; tłómaczyć je, ale dać pokój tym stosom fars, któremi zanieczyszczamy nasze repertuary."

Wreszcie raz jeszcze uwydatniając potrzebę odzwierciedlania w teatrze wszystkich stron i metamorfoz życia, dodaje, że „utwory oryginalne, dotykające kwestyi bieżących, malujące życie nasze własne, muszą zaciekawiać bardziéj publiczność, jak (!) obrazy z życia obcego, jak (!) kwestya u nas j e s z c z e lub j u ż nie istniejąca."

Sam Narzymski w twórczości swojéj był wierny temu programowi. Nie kopiował Francuzów, ale przejąwszy od nich wskazówkę i co

do strony technicznéj dramatu i co do obrabiania tematów społecznych, zwrócił się do badania życia własnego społeczeństwa i objawy dla niego ważne wziął za przedmiot komedyi swoich, pozostawiając na boku i niewiarę małżeńską i kwestyę kobiét upadłych, które to objawy w komedyi francuskiéj tak gorąco usprawiedliwiał.

W krótkich odstępach czasu napisał wtedy trzy utwory pod następnemi tytułami: „Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach”, „Epidemia”, „Pozytywni”.

Pierwszy z tych utworów drukowany był r. 1871 w „Tygodniku Wielkopolskim” (NN. 19—26). Nazwał go autor „obrazkiem scenicznym” (w 2 aktach) i słusznie. Akcya bowiem w téj sztuce jest rzeczą podrzędną; charakterystyka osób, zwłaszcza głównéj, Filipa Nereusza Lichockiego, oraz przedstawienie stosunków i usposobień mieszczan krakowskich w r. 1794-ym stanowią główne zadanie sztuki. Ciasnota umysłu, oschłość serca, sobkostwo, tchórzliwość, pycha i nadętość pana prezydenta, który rządził się samowolnie w Krakowie, dopóki wypadki nadzwyczajne nie kazały mu szukać pomocy u rajców miejskich, przeważnie wcale od niego nielepszych, zostały odmalowane dosadnie na podstawie pamiętników samegoż Lichockiego. Sytuacye komiczne wywiązują się tu w sposób naturalny przez zestawienie pychy, pewności siebie, zarozumiałości, pomiatania niższymi, dopóki się czuł pan prezydent na pewnych nogach, z bezradnością, tchórzliwą pokorą, wymuszonym patryotyzmem, gdy mu zagroziło niebezpieczeństwo i gdy pozbawiony urzędu, powoływany bywał na mustrę przez rzeźnika i miał pójść do wojska. Miłość jego córki, Andzi, do śmiałego i rezolutnego ślusarza, Feliksa Budzyńskiego, którego pan prezydent jako rzemieślnika lekceważył, tworzy więź estetyczną, sprzęgającą sceny poszczególne, poświęcone odmalowaniu rajców krakowskich; a równocześnie miłość ta wybawia Lichockiego z kłopotów, gdyż za przyrzeczenie ręki córki Budzyńskiemu, zyskuje w przyszłym zięciu zastępcę w wojsku. Żywioł komiczny wzmożony tu jest przez wprowadzenie postaci staréj panny, siostry Lichockiego, śmiesznéj i przesadnéj, oczytanéj w romansach i porównywającéj wciąż sytuacye, w nich wyczytane, ze stanem rzeczy w jéj otoczeniu. Postać ta pochyla się ku karykaturze.

Tło historyczne w téj sztuce istnieje, lecz ma znaczenie tła tylko wyłącznie. Zdaje się bowiem, że Narzymskiemu nie tyle chodziło o wierne odmalowanie chwili dziejowéj, z któréj wziął przedmiot do swego obrazka, ile o danie nauczki rajcom miejskim spółczesnym, w szczególności zaś krakowskim, jakimi być nie powinni. Stąd niewątpliwie pochodzi przewaga rysów ujemnych w przedstawieniu owych

rajców. Narzymski nie zaprzecza bynajmniéj, iżby pomiędzy nimi nie było ludzi pojmujących obowiązki obywatelskie; wprowadza nawet trzy osobistości rozsądne i z dobrą wolą postępujące; ale im nie nadaje ról wybitnych, tak że ich głosy giną wśród chaosu nieświadomości, ograniczenia, samolubstwa i tchórzostwa prezydenta i godnych jego towarzyszy.

Jeżeli domysł tu wyrażony jest słuszny, to „Prezydent m. Krakowa w kłopotach", pomimo swego tła historycznego, byłby jedną z owych sztuk, chwytających kwestye społeczne na gorącym uczynku, o jakie się Narzymski w artykułach swoich dopominał. Wyraźnie już cechę tę noszą na sobie dwie komedye czteroaktowe, nagrodzone na konkursie krakowskim w r. 1871 i 1872: „Epidemia" i „Pozytywni", przedstawione zaraz w teatrach; drukowane najprzód w czasopismach, a w r. 1875 wydane w Warszawie w książkach oddzielnych (nakładem Celsa Lewickiego). Czy na technikę tych utworów wpłynęło przedstawienie (bez powodzenia [1]) „Niekomicznéj komedyi" w Poznaniu, w końcu października 1871 r.? Zdaje się, że nie; gdyż „Epidemia" przynajmniéj była już wówczas na konkursie.

Chęć łatwego a szybkiego wzbogacenia się, to jedna z chorób, toczących wnętrze organizmu społecznego w czasach dzisiejszych. Karty, ruleta, loterya, gra giełdowa — oto środki, które pozornie prowadzą najprościéj do celu, a w gruncie rzeczy rujnują jednostki i rodziny, demoralizują zaś społeczeństwo. Ludzie nienauczeni smutnemi przykładami, niezrażeni bolesném doświadczeniem, niepomni na przyszłość, lecą jak szaleni ku zgubie.

Jedną z tych dróg, o których wspomniałem, zajmuje się „Epidemia". Gorączka gry giełdowéj, co przez lat kilka epidemicznie grasowała w Galicyi i w całéj Austryi, a skończyła się głośnym „krachem" w r. 1873-im, dała sposobność Narzymskiemu do napiętnowania osób, dobrowolnie zarazić się nią pozwalających i wykazania szkodliwego jéj wpływu zarówno pod względem materyalnym, jak i moralnym.

Karwacki, obywatel majętny, uczciwy, rozsądny, posiadający córkę, o którą się stara młody inżynier, Bolesław Stawiński, unikał dotąd wszelkiéj nawet wzmianki o chęci grania na giełdzie; co więcéj, jako nieprzyjaciel wszelkiego ryzyka, wierzący tylko w dobre wyniki rodzajów pracy tradycyjnie przekazywanych, nie chciał przyjąć projektu Bolesława co do osuszenia wielkiéj przestrzeni bagien i pobudowania tam cukrowni, gdyż „spekulacya to nie rzecz szlachcica", jak powia-

---

[1]) Zob. recenzyę z tego przedstawienia, pomieszczoną w N. 45 „Tygodnika Wielkopolskiego", podpisaną trzema gwiazdkami.

da. Napróżno wystawia Bolesław korzyści dla kraju, z wykonania projektu jego płynące („kawał ojczystéj ziemi", dziś bez użytku leżący, przemieni się na źródło bogactwa dla właścicieli, da pracę i chléb tysiącom ludu biédnego, a tam, gdzie dzisiaj pustka i cisza śmiertelna, będzie ruch i życie"); — wszyscy obywatele, zgromadzeni u Karwackiego, odmawiają swego spółudziału; jeden tylko żyd, Eihorn, zgodził się na zyskowną propozycyę.

Za to ciż sami obywatele (oprócz Karwackiego na razie), nie chcący ani grosza włożyć w interes, wątpliwy ich zdaniem, idą grać na giełdzie. Przykład ten oddziaływa powoli i na Karwackiego. Słysząc i widząc, jak ten i ów wygrywa po kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy; dowiedziawszy się, że znakomitości okoliczne biorą w téj grze udział; rozsądny dotychczas i oględny Karwacki pomyślał również o wygraniu naprzód maleńkiéj sumy na bransoletę dla córki, potém większéj na karetę, potém jeszcze większéj dla zaokrąglenia posagu — i dał się wciągnąć w zaczarowane koło wielbicieli fortuny. Zbrzydł mu Bolesław, który napróżno starał się go odwiéść od niebezpiecznego hazardu, wystawiając wszystkie złe skutki, jakie za sobą pociągnąć może; przeniósł się do Wiednia i powierzył swe losy w ręce bankiera, barona Goldszmita. Tu właściwie rozpoczyna się węzeł intrygi.

Goldszmit, człowiek 45-letni, który młodość swoję przepędził w kantorze wśród papiérów bankowych i nauczył się obrachowywać wszystko na piéniądze, pokochał ślepo, namiętnie, córkę Karwackiego, Maryę. W téj sferze namiętności takie, graniczące z obłędem, zdarzają się nieraz. Baron gotów wszystko swe mienie złożyć u stóp ubóstwianéj kobiéty. Chcąc się z nią ożenić, gdyż inne środki posiadania jéj uważał—i słusznie—za niemożliwe, postarał się przedewszystkiém o oddalenie Bolesława. Namawia tedy niejakiego Pieczeniarskiego, zupełnie od siebie zależnego, a upadłego moralnie człowieka, ażeby wydrukował w gazecie artykuł przeciwko eksploatującym i eksploatowanym w grze giełdowéj, artykuł, w którymby początkowe litery jasno wskazywały Karwackiego jako głupca, poddającego się dobrowolnie wodzeniu za nos przez chytrych i nikczemnych giełdowiczów. Artykuł ten, podcyfrowany inicyałami Stawińskiego, sam Goldszmit przynosi Karwackiemu i chce z nim zerwać stosunki, jeżeliby się nie zgodził na usunięcie Bolesława ze swego domu. Zbogaconemu i rozgorączkowanemu już grą obywatelowi nie trudno przyszedł wybór między baronem a inżynierem. Nie tłómacząc się więc wcale, a obrzucając Bolesława obelgami, wypowiada mu dom i zrywa zamierzone małżeństwo.

Bolesław się usuwa i to na długo.

Goldszmit wszakże nie dopiął jeszcze przez to swego celu. Na propozycyę zaślubienia Maryi odebrał odpowiedź (naturalnie przez osobę trzecią), że śmierdzi czosnkiem i cebulą. Więc pchany żądzą zemsty, a zarazem posiadania Maryi, obmyśla sposób zniesławienia jéj. Wykonawcą jest nikczemny cynik, Artur Kwocki, wychowany przez pobłażliwą matkę dewotkę i Jezuitów. O dwunastéj w nocy, wobec umyślnie sprowadzonych świadków na ulicy, schodzi Artur po drabinie jedwabnéj z balkonu, przytykającego do pokoju Maryi, przekupiwszy jéj pokojówkę, ażeby udawała swą panią. W kilka dni wieść się rozgłosiła; gazety wiedeńskie opisały ten wypadek; Maryi nie chciano nigdzie w domach „szanujących się" przyjąć.

Na Karwackiego spadły naraz trzy gromy: niesława córki, utrata całkowita majątku przez grę na giełdzie, wiadomość, że i jego syn Władysław fałszował weksle, tak samo jak Artur i przezeń podmówiony. Jedyny ratunek, jak łatwo się domyśléć, może dać bankier. Marya, mając sobie przedłożony przez ojca stan rzeczy, zgadza się na małżeństwo z Goldszmitem pomimo wstrętu, jaki względem niego odczuwała; — równocześnie jednak mdleje. Karwacki już się przygotowuje do samobójstwa. Nie wiadomo, jakby daléj poszły rzeczy, gdyby się nie zjawił Bolesław. On załatwia wszystko; oczyszcza się z zarzutu, jakoby był autorem owego artykułu dziennikarskiego, demaskuje Goldszmita, wykrywając jego machinacye, uzdrawia i uszczęśliwia Maryę, która ma zostać jego żoną.

Najwydatniejszą w całéj komedyi postacią jest bezwątpienia Karwacki. Powolna i stopniowa przemiana tego człowieka pod wpływem gorączki giełdowéj dobrze została przeprowadzona. Mianowicie scena namysłu przed ostateczném zdecydowaniem się na grę (akt I, II) wybornie maluje człowieka, który narazie ma najlepsze zamiary i na pierwszém miejscu stawia chęć dopomożenia „poczciwemu Józefowi", co ma dzieci huk, a długów bez liku i lada dzień może pójść z torbami. Ale i humor i usposobienie zmieniają się po sześciu miesiącach gry; gorączka robienia coraz większych pieniędzy opanowuje go silnie; Karwacki czuje się jakiś nie swój, złamany, rozstrojony ogromnie, drażliwy nadzwyczajnie. A gdy ów „poczciwy Józef" przysyła list z prośbą o pożyczenie 20,000 guldenów, które go wyratować mogą, Karwacki odrzuca list z niechęcią, powiadając: „ci ubodzy krewni, to plaga prawdziwa!" Dodając zaś: „odmówić jednak trudno", nie myśli szczeże o spełnieniu téj wewnętrznie danéj obietnicy... Żałować tylko potrzeba, że Narzymski nie użył potężniejszych słów na odmalowanie stanu duszy Karwackiego w chwili, gdy przekonany o mylności obra-

néj drogi, o nieszczęściu, w jakie grą swoją pogrążył całą rodzinę, wyrzuca sobie z goryczą swe nierozsądne postępowanie i bierze pistolet do ręki (akt IV, 12).

Baron Goldszmit jest osobistością o wiele słabiéj narysowaną. Człowiek, kupczący sumieniami ludzkiemi, począwszy od najniższéj aż do najwyższéj klasy; człowiek, dla którego nie ma nic świętego na ziemi; zarozumialec, przekonany, że wszystkiego za piéniądze dostać można, wyzyskujący złe skłonności, jakie na drodze swéj spotyka, nie jest w komedyi zbyt wstrętnym. Dlaczego? Czy miłość dla Maryi tak go przeobraża? Ależ on dla téj miłości dopuszcza się największych łotrostw; ależ ta miłość to tylko pożądliwość zmysłowa! Postać to w sztuce ostatecznie dosyć cicha, nie popisująca się cynizmem, dokonywająca wszystkiego z zimną krwią, z powagą, niemal z namaszczeniem.

O Bolesławie Stawińskim niewiele da się powiedziéć. Jako inżynier występuje on właściwie tylko w pierwszych kilku scenach; mówi rozsądnie, ale wymowy nie posiada. Zajęcie się matematyką i mechaniką nie wycisnęło na nim cechy odrębnéj. Jest to typ młodzieńca szlachetnego, stałego w miłości, niezrażającego się przeszkodami, trochę sztywnego deklamatora, trochę idylicznego pasterza z Arkadyi. Zresztą pokazuje się zbyt mało w ciągu akcyi, nie ma więc sposobności odsłonięcia przed nami wszystkich zalet swoich, całego bogactwa swéj duszy; musimy się tego domyślać tylko.

Inaczéj jest z Arturem Kwockim, wychowankiem Jezuitów, stosującym w praktyce zasadę: cel uświęca środki. Jest to postać młodzieńca, która co do cynizmu i wyuzdania bardzo niewiele w literaturze naszéj znalazłaby podobnych. Drwi z mamy, drwi z księży, bez skrupułu podpisuje weksle imieniem matki i bezczelnie przyznaje się do tego, gdy został przyparty do muru. Poczucie godności osobistéj zatracił w sobie doszczętnie; dla pieniędzy staje się powolném narzędziem w ręku Goldszmita i najnikczemniejszy plan jego wykonywa z całą swobodną lekkomyślnością, do jakiéj jest zdolny zgniłek moralny.

Postaci kobiécych w „Epidemii" jest pięć: pani Karwacka, Marya, Ewelina, pani Kwocka i pokojówka Zuzia.

Pierwsze dwie są to charaktery pełne poświęcenia, miłości i rezygnacyi; nigdy nie występują czynnie, ulegając woli męża i ojca; umieją cierpiéć i modlić się. W roli Maryi jest parę sytuacyi pięknych moralnie i scenicznie.

Ewelina, kochanka Goldszmita i ministra, dama z półświatka wiedeńskiego, nakréślona kilku śmiałemi rysami, o tyle potrzebna jest

w komedyi, że wskazuje drogi, na których bankier zdobywa wiadomości potrzebne, w sprawach giełdowych.

Pokojówka Zuzia gra również na giełdzie, jak państwo; żądza zarobku popycha ją do chętnéj usługi w celu zniesławienia swéj panienki, do kradzieży portmonetki, zostawionéj przez Artura, kradzieży spełnionéj bez żadnego wyrzutu sumienia.

Żywioł komiczny (po większéj części prawdziwie komiczny) reprezentuje Kwocka, kobiéta poszcząca trzy razy na tydzień, spowiadająca się co miesiąc, plotkarka zawołana, wścibska z zamiłowania, grająca na giełdzie, ponieważ ksiądz Hipolit powiadał, że to grzechu nie stanowi, straszliwie ukarana lekceważącém wszystko i nikczemném postępowaniem swego pieszczocha, któremu niczego odmówić nie umiała.

Z postaci męskich, stanowiących przyprawę komiczną sztuki, wymienić można szlachtę grającą na giełdzie i pociesznie rozmawiającą o położeniu interesów europejskich z ryciny w „Kladderadatschu", oraz lokaja, przedstawiającego wraz z Zuzią rozszerzanie się „epidemii" giełdowéj na niższe warstwy społeczne.

Nasuwa się tu zestawienie z utworami francuskiemi podobnéj treści, a mianowicie z „Giełdą" (*La Bourse)* Ponsarda. Wyznać potrzeba, iż umiejętność rozłożenia światła i cieni, szerokość poglądu na znaczenie giełdy i nadużycia gry giełdowéj, umiejętność w dramatyczném przedstawieniu zarówno szerzenia się gorączki wśród wielkich mas, jak i stopniowego przetwarzania się usposobień i pojęć ludzi rozsądnych pod wpływem zgubnego działania gry, o wiele świetniéj się przedstawia u autora francuskiego, aniżeli u naszego. Już sam początek komedyi, dający nam naocznie poznać rozległą klientelę agenta giełdowego i jego lokaja lepiéj i dramatyczniéj rzecz maluje, aniżeli przygodne wzmianki o Zuzi i Janie i rozmowa pomiędzy niemi. Margrabina, która czyni *votum*, że wystawi kościół z wygranéj na giełdzie, doskonaléj przedstawia połączenie dewocyi z żądzą zysku, aniżeli trywialna trochę Kwocka. A cóż dopiéro wymiana zdań między agentem giełdowym a Leonem, który, kochając bogatą pannę, pragnie dorównać jéj majątkiem i dlatego tylko postanawia grać na giełdzie. Delatour jest to człowiek uczciwy, w niczém niepodobny do Goldszmita; umié on wskazać znaczenie giełdy, ale zarazem wié, jak niebezpiecznie jest powierzać swe losy zawodnym kombinacyom gry.

...W dwóch obozach staje szereg graczów długi:
Po jednéj stronie słabi, a silni porduigiéj;

Gdy pieniężnie orężny zajmie boju ścieżkę,
On sam jeden stanowi spadek lub podwyżkę.
Tak dalece, że, będąc panem bojowiska,
Słaby hufiec wciąż traci, gdy silny wciąż zyska.
W nierównym pojedynku i zręczność usłuży,
Jednym wieść, w czas schwycona, wykrzesze zysk duży;
Ci z umysłu fałsz sieją, a bijąc w dzwon trwogi,
Z ogólnego popłochu wynoszą plon błogi;
Inni znów, dywidendy zwabiając rozkoszą,
Kruchego przedsiębierstwa akcye podnoszą;
Potém się ich pozbywszy z chęcią równie szczerą,
Też akcye wbrew nabywcom zniżają na zero.

Trafnie i wymownie maluje również wzmaganie się żądzy zysku w miarę wygrywania:

Zysk zaostrza pragnienie, złoto zawrót niesie,
Po zdobytym dostatku — obfitości chce się;
Obfitość wzrok odsłania i chęć dumną bodzie
Do przepychów i władzy i zamków na lodzie.
Z niczego coś się rodzi, mało daje więcéj;
Aby przyjść do tysiąców, dość jest chcieć tysięcy.
Gdy więc cięższe przebyte, człek ma ślad utarty,
Idzie brzegiem przepaści tuż przed nim otwartéj,
Śmiało i coraz daléj, a gdy już przy kresie:
Upada — i z upadku już się nie podniesie.

Leon oczywiście nie chce brać téj przepowiedni do siebie i mniema, że gdy tylko zbierze fundusz dostateczny, aby rękę ukochanéj pozyskać, zatrzyma się w grze giełdowéj. Przejmuje się jednak gorączką zarobku i umié już niebawem wynaléść sofizmata, usprawiedliwiające jego postępowanie. Już wtedy ceni wysoko wielki „umysł giełdowy" i przenosi go nad umysł wielkiego filozofa i wielkiego polityka:

. . . . . Wszak podziwiamy, kiedy śmiałe oko
Zbada niebo i gwiazdy, tak nad niém wysoko,
Chociaż one w swym chodzie, ruchu oddalonym,
Posłuszne prawom stałym i nieporuszonym.
Ale ten, co poznawszy żądz ludzkich szaleństwa,
Ukróci je i ujmie w karby posłuszeństwa,
I nagnie do swych celów poryw ich skrzydlaty:
Ten więcéj czyni, niżby odkrył światy...
Patrz na to zbiegowisko ludów, które wzajem
Pomieszały się mową, stopniem, obyczajem,
Jak to biegnie do Giełdy, drga jéj ruchem, zdaniem,
Bo ona świata sercem iześrodkowaniem;

Ona węzłem, co wszystko łączy, wiąże czynem,
Przyjaźni Londyn z Wiedniem i Paryż z Berlinem;
A sądząc własnym sądem strony niespokojne,
Nosi w fałdzie szat swoich pokój albo wojnę [1]).

Trudno nie przyznać, że takie i tym podobne myśli, rozwijane przez osoby komedyi, nadają kwestyi interes szerszy, rozleglejszy, aniżeli wyłączne skupienie uwagi na ujemnéj tylko stronie gry giełdowéj i na losach osób prywatnych.

Takąż właściwość, z dodatkiem większéj energii słowa, mają komedye Augiera, zajmujące się kwestyą giełdy i gry namiętnéj.

Jest mianowicie wśród sztuk Augiera jedna, która nawet tytułem zbliża się do „Epidemii"; to *La contagion* („Zaraza", wystawiona 17 marca 1866 r.). Baron d'Estrigaud ma wiele podobieństwa z baronem Goldszmitem; jest to również łotr bez sumienia, który, by zadowolić swe namiętności, gotów na wszelką nikczemność. Stosunek jego z panną Navarette, dowcipną i przewrotną intrygantką, przypomina stosunek Goldszmita z Eweliną. W osobie pana Tenancier i jego syna Lucyana są rysy zbliżone do tych, jakie u Narzymskiego w Karwackim i synu jego Władysławie widzimy. Tylko córka Tenanciera jest odmienną zupełnie od Maryi; innym także jest inżynier Andrzéj Lagarde. Inżynier ten obmyślił wspaniałe przedsiębiorstwo przemysłowe, wykopanie kanału w Hiszpanii południowéj, mające zaszkodzić interesom Anglii w Gibraltarze. Z planem tym przybywa do Paryża, by pozyskać kapitalitalistów i zapewnić sobie sławę, jak nie mniéj zdobyć posag dla swéj ukochanéj siostry. Baron d'Estrigaud potrafił zainteresować giełdę względem tego przedsiębiorstwa. Wtém zjawia się agent angielski, ofiarujący baronowi trzy miliony, byleby sprawa ta upadła. I baron dla pewnego zysku przyjmuje propozycyę, a Andrzeja stara się oszołomić wprowadzeniem go w wir zepsutych obyczajów paryskich. O mało co nie udało mu się dokonać swego zamiaru; ostatecznie jednak Andrzéj, ujrzawszy przed sobą przepaść, nad którą zaprowadziła go żądza używania, cofa się i opuszcza zatrutą atmosferę z wyrazami oburzenia moralnego na bagnisko, skąd ledwie co się wydobył.

Rzecz naturalna, że w rozleglejszém i śmielszém pojmowaniu zadania działały nietylko właściwości talentów, lecz także natura stosunków francuskich, pozwalających na tworzenie szerokich kombinacyi społeczno-politycznych. Autor polski zmuszony był liczyć się

---

[1]) Wyjątki z „Giełdy" Ponsarda przytaczam w tłómaczeniu Henryka Cieszkowskiego (Zob. „Bibliotekę Warszawską" 1864 r., zeszyt majowy i październikowy).

z warunkami życia o wiele ciaśniejszemi i choćby miał nawet umysł śmielszy, to zachowanie prawdopodobieństwa musiałoby polot jego hamować.

Też same warunki życia naszego, tylko z innéj dziedziny, nie dozwoliły Narzymskiemu rozwinąć szerzéj tematu poruszonego w „Pozytywnych”.

Ale przedewszystkiém musimy wyjaśnić, co autor przez „pozytywnych” rozumiał. Że nie miał na myśli zwolenników filozofii pozytywnéj Comte'a, o tém wyraźnie uprzedził sam w przedmowie do swéj komedyi, powiadając: „Wié on (autor), że żadna teorya nie może do gruntu zepsuć szlachetnéj natury, że człowiek serca pójdzie za jego głosem, choć mu rozum przypominać będzie, że ten niby głos jest tylko fizycznym fenomenem; wié, że wśród koryfeuszów pozytywizmu są ludzie wielkich zasług, serca i poświęcenia.” Co do teoryi saméj Comte'a mniemał Narzymski, że „jego klasyfikacya nauk jest arcydziełem, a metoda jego, zastosowana do nauk przyrodzonych, stanowi erę ich rozwoju.” Nie zamierzał również stawać w obronie marzycielstwa przeciwko pracom, „dobrobyt i ekonomiczne podniesienie kraju mającym na celu”, nie chciał zohydzać „kierunku praktycznego”, jaki się wówczas przejawiać zaczął; zaręczał, że kierunkowi temu przyklaskiwał serdecznie i rozumiał doskonale prac tych znaczenie i wartość. Powstawał tedy przeciwko temu, co się zwykle nazywa materyalizmem praktycznym, a co zawarł autor w następnych punktach: „odrzucanie wszystkiego, co się zmierzyć, zważyć, rozebrać chemicznie lub obliczyć cyframi nie da, słowem, czego empirycznie zbadać nie można, a stąd idąca negacya wszelkiéj Istoty będącéj początkiem i twórcą wszech rzeczy; zaprzeczenie wszelkiego duchowego pierwiastku w człowieku i wszelkiéj egzystencyi po za grobem; głębokie przekonanie, że jest istotą czysto materyalną; egoim uznany za jedyne prawo.” Z tém wyliczeniem łączy Narzymski uwagę, że takie ostateczne konkluzye mieści w sobie pozytywizm.

Nie wchodząc tu w rozbiór, czy autor miał słuszność utożsamiając nauki materyalizmu praktycznego z pozytywizmem, muszę najprzód zauważyć, że w saméj sztuce nie ma rzeczywistych przedstawicieli wszystkich tych konkluzyi, są jeno wcielone objawy braku serca, zepsucia, patrzenia z ubóstwieniem na interesa tylko materyalne, a z pogardą—na wyższe cele, ku którym naród zdążać powinien.

Powtóre, zaznaczyć wypada, że Narzymski brał do swych „Pozytywnych” wzorki z Galicyi i to ze sfer szlachecko-arystokratycznych, zachowujących wszystkie zewnętrzne oznaki pobożności. Jeżeli sobie przypomnimy, że sztukę swą pisał autor po ogłoszeniu „Teki Stań-

czyka" (1869 i 1870) i wywołanych przez nią protestach w imię uczucia przeciw oportunistycznemu rozumowi; to musimy przyjść do wniosku, iż Narzymskiemu, chociaż nie mówił tego wyraźnie, chodziło głównie o wychłostanie tych egoistów, co swoje własne interesa nad ogólniejsze przekładali, nadużywając hasła trzeźwości i praktyczności politycznéj. Liczne wzmianki i aluzye, wspomnienie o „tromtadratach" lwowskich, których publicysta, wysługujący się arystokracyi, ma skarcić, wnioskowi powyższemu nadają cechę prawie pewności.

Poznajemy w komedyi trzy pokolenia: staruszków 70-letnich, ludzi w średnim wieku i młodzież od 19 do 27 lat liczącą. Wśród najstarszego pokolenia widzimy dwu serdecznych przyjaciół, mających mnóstwo spólnych wspomnień o młodości przeżytéj „chmurnie i górnie", Adama Choryńskiego i Franciszka Dowgiełło. Obaj mają serca najszlachetniejsze, ale różnią się usposobieniem i właściwościami umysłu.

Choryński jest to natura miękka, łagodna, nie umiejąca się gniewać, pobłażliwa i wyrozumiała, sądząca wszystkich według swego gołębiego serca; ma jednę namiętnostkę, lubi zbiérać i skupować stare książki i szpargały, wszelkie zresztą zabytki przeszłości. Majątek rozdzielił między dwu synów z dwu żon, starszego Leona i młodszego Alfreda; żyje z procentu, jaki mu obaj wypłacają. Namiętność antykwarska pochłania ten procent i zmusza do robienia długów. Nabywa je w tajemnicy Alfred, zimny, wyrachowany, goniący za groszem 24-letni młodzieniec. Nabywa nie na to, żeby je pocichu spłacić, ale żeby doprowadziwszy pod cudzem nazwiskiem do licytacyi ruchomości ojca, oduczyć go „marnotrawstwa". Leon, szlachetny i kierujący się popędami uczucia, poeta w duszy, stracił znaczną część majątku swego na cele publiczne; mimo to nie tylko wypłaca ojcu należny mu procent, ale nadto stara mu się osłodzić starość nabywaniem dla niego cennych zabytków. On téż długo osłaniając brata swego, płaci weksle ojcowskie i pozwala w dodatku, by wdzięczność za to spadła na Alfreda.

Dowgiełło ma umysł świeższy od Choryńskiego, jest surowszy i posiada właściwą Litwinom ostrożność i przebiegłość. Wnuczka jego Hanna stała się przedmiotem zabiegów Alfreda, liczącego na jéj znaczny posag; w skrytości zaś kocha ją Leon. Dowgiełło, powziąwszy podejrzenie co do interesowności konkurenta, wystawia go na próbę; rozgłasza, że majątek utracił, że zatém wnuczka jego posagu mieć nie będzie. Tak zręcznie sprawę poprowadził, że pomimo usilnych badań Alfred nie mógł się przekonać o zmyśleniu i uwierzył w ruinę Dowgiełły. Wówczas naturalnie zwrócił zaraz efekty swoje do hrabianki Julii, najmocniéj przekonany, że ta mieć będzie posag ogromny. Tryumfuje

łatwo nad hr. Jesionowskim, stałym wielbicielem hrabianki, i osiąga cel swoich pragnień: zostaje mężem Julii. Następuje rozczarowanie; dowiaduje się bowiem nieszczęsny łowiec posagowy, że Julia nie ma nic zgoła; cały bowiem majątek jest własnością jéj matki, która właśnie w wilię ślubu córki, wyszła w sekrecie za młodego literata, wieszającego się u klamek pańskich, Eugeniusza Kornackiego, u którego „Tartuffe może się uczyć obłudy.” Scena gwałtownych wymówek, potém układy pieniężne. Hrabia Jesionowski ze swojéj strony pragnie korzystać z dobréj okazyi i projektuje sobie romans z młodą mężatką, która do Alfreda wskutek jego brutalności zrazić się musiała. Podsłuchał rozmowy o tém Leon i wyzwał hrabiego na pojedynek. Raniony w nim, wywołuje objawy szczerego uczucia Hanny, która już oddawna, odczuwszy w Alfredzie brak serca, pokochała Leona. Tworzą oni szczęśliwe małżeństwo, a stary Choryński doznaje tu najtroskliwszéj opieki pod każdym względem, nie wyłączając i jego słabostki do „starożytności”. Alfred poróżniwszy się z żoną, przesiaduje u brata i nudzi się; a kiedy postępowaniem Eugeniusza oburzona matka Julii, przekazuje jéj swój majątek, sama zaś chce osiąść na dewocyi, małżonek godzi się z położeniem i z życiem we troje, pocieszając się tém, że rola to „większéj części mężów wielkiego świata, a przynajmniéj tych, którzy się z bogatemi pożenili pannami.”

Przeciwieństwo zasad i postępowania najjaskrawiéj uwydatnił autor w postaciach dwu braci. Leon szlachetny i cichy, tłomaczy brata wobec innych, wierzy długo w jego prawość, stara się przynieść ojcu pociechę, bije się za honor Alfreda, ufa, że dobra sprawa zwyciężyć w końcu musi. Alfred, samolub i wyzyskiwacz, nie kocha nic i nikogo prócz siebie; ojcu rachuje procent, jeśli dożywocie wypłaci miesiąc naprzód; gotów go licytować, traci nawet poczucie godności osobistéj, byle mieć dochody. Wielkie hasła są dla niego frazesami tylko. W rozmowie z Leonem (akt II, sc. 6) wypowiada swoje poglądy, które najlepiéj może służą do uwydatnienia dążności komedyi: „Ach, polityka! poezya!... Wiemy my dobrze, do czego was one doprowadziły!.. I dokądże doszliście, wychowani na Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim?.. Zdenerwowani bzikami rymowanemi, rozmarzeni fikcyami, rozmiłowani w ideale niepodobnym do urzeczywistnienia, rwaliście się przez lat sto do celu, którego doścignąć niepodobna — i popełnialiście szaleństwa za szaleństwami. Spojrzyj na siebie, mój Leonie! Byłeś młody, pełen siły i życia, majętny, miałeś świetną przed sobą karyerę... aleś czytywał Dziady i Irydyona, a Kordyana umiałeś na pamięć... Więc musiałeś kochać jak Gustaw, szaléć jak Kordyan, jak Irydyon Rzym podkopywać!... I oto dziś jesteś złamany, zrujnowany, nieszczę-

śliwy, ze szramą na czole, z opinią szaleńca w kołach ludzi poważnych, a co najgorsza, z pustkami w kieszeni; — nie ma co w bawełnę obwijać; polityka i poezya zgubiła was; ale na szczęście wyście byli ostatnimi szaleńcami."

Ta charakterystyka dążeń społecznych, potępionych przez „Tekę Stańczyka"; a oto zaraz program w głównych punktach zgodny z zasadami tejże Teki: „My nauczeni doświadczeniem waszém, weszliśmy na drogę rozsądku... i wybraliśmy kierunek pozytywny; dziecinne marzenie złożyliśmy *ad acta* i przestaliśmy roić o celu, który was bałamucił. Poetyczne tyrady odrzuciliśmy precz, bo one rozmarzają tylko słabsze głowy, a dla umysłów pozytywnych są śmieszną egzaltacyą. Pojmujemy życie, jak jest; zgadzamy się na to, co jest, i wiemy, że zmarnowanego na jakieś bziki szlachetne życia nic nie zapłaci. Ponieważ ogół głupi, więc trzeba jeszcze czasem frazesów używać, ale wierz mi, w rzeczywistości nowa era rozpoczęła się z nami... era rozsądku... era pozytywnych dążeń i praktycznych celów".

W dalszych słowach Alfreda brzmią już zastosowania praktyczne, płynące z wyrzeczenia się wielkich celów i ideałów. Szczęściem nazywa zadowolenie zachceń, potrzeb, żądz; a że to zadowolenie możliwe jest przy pieniądzach, więc zdobycie pieniędzy jest rzeczą główną. „Nie myślę zbawiać ludzkości — powiada—ni wielkich idei rozsiewać, ni nawet być marszałkiem rady powiatowéj... Nie!.. Dorabiać się będę uparcie, zacięcie, pracowicie... nie dlatego żebym kochał pieniądze, ale że mnie to bawi... życie zapełnia i daje środki użycia lat kilkudziesięciu, jakie mogę przebyć na ziemi. Gusta moje może się zmieniać będą. Dziś za pieniądze kupować będę konie i kobiéty... potém może władzę i sławę i pochlebców... potém mężów dla córek... potém pomnik marmurowy lub zbawienie duszy... Czy ja wiem? dość, że iść będę ciągle w górę, ciągle bez przerwy... z okiem spokojnem i tabliczką w ręku... bawiąc się, ale nie cierpiąc, obojętny na to, co mnie nie dotyka, i zawsze zadowolę wszystko, czegokolwiek moje ja zażąda. A umrę z tém miłém przekonaniem, żem z życia całą wyczerpał słodycz, żem go nie zmarnował, żem go chorobliwym sentymentalizmem i gonieniem za mrzonkami nie zatruł."

Alfred modlił się w kościele, bywał nawet u spowiedzi; a robił to z kilku powodów, raz że go to nic nie kosztowało, a mogło się kiedyś na coś przydać, powtóre iż to stawiało dobrze człowieka w towarzystwie, a szczególniéj w oczach kobiet, które rządzą towarzystwem.

Leon, wysłuchawszy teoryi brata, odrzekł mu spokojnie: „Może masz racyę, zarzucając swoim ojcom i braciom starszym rozpoetyzowanie się... rozmarzenie... ale wy wpadacie w drugą gorszą ostateczność.

Jak niebaczne dzieci odrzucacie talizman dlatego, że myśmy zanadto weń wierzyli. To próżno. Twój materyalizm jest także jednostronnością... Myśmy padli jak orły, lecące zbyt wysoko; wy zgnijecie, jak gady w błoto wdeptane... Przyjdzie czas, gdy zdobywszy wszystko, poczujesz brak czegoś, czego kupić nie można... poczujesz pustkę wkoło siebie i w sobie... za sobą i przed sobą... a gdy ostatnia nadejdzie chwila, zrozumiesz, żeś zmarnował życie, żeś się pozbawił tych wszystkich uroków i rozkoszy, których wspomnienie trwa dłużéj, niż smak dobrego obiadu."

Nie mogły wpłynąć ani te słowa Leona, ani téż przykre doświadczenie, jakie przebył w chybioném małżeństwie, by się Alfred do zasad brata nawrócił; rdza samolubstwa przegryzła w nim pierwiastki szlachetne.

Jeszcze jaskrawszym okazem znikczemnienia duszy jest literat Eugeniusz Kornacki, udający pobożnego dla przypodobania sferom arystokratycznym, autor „Masonów polskich" i pogromca „tromtadratów". W młodym wieku (ma lat 26) zatracił już wszelkie poczucie moralne. Żeni się ze starą hrabiną, matką Julii dla jéj pieniędzy i w rozmowie z hr. Jesionowskim, drwiąc ze swéj żony, podaje cyniczne powody, które go skłoniły do zawarcia wstrętnego małżeństwa: „Ty, hrabio, wyobrażenia nie masz, co to za tortura bazgrać codzień androny, z których się człowiek sam śmieje, budować wspaniałe frazesy o moralności, obowiązkach, zasadach i innych podobnych niedorzecznościach. Wy wprawdzie codzień robicie to także... ale mówić a pisać to różnica... Z początku to bawi, lecz potém obrzydnie!.. Tu świat szaleje, używa, jé, pije: złoto z rąk do rąk się przelewa... a ty siedź w ciemnéj redakcyjnéj izbie i buduj pobożny artykuł i wymyślaj ludziom, którym zazdrościsz... Ale cóż, karyera przedewszystkiém... Za to dziś!..

Odepchnięty przez żonę, gdy się zaczął pokątnym miłostkom oddawać, ma zamiar naciągnąć poczciwego, miękkiego Leona, by dał fundusz na założenie dziennika. Twierdzi więc, że się owych dawnych zasad wyparł i będzie bronił haseł najświętszych. Leon już gotów uwierzyć w nawrócenie grzesznika i dać pieniądze; lecz czuwał nad nim przezorny Dowgiełło i zadrwił z tego wilka, naciągającego niezgrabnie skórę baranka. Wytwarza to może jedyną prawdziwie komiczną scenę w sztuce, przepełnionéj poważnémi refleksyami i naprężonemi sytuacyami. „Myślałem założyć dziennik... organ broniący praw i zasad najświętszych"—mówi Eugeniusz, przekonany, że swemi poprzedniemi wyznaniami zyskał już sobie zaufanie Leona i Dowgiełły.

„I nie masz pan funduszów” — przerywa mu podstępnie stary wyga. „Zgadliście panowie — odrzecze przyszły redaktor... — I właśnie, gdy śmiertelnie smutny bezsilnością moją, któréj przyczyną Alfred, spojrzałem na was i światło błysnęło mi przed oczyma i pomyślałem...” Dowgiełło przerywa mu kładąc rękę na jego ramieniu i kończąc niby jego frazes: „Oto dwa barany, które się ostrzydz dadzą, byle ich słabą połechtać stronę?... Nieprawda, bratenku?” A na wymówkę Leona, dodaje: „Jakto, to ty nie widzisz, że pan Eugeniusz chciał wypróbować, ile téż w starych i młodych waryatach jest dobroduszności?... A!.. to już zanadto poezyi, mój Leonie!” Eugeniusz mówi do siebie myśląc o Dowgielle: „A, łos!” a głośno: „Panie, ubliżasz mi... Pan Dowgiełło mi nie wierzy... a ja Bogiem się świadczę i honorem ręczę...” W tém przynoszą telegram od hr. Jesionowskiego, adresowany do Eugeniusza, brzmiący, jak następuje: „Książę Kalikst, hrabia Paweł i ja tworzymy firmę i staramy się o koncesyę... Interes milionowy, a prawie pewny, wskutek znanego ci stosunku, jaki mnie wiąże z B. Dla poparcia jednak w kraju zakładamy dziennik. Przybywaj więc. O barwie organu dowiész się, a z r e s z t ą t o c i w s z y s t k o j e d n o. Wyższy komizm, wynikający z przeciwstawienia owych wielkich zasad, których obronę dopiéro co zaprzysięgał Eugeniusz, ręcząc honorem i świadcząc się Bogiem, tym lekceważącym słowom, jakie o tém wypowiada Dowgiełło i telegram hr. Jesionowskiego, należy do pomysłów szczęśliwych i dobrze rozwiniętych.

Znikczemniałe charaktery Alfreda i Eugeniusza uwydatniają się raz jeszcze w ostatniéj scenie, gdy małżonek Julii, który za 100 tysięcy zgodził się odgrywać rolę parawanu, prosi małżonka jéj matki, potrzebującéj łaski téjże, chcąc dojechać do Wiednia,—by mu wyrobił udział w koncesyi. A gdy ten się wzdraga, Alfred mówi niby spokojnie: „żona to u hrabiego uzyska.” Wówczas Eugeniusz zaczyna się targować o cenę pośrednictwa i uzyskuje dwa tysiące, Alfred zaś mówi do siebie: „mógł pięć wytargować!”

Inne osoby komedyi nie są już tak znamienne, jak poprzednio scharakteryzowane.

Hrabia Jesionowski, rujnujący się na stajnię wyścigową, lekkomyślny i bez zasad, lubiący miłostki, które nie obowiązują i zbyt wiele nie kosztują, z drwiącym uśmiechem przyjmujący wszystko, zachowuje zawsze przytomność umysłu i dobry ton towarzyski; jest odważny i ani myśli odmawiać pojedynku, gdy ktoś go żąda od niego.

Hrabina Zenobia Skalińska, kobiéta 45-letnia, bogata, żądna jeszcze życia i użycia, łapie sobie młodego Eugeniusza, a gdy ten ją

zaczął zwodzić, odpycha go i niby dewocyi chce się poświęcić; ale niebawem przebacza mu grzeszki, by mieć męża bądź co bądź.

Jéj córka Julia, światowa panna, niemajętna, lecz uchodząca za bogatą, szuka człowieka, coby jéj zapewnić mógł dobrobyt, wyrzeka się serca, lecz niebawem żałuje tego, spostrzegłszy, że kobieta bez uczucia wyżyć nie może. Zapewniwszy sobie ofiarą 100 tysięcy swobodę, pójdzie zepewne drogą poszukiwań coraz to nowego ideału, a może pod wpływem Leona i Hanny nawróci się do życia cichego i cnotliwego.

Hanna wreszcie, jak zazwyczaj nasze bohatérki dodatnie, to dobra, szlachetna dziewczyna, raz się zdobywająca na objaw wyraźny uczucia dla człowieka, co ją kochał, lecz wzajemności nie spodziewał.

Takie są myśli przewodnie i osobiste główne, przeprowadzone w komedyach Narzymskiego. Przyznać potrzeba, że autor ich znał dobrze swoje społeczeństwo, znał jego pierwiastki składowe, zastanawiał się poważnie i sumiennie nad przyczynami wad narodowych i rozstroju a raczéj zamętu moralnego, jaki się w różnych warstwach w przeszłości czy w teraźniejszości dostrzegać dawał. Zadanie komedyopisarza społecznego, by prądy czasu i kwestye palące roztrząsał, wskazując złe, a podnosząc dobre objawy spełniał z rozwagą i szczerością, znamionującą człowieka przejętego silnie ukochaniem kraju, oburzonego dowodami upadku ducha i zgnilizny moralnéj. Jak w młodzieńczym swoim utworze („Niekomiczna komedya"); tak i w ostatniéj swéj pracy („Pozytywni"), pomimo zmienionych pod niektóremi względami poglądów, przejawia się ten sam duch prawy, kierujący się zasadami szlachetnemi, kochający wielkie cele i wielkie ideały a nienawidzący wszelkiéj podłości, wszelkich poniżających układów z sumieniem.

Można go tedy nazwać twórcą naszéj komedyi społecznéj. Wszystkie utwory innych autorów, zasługujące na to miano, napisane zostały po „Epidemii" i „Pozytywnych." Nie rozwinął wprawdzie Narzymski szeroko tematów przez siebie podejmowanych, ale tłomaczy go to, iż w szczupłych szrankach naszego życia społecznego nie miał dostatecznéj podniety ku traktowaniu rzeczy na skalę rozległą. Kto wié zresztą, czy nie byłby w dalszych swych pracach uczynił dalszego kroku naprzód, gdyby nie śmierć przedwczesna (4 lipca 1872 r.).

Czy był równie dzielnym artystą jak obserwatorem społecznym?

Wiemy, że artyzm cenił wysoko; wiemy że tendencya nie usprawiedliwiała wad układu i charakterystyki; należy jednak zauważyć, iż

mówiąc o komedyi, najwięcéj się zawsze rozszerzał nad jéj tematem, nad kwestyami przez nią poruszonemi. We własnych też utworach dał pierwszeństwo tematowi. Ludzie jego nie tylko w pomyśle, ale i w zachowaniu się, są istotami rzeczywistemi, działającemi w warunkach rzeczywistych; zawsze się jasno przed umysłem czytelnika i widza rysują. Sytuacye są prawie wszystkie naturalne i rozwijane bez sztucznego i gwałtownego naciągania: tu i owdzie tylko znajdzie się jakiś środek teatralny przestarzały, np. mimowolne podsłuchiwanie, pociągające za sobą ważne następstwa. Niekiedy dla efektu przeciągnięta jest struna, dźwięczy zbyt silnie, np. w „Pozytywnych" hałaśliwa scena, wyprawiona przez Alfreda, oszukanego w swych nadziejach co do posagu żony. Można tu powiedziéć wraz z hrabią, że choć położenie było bardzo przykre, ale należało zachować formy życia wielkoświatowego i nie robić awantury, nie licującéj z konwenansami. Wszak można ludziom zrobić bardzo dotkliwe, bardzo bolesne wyrzuty, nie sprawiając wzrawy. Układ scen nie zawsze zadawalnia u Narzymskiego. Nie ma jego w komedyach tego ześrodkowania efektów, téj spójności kompozycyi, jaka znamionuje np. sztuki Augiera. Nie rozbieram szczegółowo téj sprawy, gdyż nie miałoby to już dzisiaj celu; zaznaczam tylko moje spostrzeżenie, dodając, że „Epidemia" lepiéj się pod tym względem przedstawia, aniżeli „Pozytywni", w których akt czwarty zamiast być zwięzłem rozwiązaniem, porusza zbyt wiele zagmatwanych interesów.

Pod względem stylu, miał Narzymski jednę wielką zaletę: jędrność wyrażenia. Lubił się streszczać, pisał zazwyczaj krótkiemi, urywanemi zdaniami. Kiedy chodziło o uplastycznienie sytuacyi lub o sformułowanie poglądów, styl ten czynił zadość wymaganiom dramatycznym. Ale kiedy szło o przedstawienie uczucia namiętnego i wzburzonego, dykcya taka wydaje się suchą. Uczuć tkliwych, serdecznych wyrażać Narzymski nie umiał; stąd pochodzi ubóstwo scen miłosnych i niepozorność bohatérek dodatnich. Ale nie tylko role kobiece tracą na owéj właściwości stylu; w niektórych sytuacyach przydałoby się i mężczyznom słowo lotniejsze, akcent potężniejszy, np. w monologu Karwackiego, gdy zamyśla o samobójstwie.

Komedye Narzymskiego dają pole do rozwagi, ale nie wzruszają. Żywioł komiczny jest w nich słaby, chociaż autor nie był wcale pozbawiony pomysłowości w sytuacyach, mogących wywołać uśmiéch. Ponieważ jednak traktował o rzeczach poważnych, nie chciał obniżać ich znaczenia przez częste użycie środków, któreby mogły myśl czyytelnika lub widza wprowadzić na tory dalekie od zamierzonéj przez komedyopisarza dążności. Zapewne, mylił się w téj mierze; umiejętne

zastosowanie żartu i komizmu nie rozprasza uwagi, lecz ją zaostrza, a przerywając poważne dyskusye, odpędza znużenie i wraża w pamięc to, o co autorowi chodziło. Sposępnienie komedyi społecznéj nie może być poczytywane za objaw pożądany w rozwoju sztuki: śmiéch zdrowy jest rzeczą przyjemną i pożyteczną zarówno dla ciała jak i dla duszy. Pogodna kraina artyzmu nie powinna nam przecież sprawiać przykrości i zasępiać czoła.

P. Chmielowski.



Z POWODU ARTYKUŁU A. PAWIŃSKIEGO

O odpowiedzi [1]).



Błędem byłoby przypuszczać, że stan szlachecki wyłącznie znał i używał o d p o w i e d z i. Instytucya ta prawa zwyczajowego, nie wypływała tylko z pojęć honoru rycerskiego, nakazującego uprzedzić przeciwnika o niebezpieczeństwie pod groźbą uchodzenia za podstępnego zabójcę, gwałciciela prawa i porządku publicznego. Panował zwyczaj ten i wśród włościan. „Odpowiadał na gardło" jeden kmieć drugiemu, gdy odeń krzywdy doznał, tak samo jak szlachcic szlachcicowi. Innem znać było źródło zwyczaju, szerszém, opartém na ogólno-etycznych zasadach ówczesnego społeczeństwa. Jakoż prosta uczciwość nakazywała każdemu, bez względu na stan i pochodzenie, nie napadać na człowieka mieniącego się być bezpiecznym; zagrożonemu zemstą należało dać możność naprawienia zła wyrządzonego a przedewszystkiém przez danie jawnéj o d p o w i e d z i wytaczano niejako sprawę przed forum opinii publicznéj. Kto wbrew tym zasadom postępował, uzbrajał ogół przeciwko samemu sobie a bez jego sankcyi, jak-

---

1) „Ateneum", zeszyt grudniowy 1896 r.: A. Pawiński, Odpowiedź według obyczaju rycerskiego w prawie polskiém.

kolwiek milczącéj, nikt nie uważał się za uprawnionego do osobistego ukarania swego krzywdziciela. Odpowiednik, osłonięty słusznością swéj sprawy, mocen był rozsądzić ją zgóry we własném sumieniu, często poparty jeszcze przez krewnych i przyjaciół, i zaprzysiężoną zemstę jakby w formie zapadłego wyroku ogłaszał przeciwnikowi. Charakterystyczną cechą odpowiedzi, mieszczącą się w samym już wyrazie, jest zapowiédź pomsty za doznaną krzywdę. Fakt pokrzywdzenia bezwarunkowo poprzedzać musiał odpowiédź. Opinia publiczna, powiadomiona o tym fakcie, milcząco niejako potępiała winowajcę a ofierze lub krewnym jéj udzielała autorytetu względem pomszczenia krzywdy, uświęcając swą powagą zemstę osobistą. Tak więc odpowiédź była tylko wyższą formą odwetu indywidualnego, aprobowaną przez społeczeństwo średniowieczne i używaną we wszystkich warstwach tegoż społeczeństwa.

Że lud istotnie hołdował zwyczajowi odpowiadania, świadczą o tém spółczesne akta sądowe XVI wieku, na które chcemy się powołać. Są to oryginalne akta z r. 1593, dotyczące dóbr Pabianickich, województwa sieradzkiego, własności kapituły krakowskiéj. Volumen z ośmiu złożony arkuszy, przechowuje się w archiwum kapitulném i przedstawia wcale ciekawy zabytek dawnego sądownictwa wiejskiego [1]).

Na potwierdzenie powyższych naszych słów o odpowiedzi u włościan, przytoczymy w dosłownych cytatach sprawy, w których przedmiot ten występuje:

1) Jan Bieńkowicz oskarżał Szczęsnego Wiliamka o podpalenie płotu. Niezależnie od decyzyi w kwestyi głównéj, sąd postanowił: „A isz thenze Jąn Bieńkowicz niebezpieczeństwa od szijnow ij powijnnich thego Wiliąmka stroneij zdrowija zazijwa Thedy Ich Mcz wijnę między nijmij zalozicz ij postanowijcz raczilij, gdzieby ssie tho pokazać miałło zeby tak szijn albo który powijnnij Wiliąmkow thargnął ssye albo ranieł thegosto Jąna Bieńkowijcza thedy sesczdzieszią th grzijwięn wijnij na Ich Mcz przepada.” (Wieś Wola Rakowska).

---

[1]) Wiadomość o tym rękopisie podał ks. Polkowski w „Sprawozdaniu o drugim dziale ksiąg archiwum kap. kat. krak.“ w Rozprawach hist.-fil. Akad. Krak. Tom XVIII, 1885 r. Tytuł rękopisu: Visitatio et lustratio bonorum pabianicensium ex commissione Venerabilis Capituli Ecclesiae Cathedralis Cracoviensis per Reverendos Dominos Martinum Izdbienski de Ruszecz Scholasticum Cracouiensem, Petrum Gwiazdowsky et Vincentium Romisewsky Canonicorum Cracouiensium Anno Domini Millesimo Quingentesimo Nonagesimo Tertio. Die 27 Octobris. Cały zaś pisany po polsku.

2) „Woijcziech Przepiorka z Gięmzowa Isz wijdział Woyczciecha Rabede wijozączego wnoczy zijtho spolija kthore żijtho niewie czije wyoszl do czego ssie thenze sam Rabenda dobrowolnie zeznał, zaczo yusz y karanie miał. A isz temu Przepiorcze dlia thego opowiedzęnia odpowiadał thedy Ich Mcz zaklad miedzy nijmij zalozijcz raczily, takij pąn Starosta ustanowycz będzie raczil." (Wieś Giemzów).

3) „Na szijnij Wlodarzowe Bartosz Stanik powiedział, ysz poijmał beł urzędnik w gumnije a onij sijano brałij, których na czterdzieszczi grzywięn ręczono. Thegosz Włodarza czeliadz thęn Bartosz Stanik zastal na rzepie panskij ij mothijkę s plachtą wzijąl. A ijsz steij przezineij nienawijscz nathego Bartosza Stanika czij sinowie włodarzowij maiją ij na gardło mu odpowiadaią thedij dlija beszpieczenstwa ijego zdrowia Ich Mcz zaklad miedzy niemij grziwien czterdzieszczi załozicz raczelij." (Wieś Dobroń).

4) „Robotni Macziei Thokarz skarzel na Grzegorza Wuija, Isz u thego Wuija w ręku szijna thego Thokarza Sobestiana zabitho. Asz pewnęm swijadecztwęm ij lijudzmij dobrimi wijarij godnijmij niewijnnem szie bijdz then Wuij pokazal Thedy Ich Mcz wolnim tego Wuija uczinicz ij wijeczne mijlczenie nakazacz raczelij. A izebi w pokoiju ssobą mieskalij Thedij zaklad międzij nijmij grzijwien dziessięcz zalozicz raczelij." (Wieś Śladkowice).

Cytaty powyższe, sądzimy, dostatecznie stwierdzają, iż odpowiédź egzystowała śród ludu kmiecego w końcu XVI stulecia. Czy bywały wypadki odpowiadania ze strony włościanina mieszczaninowi i szlachcicowi, i odwrotnie—pozostaje kwestyą otwartą.

Legalna władza sądowo-administracyjna, jak w danym wypadku sąd patrymonialny kanoników krakowskich i ich starosty, starała się zapobiegać skutkom odpowiedzi przez ustanowienie „zakładu" czyli „winy", co odpowiada *vadium* [1]), które przytacza Pawiński. Zapisywano do akt i ogłaszano, że gdyby odpowiednik skrzywdził na zdrowiu swego przeciwnika, płacić ma na rzecz pana włości „założoną winę" w ilości tylu a tylu grzywien. Wysokość téj ostatniéj zależała od natury każdego oddzielnego wypadku i wynosiła 10, 40 a nawet 60 grzywien.

Niewyjaśnionem pozostaje, czy odpowiédź u kmieci czyniono w ściśle określonéj przez zwyczaj formie, jak u szlachty, czy też

---

1) Tego samego terminu prawnego: „zakład" „vadimonium" używano w XV wieku w Ziemi Czerskiéj. Patrz: Najdawn. Księgi sądowe. Księga Ziemi Czerskiéj 1404—1425, wyd. T. Lubomirski, Warszawa 1879, str. LXXX.

stanowiła ona zwykłą pogróżkę, zapowiedź za którą zazwyczaj szło wykonanie. W każdym razie „zakładanie winy” w wielu wypadkach skutecznym mogło być hamulcem na ślepe wybuchy zemsty osobistéj i wedle dzisiejszego rozumienia rzeczy, uważać je należy za mądry środek policyi bezpieczeństwa, zapobiegający przestępstwom przeciwko życiu i zdrowiu jednostki.

Maksymilian Baruch.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Z inflanckiéj literatury naukowéj.

I. Dr. Poelchau Arthur. „Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1894.“ Riga 1895, Verlag von N. Kymmel, w 16-ce stron 90. — Tenże. „Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1895.“ Riga, 1896, Verlag von N. Kymmel, w 16-ce stron 76.

Drugie i ostatnie wydanie powszechnie znanéj w europejskich kołach naukowych bibliografii dawnego profesora uniwersytetu dorpackiego, d-ra Edwarda Winkelmana, p. t.: *Bibliotheca Livoniae historica* (Berlin, 1878 r.), wykazało dzieł i rękopisów kilkanaście tysięcy.

Niepomierny pożytek owéj bibliografii wywołał z kolei potrzebę dopełniania jéj z każdym rokiem. To téż wszystkie, chociażby najmniéj wyczerpujące, prace i artykuły historyczne, dotyczące dawnych krain inflanckich, a wydane po roku 1878-ym (a więc w pomnikowém dziele E. Winkelmana jeszcze nie zawarte), notowała skrzętnie w miarę ich ogłaszania dawna gazeta ryska *Rigasche Zeitung* w stale utrzymywanéj rubryce p. t. *Baltische Bibliographie*; potém, już od roku 1880-go, wyliczać je poczęły redagowane systematyczniéj maluczkie zeszyciki, wydawane corocznie zrazu przez miejscowego historyka Karola Mettig'a (wieloletniego współpracownika ogłaszanych w Berlinie

roczników historycznych J. Jastrowa *Jahresberichte der Geschichtswissenschaft*), a następnie przez pomocnika dyrektora ryskiéj biblioteki miejskiéj, A. Poelchau'a, p. t. *Die livländische Geschichtsliteratur im Jahre 1880*, czy też *im J. 1881* albo *1882* i t. d.

Każdy taki zeszycik, wychodzący odtąd corocznie nakładem księgarni N. Kymmla w Rydze, stanowi nader pożądany przewodnik bibliograficzny dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jako téż dla czytających i kupujących książki lub artykuły, dotyczące przeszłości inflanckiéj.

Zeszycik z r. 1892 ogłoszony został pod redakcyą Poelchau'a zaledwie w końcu r. 1893-go. Z krótkiéj przedmowy dowiedzieliśmy się, że sz. autor z czasem zamierza przystąpić do nowego, uzupełnionego aż do najnowszych czasów wydania słynnéj bibliografii Winkelmana i że, zanim to nastąpić będzie mogło, autor postanowił ogłaszać daléj corocznie swoje zeszyciki p. t. *Die livl. Geschichtsliteratur im J. 1893*, czy téż *1894*, *1895* i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że takie dopełnione wydanie bibliografii Winkelmana, będzie pracą nader pożądaną dla wszystkich badaczy przeszłości inaflnckiéj, któréj téż uczeni nadbaltyccy jednozgodnie przyklaskują. Tymczasem zaś poprzestawać są zniewoleni na skromnych zeszycikach, z liczby których dwa ostatnie przytoczyliśmy w nagłówku.

Zeszycik o literaturze inflanckiéj z r. 1895-go zaledwie w tych dniach opuścił prasę drukarską i w tymże samym porządku, co i dawniejsze, przytacza na str. 3—8: recenzye i sprawozdania o pracach w ciągu ostatniego czasu ogłoszonych; na str. 8—13: publikacye źródeł lub dotyczące źródłoznawstwa inflanckiego; na str. 13 — 30: artykuły i rozprawy z dziedziny nauk pomocniczych, jako to: inflanckiéj geografii, etnografii, statystyki, genealogii, heraldyki, sfragistyki, archeologii, numizmatyki, historyi sztuki, historyi cywilizacyi, lingwistyki i t. p.; na str. 30--40: monografie i artykuły pomniejsze; na str. 40—46: biografie; na str. 49—51: rozmaitości; na str. 51 — 63: pisma stowarzyszeń inflanckich lub téż artykuliki okolicznościowe; wreszcie na str. 63—65: nekrologi w ciągu roku w licznych dziennikach nadbaltyckich ogłaszane, mające przeważnie charakter lokalny.

Z prac samoistnych polskich, oraz recenzyi ogłaszanych w języku polskim, wymienia tenże najnowszy zeszycik na str. 4-éj: „Kwartalnik historyczny" (wychodzący we Lwowie), a mianowicie: rocznik IX-ty, str. 434—445; daléj na str. 7-éj: „Ateneum" warszawskie z ro-

ku 1894, str. 308—324, a także „Kwartalnik historyczny" (IX, str. 292 i str. 327—329); na str. 8-éj: tenże „Kwartalnik historyczny" (IX, str. 344); na str. 14-éj: „Wielką Encyklopedyę ilustrowaną", a mianowicie: tom XIV, str. 963; na str. 27-éj: „Przewodnik naukowy i literacki" z r. 1895, str. 673—689; 769—781; 865—885; 960—983, a także warszawskie czasopismo „Wisłę" z r. 1895, str. 361 — 397; na str. 33-éj: „Kwartalnik historyczny" (IX, str. 621 — 648); na str. 49-éj: „Kwart. hist." (IX, str. 34), dotykając przeważnie prac Antoniego Prochaski, Antoniego Mierzyńskiego i Gustawa Manteuffla. Przytém popełnia liczne błędy w pisowni polskiéj, szan. autorowi, niestety, całkiem nieznanéj.

Umieszczony na str. 66 — 76 skorowidz, ułatwia czytelnikowi oryentowanie się w téj dla badaczy przeszłości inflanckiéj zawsze bardzo pożądanéj publikacyi, za którą niestrudzonemu autorowi i licznym jego współpracownikom prawdziwa wdzięczność i szczere uznanie się należą.

II. Prof. dr. Oswald Schmidt. „Rechtsgeschichte Liv- Est- und Kurlands" (ogłoszone w „Dorpater juristische Studien", Bd. III, Heft 2 und 3 przez d-ra E. Nottbeck'a, z przedmową wydawcy). Jurjew (niegdyś Dorpat), 1894 r., bei E. J. Karow, stron VIII i 403 w sporéj 8-ce.

Zeszyty 2-gi i 3-ci tomu III-go czasopisma *Dorpater juristische Studien* przyniosły nam w końcu roku 1894 sporą książkę o kilkuset stronach ścisłego druku, powstałą z prelekcyi zmarłego w Dorpacie w r. 1890 profesora historyi prawa nadbaltyckiego, d-ra Oswalda Schmidta. Najpilniejszy, a poważny już wiekiem uczeń zmarłego, dr. Eugeniusz Nottbeck, uporządkowawszy puściznę rękopiśmienną swego dawnego nauczyciela i mistrza, — ogłosił skwapliwie jego wykłady z zakresu historyi prawa Inflant, Estonii i Kurlandyi pod tytułem: *Rechtsgeschichte Liv- Est- u. Kurlands.*

Wyznać należy, że rękopis przeznaczony wyłącznie do wykładów z katedry uniwersyteckiéj, którego treść uczony prelegent co chwila wzbogacał ustnemi uzupełnieniami i wywodami, — pozostawia mało miejsca do dyskusyi. Główne zalety téj pracy leżą oczywiście w odpowiedniém ugrupowaniu treści różnolitéj, w jasności wyrażeń, pełności obrazów, w udatném przeprowadzeniu treści głównéj. „Kto pragnie nauczać, nie powinien popadać w wątpliwości; kto chce być pożytecznym, ten winien coś przynieść do skarbnicy wiedzy" głosi znane *adagium* dorpatczan.

Wymaganiom powyższym zdaje się całkowicie odpowiadać dzieło pośmiertne prof. Schmidta, a publikacya jego zasługuje na tém szczersze uznanie, że jest to pierwsza próba ujęcia prowincyi nadbałtyckich w całkowity obraz.

Nie zbywało wprawdzie i dotąd na obszernych monografiach, traktujących o pojedyńczych częściach miejscowéj historyi prawa, nie brakło rozpraw dotyczących źródeł z téj dziedziny wiedzy, nie brakło dysertacyi odnoszących się wyłącznie już to do historyi procesu karnego i cywilnego, już to do historyi prawa karnego i cywilnego nadmorskich krain tutejszych. To téż odnośna literatura (za wyłączeniem tylko prawa prywatnego) należycie uwzględnioną została już w samym wstępie do pracy pośmiertnéj prof. Schmidta. Nie mieliśmy atoli po dzień dzisiejszy podręcznika historyi prawa nadbałtyckiego, ujętéj w całość organiczną.

Jedyne dwie książki, jakie z tego zakresu wiedzy istnieją, a mianowicie: F. G. Bunge's *Einleitung in die liv-, est- und kurländische Rechtsgeschichte und Geschichte der Rechtsquellen*, oraz wydana przez br. Siewers'a i br. Rahdena w języku rosyjskim, a przez Jerzego Brewerna w tłómaczeniu niemieckiém: *Geschichtliche Uebersicht der Grundlagen und der Entwickelung des Provincialrechts in den Ostseegouvernements*, nie ujęcie rozwoju miejscowego prawa w jednolity obraz mają na celu, lecz raczéj [dążą do monograficznego przedstawienia pojedyńczych części tego prawa.

I tak, w przytoczoném powyżéj pomnikowém dziele Bunge'go, traktowana jest wyczerpująco i występuje na plan pierwszy historya źródeł do prawa nadbaltyckiego; Siewersa zaś i Rahdena *Geschichtliche Uebersicht* i t. d. zajęta jest przeważnie historyczném przedstawianiem ustroju tutejszych instytucyi państwowych *(Behördenverfassung)*, oraz praw stanów nadbaltyckich (*Ostseeprovinciales Ständerecht*).

Niemniéj jednak pozostanie niepożytą zasługą Bunge'go, że w obszernych swych pracach naukowych: *Forschungen aus dem Gebiete des römischen Rechts in dem Ostseegouvernements Russlands*, zarówno jak: *Forschungen aus dem Gebiete des Privatsrechts der baltischen Lande* i w wielu innych poważnych dziełach z tego zakresu wiedzy, uporządkował naukowo całkowity system prawny krajów nadbaltyckich. Jako znakomity profesor jedynego uniwersytetu krajowego, stał się założycielem nowéj szkoły prawniczéj, która odtąd pracowala już stale w kierunku przez założyciela wytkniętym, rozszerzając coraz bardziéj zakres téj gałęzi umiejętności prawnéj. Jako ostatnie ogniwo tych dawnych studyów dorpackich prawniczych, rów-

nie wytrwale jak sumiennie i umiejętnie prowadzonych, przedstawia się obecnie czytelnikowi sympatyczna książka, przytoczona w nagłówku.

Pracę swoją doprowadził ś. p. prof. Schmidt zaledwie do drugiéj połowy roku 1888-go; nie dotyka więc już ona roku 1889-go, który dla prawnego życia prowincyi nadbaltyckich tak niepomiernéj był doniosłości. Paragraf 135-ty i ostatni, dotyczący wprowadzenia w owym właśnie roku rosyjskiéj reformy sądowéj do krajów tutejszych (ob. str. 361 — 366) dodany został przez wiernego u c z n i a - w y d a w c ę dla uzupełnienia obrazu.

III. Dr. Lehman Eduard: „Flora von Polnisch-Livland mit besonderer Berücksichtigung der angrenzenden Florengebiete“ i t. d. („Archiv für Naturkunde Liv- Est- und Kurlands“, 2-te Serie, XI Lieferung. Dorpat, 1895, stron 432 w wielkiéj 8-ce, z dodaniem mapy).

Ta równie ciekawa, jak pouczająca, książka zestawia skrzętnie wyniki dotychczasowych badań roślinności nietylko w obrębie bezpośrednio znanego autorowi dawnego księstwa inflanckiego, czyli tak zwanych Inflant polskich (stanowiących, jak wiadomo, już od roku 1802-go trzy rozległe powiaty gubernii witebskiéj, a mianowicie: dyneburski, rzeżycki i lucyński), lecz wogóle w guberniach: inflanckiéj czyli ryskiéj, kurlandzkiéj, estońskiéj, witebskiéj, kowieńskiéj, wileńskiéj, grodzieńskiéj, mińskiéj, mohylewskiéj, a nawet pskowskiéj i petersburskiéj.

Najbardziéj atoli wyczerpująco opisana jest f l o r a I n f l a n t p o l s k i c h, którą całkiem samodzielnie opracował szan. autor na podstawie trzydziestoletnich badań swoich w tymże kraiku, który od lat kilkudziesięciu, jako praktykujący lekarz, zamieszkuje stale, czyniąc corocznie wycieczki botaniczne.

W pracy swojéj spożytkował dr. Lehmann kilkaset dzieł, pomiędzy innemi także 26 rozpraw botaników polskich, przyczém wyraża wielkie uznanie wydawanemu w Warszawie „Pamiętnikowi fizyograficznemu”, skupiającemu w sobie owoce poszukiwań krajoznawczych. Zastanawiającą wszakże jest okoliczność, że autor, znający dobrze język polski, nie przytoczył ani razu pracy swego poprzednika, Józefa Gerald-Wyżyckiego, który w połowie bieżącego stulecia wydał znane botanikom polskim dzieło dwutomowe p. t.: „Zielnik ekonomiczno-techniczny” (Wilno, 1845), z uwzględnieniem zwłaszcza „Inflant polskich i prowincyi je otaczających”. Dziełko to dwutomowe, w swoim czasie

cieszyło się większém uznaniem, niż wiele innych ksiąg botanicznych polskich, przytoczonych przez szan. autora.

Cenną swą pracę podzielił p. L. na dwie części. Z tych pierwsza, ogólna, zawiéra przegląd zużytkowanéj przez niego literatury botanicznéj. Po nim następuje rzut oka historyczny na wyniki badań botanicznych w obrębie Inflant polskich i krajów je otaczających, poczém daje szan. autor obraz treściwy stosunków hydrograficznych, orograficznych i geologicznych Inflant polskich. Część tę pracy swojéj zakończył charakterystyką roślinności w obrębie dawnego księstwa inflanckiego.

W drugiéj specyalnéj części téjże cennéj książki opisuje autor szczegółowo naprzód niektóre pod względem botanicznym nader ciekawe miejscowości Inflant polskich, przedstawiając w ten sposób cenny materyał do studyów porównawczych.

Potém następuje rozdział pod tytułem *Die indigenen Florelemente und ihre Vegetationsgrenzen*, w którym traktowane są geologiczne elementa flory polsko-inflanckiéj wraz z dokładném określeniem granic przez tę wegetacyą zajmowanych. Z kolei przechodzi autor do najtroskliwiéj przezeń opracowanego rozdziału pod tytułem: *Die advenen Florelemente und ihre Verbreitung durch den Menschen und seine Transportmittel*, gdzie przedstawia obraz rozszerzania się roślin ze stref oddalonych za przypadkową pomocą komunikacyi już to wodnych, już to lądowych, a więc przez statki wodne oraz pociągi kolei żelaznych, roznoszące najmimowolniéj rozmaite nasiona przy przewozie towarów. Jest to jeden z najciekawszych i najbardziéj pouczających rozdziałów téj cennéj książki.

Atoli najobszerniéj traktowana jest część systematyczna dzieła pana Lehmana, układana według systemu Hausteina. W nomenklaturze botanicznéj trzyma się autor prof. Aschersona, idąc w tém za przykładem nadbaltyckiego botanika Klinge'go i jego dzieła: *Flora der Ostseeprovinzen.*

Z flory Inflant polskich przytacza i szczegółowo opisuje dr. Lehmann 819 rodzajów, 336 odmian oraz 48 form, a także 33 roślin zdziczałych, ogółem 1,236; z flory zaś prowincyi ościennych podaje roślin 1,338, 767 i 183, 146, ogółem 2,434.

Jak wielkiém uznaniem cieszy się w świecie naukowym znakomita praca d-ra Lehmana, poświęcona roślinności Inflant polskich i krajów ościennych, tego najwymowniejszym dowodem to, iż w ciągu niewielu miesięcy, odkąd się ta książka na półkach księgarskich, ukazała, omawiali mężowie fachowi w łamach najpoważniejszych pism

naukowych z tėj dziedziny wiedzy, że tylko przytoczymy leżące w tėj chwili przed nami.

1. *Botanisches Centralblat*, tom I, XV, Nr. 4, sprawozdanie o dziele dr. Lehmana, napisał w niėm dr. H. L. Krause.

2. *Pettermanns Geografische Mittheilungen* z r. 1895, referat o tėjże książce podał prof. Drude.

3. *Verhandlungen der k. k. zool. botanischen Gesellschaft in Wien* z r. 1895, referat skréślił dr. Knapp.

4. Berlińskie czasopismo: *Naturwissenschaftliche Wochenschrift*, Nr. 8-my z r. 1896-go, a w niėm na str. 93 — 96 recenzya profesora Aschersona.

5. *Oesterreichische botanische Zeitschrift* z r. 1896—33, referat o książce Lehmanna skréślił prof. Wettstein.

6. Wychodząca w Karlsruhe *Allgemeine botanische Zeitschrift für Systematik, Floristik, Pflanzengeographie* etc., Nr. 1, z r. 1896-go, w któréj odnośną recenzyę skréślił prof. dr. P. Graebner.

Jakkolwiek dr. Knapp w przytoczonym powyżėj referacie o dziele Lehmanna czyni autorowi zarzut, iż rzekomo zbyt mało zużytkował literaturę monograficzną, pisma balneologiczne oraz tak zwane „pamiatnyja kniżki", wydawane od czasu do czasu przez zarządy gubernialne cesarstwa Rosyjskiego, a nakoniec wylicza szereg roślin, które zdaniem tegoż d-ra Knapp'a, prawdopodobnie dałyby się odszukać w guberniach litewskich Rosyi,—wszakże zaznaczyć należy, że całkowita bezzasadność zarzutów niezwłocznie wykazaną została przez uznane powszechnie powagi naukowe. Przeciw stronniczym wycieczkom w referacie d-ra Knapp'a zaprotestowali bowiem w recenzyach swoich o témże dziele pana Lehmana: prof. Wettstein w Wiedniu (Obacz *Oesterreichische botanische Zeitschrift* z r. 1896, str. 33), prof. Ascherson w Berlinie (Obacz *Naturwissenschaftliche Wochenschrift* z r. 1896, Nr. 8), oraz prof. Gräbner w Karlsruhe (Obacz *Allgemeine Botanische Zeitschrift für Systematik, Floristik, Pflanzengeografie* i t. d. z r. 1896, Nr. 1). Słowa tego ostatniego, jako nader charakterystyczne, niech nam będzie wolno przytoczyć tutaj dosłownie:

„*Ultra posse nemo obligatur. Wir wünschem dem Kritiker* (dr. Knapp'owi), *der in wenig wohlwollenden Weise die kleinen Schwächen und Versehen, die sich wie in jedem—selbst dem bestem—umfassenden Werke auch hier finden, theilweise wohl sogar mit Unrecht, hervorzuheben bemüht ist, dass seine eigene künftige Arbeit nicht allzusehr hinter d i e s e r Flora zurückstehen möge!*"

Podzielając całkowicie powyższe zdanie prof. Gräbnera, zaznaczyć tu winniśmy, że całe dzieło d-ra Lehmanna wzbudza w czytelniku zaufanie ku autorowi i wywodom jego. Nietylko bowiem podaje ono wciąż czytelnikowi sposobność do śledzenia i dochodzenia wiarogodności przytaczanych źródeł, oraz przekonywania o gruntowności naukowych badań szan. autora, ale zarazem wywiera wrażenie nader sympatyczne z powodu jasności i niezrównanéj prostoty, z jaką autor przedstwia czytelnikom ten owoc poważnéj i długoletniej pracy swojéj. *G. Manteuffel.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Karoi Prozor** obożny w. W. Ks. Litew. przez *Maryana Dubieckiego.* Kraków r. 1897, str. 335. — Literatura historyczna, a zwłaszcza epoka kościuszkowska w powyższém dziele zyskała źródłową pracę rzucającą jasne światło na życie obywateli na wschodnich prowincyach Rzeczypospolitéj, w końcu zeszłego sutecia. Karol Prozor syn wojewody witebskiego jest wybitnę postacią, znany dotąd pobieżnie, z powodu konferencyi jaką miał z Kościuszką w Dreźnie, dzięki pracy zaszczytnie znanego historyka p. Maryana Dubieckiego staje się postacią przejrzystą, Już z wczesnéj młodości zwrócił na siebie uwagę obywateli, którzy oceniając w nim pewność i naukę powierzają mu zaszczytny urząd deputata trybunału i obożnego w. W. Ks. Litewskiego, a niezadługo oddają laskę marszalkowską najwyższéj sądowniczéj instancyi. Jak był niezależnym na tém stanowisku, dowodzi przegrana procesu Radziwiłła panie kochanku z biednym szlachetką Górskim. Rzecz niesłychana, to téż przegrana uczyniła wielkie wrażenie nie tylko na Litwie ale i w Koronie. Po konfederacyi Targowickiéj idzic na emigracyę—wraca jednak po dwóch latach tułaczki w rodzinne strony, czynny biorąc udział w ówczesnych wypadkach. Zostawiwszy majątki swoje i żony, z domu ks. Szujskiéj, składa na potrzeby narodowe milion złp. — sam zaś krajowi służy jako naiwyższy pełnomocnik na Litwie. Po wzięciu Warszawy w r. 1794, Prozor pędzi żywot tułaczy i pierwszy wraz z Wybickim daje impuls do utworzenia legionów. Po wstąpieniu na tron Aleksandra I, dzięki amnestyi udzielonéj przez Cesarza, wraca do kraju. W roku 1812, w czasie pobytu Napoleona na

Litwie i mianowania przez Bonapartego, rządu tymczasowego na Litwie—Prozor obejmuje przewodnictwo w ministeryum skarbu. Była to ostatnia publiczna czynność Prozora—ale nie ostatnia przykrość jakiéj doznał w życiu. Zmarł w Chojnikach, rodzinnéj włości, w r. 1841. Pan Dubiecki książkę swoją opracował wyłącznie na podstawie archiwum rodzinnego Prozorów, które za dni obożnego było obfite, lecz podczas różnych klęsk krajowych ulegało częściowym szkodom, a może całkowicie uległoby zagładzie, gdyby w r. 1880 p. Bronisław Kleczyński ziemianin wołyński nie kazał pod swojém okiem całego archiwum przepisać. Autentyczne kopie złożone zostały u Kraszewskiego, który zamierzał pisać o obożnym. Po śmierci Kraszewskiego archiwum dostało się do rąk p. Dubieckiego, który je wyzyskawszy do swojéj pracy, złożył w bibliotece Jagielońskiéj. Oryginały, które pozostały w ręku potomków rodziny obożnego sprzedane zostały. Monografia poświęcona jest pamięci ziemian: Owruckich, Mozyrskich, Rzeczyckich, Żytomierskich i Radomyskich. Styl potoczysty, język odznacza się czystością; w wielu miejscach spotykamy dobrze zastosowane dawne, rdzennie polskie formy językowe jak: „królewic", „zabaczyć" i t. p. Rzecz cała czyta się jak powieść, chociaż stanowi poważne źródło naukowe, bo autor legendom wątpliwéj wartości i tradycyom wstępu do pracy swéj nie dawał. *Mieczysław Offmański.*

= *Znicz.* (*Marya Paprocka*). **Uśmiech życia**, powieść. (Warszawa. Gebethner i Wolff, 1897, str. 339).—Jestto jeden z najdojrzalszych utworów młodo a tak nieszczęśliwie zmarłéj autorki. Zapoznaje nas on ze światem arystokratycznym, używającym życia bez trosk i niepokojów społecznych, ale ze świadomością próżni wewnętrznéj i braku celu. Rozpoczyna się od obrazka świéżego i interesującego. Samotna staruszka, hrabina Tenczyńska, dystyngowana, chłodna, wyrozumiała na słabostki światowe, ma przy sobie siostrzenicę Janinę, młodą, ładną, dobrą, co niedawno ukończywszy edukacyę w klasztorze, jest jeszcze w całości przejęta żywotami świętych i chętnie rozczytując się w dziełach ś. Teresy, pragnie zostać do niéj podobną i tłumi w sobie zachcianki ziemskie. Panna Janina jest naturą prawą i poważną, dumną przytém, lecz w sposób szlachetny; połowiczności w uczuciach i postępowaniu nie lubi, flirtu nie pojmuje. Hrabia Władysław Tenczyński czyni na niéj silne wrażenie, lecz ponieważ jest zajęty świetną damą salonową, panią Julią Nessel, więc Janina, nie spodziewając się obudzić w nim wzajemności, postanawia wstąpić do klasztoru. Niczyje przeło-

żenia nie mogą jéj odwieść od powziętego zamiaru; zostaje tedy nowicyuszką. Tymczasem Władysław, słynący z podbojów salonowych, pociągnięty powabami pani Julii, nie mogąc jéj zbałamucić, wynurza chęć poślubienia jéj; zaco zostaje wyśmiany. To daje ostrogę jego znudzonemu, trochę apatycznemu usposobieniu. Zmienia taktykę postępowania; staje się bardzo śmiałym i złośliwym, oświadczyny swoje obraca w żart i podstępem zawozi Julię do Wiednia, a potém do Szwajcaryi. Pełna sprzeczności natura hrabiny podobała sobie w energicznym, a nawet brutalnym nieco postępku Władysława i nie zważając na możliwe plotki, oddaje się upojeniom chwili. Naturalnie stosunek taki nie mógł trwać długo i zakończył się rozdźwiękiem; Władysław i Julia rozstali się z sobą wówczas na zawsze; do przyjaznego względem siebie usposobienia wrócić już w żaden sposób nie byli w stanie. Śmierć owéj staruszki osamotnionéj, która zapisała siostrzenicy swojéj fundusz znaczny, zmusiła Janinę do opuszczenia klasztoru na czas pewien. Wtedy ponownie spotkała się z hr. Władysławem, który tym razem zwrócił na „nowicyuszkę" większą niż dawniéj uwagę i doszedł do tego przekonania, że taka dobra, szlachetna, prawdziwie anielska dziewczyna byłaby dla niego najlepszą, najodpowiedniejszą żoną. Nie potrzebował wiele zabiegów, ażeby w sercu Janiny rozdmuchać płomień uczucia, gdyż płomień gorzał już w niém oddawna. Lecz co innego uczucie, a co innego oddanie ręki. Janina, powiadomiona o zerwanym stosunku Władysława i Julii, w poczuciu sumienności nie chce hrabinie odbierać mężczyzny, który powinien, dla naprawienia krzywdy wyrządzonéj, z nią się ożenić. Władysław nie umié i nie może wytłomaczyć „nowicyuszce" jasno tego, że ostatecznie Julia nie czuje się bardzo pokrzywdzoną i że wyjść za hrabiego terazby nie chciała. A przytém Władysław, sądząc po sobie i po swojém otoczeniu, poczytuje skrupuły Janiny za rzecz błahą, która musi ustąpić miejsca prawdziwemu a żywemu uczuciu. O mało co jednak nie przerachował się w téj mierze wytrawny, lecz znudzony lew salonowy, nie znający widocznie natur prawych i niepołowicznych. Tylko nieszczęściu zawdzięczał swe szczęście. Wplątany w pojedynek z powodu pani Julii, zupełnie przypadkowo miał przestrzełoną rękę tak fatalnie, że musiano mu ją uciąć. Piękny salonowiec znajdował się w stanie zupełnego niemal otrętwienia, gdy zjawiła się u niego Janina i sama już teraz oświadczyła chęć zostania jego żoną. Charaktery główne i podrzędne są bardzo dobrze rozwinięte i utrzymane we właściwym sobie psychicznym nastroju w całości opowiadania; prawie nigdzie nie potrzebujemy się zżymać na autorkę, iż każe osobistościom swoim tak mówić i tak działać, jak mówić i działać nie byłyby powinny. Władysław Tenczyń-

ski jako wykształcony, zręczny, dowcipny sceptyk, nie rezygnujący jednak bynajmniéj z uciech życia i w głębi duszy szlachetny; hrabina Julia jako nerwowa, kapryśna, złośliwa, zalotna wdówka, poszukująca wszędzie wielbicieli, poczynając od studentów; Janina jako szczera, prawa, serdeczna, więcéj o innych niż o sobie myśląca panna, od początku do końca, we wszystkich przejawach i modyfikacyach swoich są sobie wierni i należycie umotywowani. W układzie natomiast są dość znaczne usterki. Nieproporcyonalność w rozwinięciu niektórych epizodów sprawia, że powieść nie czyni zupełnie harmonijnego wrażenia; pewne sceny należałoby skrócić, a inne rozszerzyć. Nie wdaję się w szczegółowe wykazywanie tych stron ujemnych, gdyż nie miałoby to już obecnie celu; autorka bowiem już nie żyje. Tyle więc tylko powiem, że „Uśmiech życia" był ważnym krokiem naprzód w rozwoju talentu ś. p. Paprockiéj i zawiéra kilka figur wykonanych nie tylko poprawnie, lecz także z niemałym talentem. Autorka dążyła do zrównoważenia sił swoich; nie ma więc w jéj utworze scen odcinających się dobitnością od innych, ale jest znaczna staranność w kréśleniu każdéj. Usterek językowych jest już w téj powieści niewiele; a wszystkie one należą do kategoryi tych, które obecnie grasują w naszém piśmiennictwie jako mikroby cudzoziemskiego pochodzenia.

— **Studentka** przez *Anielę Milewską*. (Poznań, 1896, str. 94). Niedawno zmarła autorka, a zarazem obywatelka wiejska, która od r. 1873 na polu piśmiennictwa dramatycznego, powieściowego i publicystycznego pracowała sumiennie, ale bez szerszego rozgłosu, w ostatnim utworze swoim p. t. „Studentka" starała się przedstawić rozdźwięk zachodzący pomiędzy otoczeniem bliższém i dalszém pogrążoném w tradycyjnych formach bytu a jednostką kobiecą wybitniejszą, która pod wpływem haseł emancypacyjnych zwróciła się do nauki, skończyła uniwersytet i pragnęła w zakresie nauk przyrodniczych się odznaczyć. Magdalena Rudzka, jedynaczka zamożnych ziemian, pieszczona i trochę kapryśna, dostawszy się na pensyę, z wykładów nauczycieli przejęła to pojęcie, że „żyć to wpleść się w koło ogólnego życia ludzkości, zdobyć naukę, wynaléźć nowe drogi i poprowadzić niemi nowe pokolenie." Postanowiła dążyć w tym kierunku, podtrzymywana entuzyazmem dwu mianowicie koleżanek: Jadwigi i Malwiny. Krótko zbywa autorka dobę młodocianych uniesień, przechodząc co prędzéj do obrazu rozczarowań. Po ukończeniu studyów, osiadłszy w majątku rodziców, zajęła się Magdalena badaniami chemicznemi, ale niebawem zniechęciła się do nich, straciwszy nadzieję rychłego odkrycia czegoś takiego, coby mogło wpłynąć na poważną zmianę w dziedzinie nauki

i oddziałać na życie ludzi. Jakiś niepokój, jakaś tęsknota opanowała jéj duszę. Jedna z jéj koleżanek wyszła za mąż, druga została nauczycielką. Zjeżdżały się na t. zw. przez siebie „rekolekcye", mile czas spędzały, lecz urzeczywistnienia marzeń swoich młodocianych doczekać się nie mogły. Matka Madzi, kłopocąc się o jéj przyszłość, wyprawiła bal, na którym studentka pierwszy raz do szału się rozbawiła i zakochała w człowieku zużytym, marnotrawcy, który z wielkich zasobów, pozostawionych przez rodziców, nic już nie posiadał; ale obyty w świecie, zręczny, dowcipny, salonowy. Rodzice byli przeciwni myśli oddania swéj córki birbantowi, a gdy i obie przyjaciółki w tym samym duchu zdanie swe wypowiedziały, Madzia przemogła się, szukała zapomnienia w staraniach około zdrowia ludności wiejskiéj, zakładając szpitalik. Naturalnie, że te zajęcia nie mogły wypełnić jéj duszy, młodość domagała się praw swoich. Madzia poznawszy młodego, niezbyt ładnego doktora, gotowa mu była oddać rękę, ale konkurent zrażony dumą matki Madzi, usunął się. Jeszcze na jednym balu starano się zbliżyć Madzię z jakimś synem obywatelskim, ale studentka miała już dosyć tych prób; podrażniona, głośno przy kolacyi zaczęła dowodzić, że kobiety dzisiejsze nie mogą się godzić na małżeństwo w takiéj formie, w jakiéj ono istnieje, że muszą nastać pod tym względem ważne reformy, że bale urządzane w celu złapania konkurentów, są poprostu nieuczciwością, że szanująca się kobieta do takich środków uciekać się nie powinna... Madzia nie wyszła za mąż; wioskę swoją rodzinną polubiła całą duszą, niewiele myślała o sobie, pragnęła rozwoju gospodarstwa, z którém zaznajomiła się teoretycznie i praktycznie; pocieszał ją widok dobrobytu i oświaty wzrastającéj między tą masą szarą, „dźwigającą na swych barkach podwalinę społeczną"; czuła się potrzebną na swym posterunku; niepokoje i tęsknoty serca znikły; była prawie szczęśliwą. Malwina została nauczycielką w szkółce założonéj przez studentkę i pracowała gorliwie nad oświatą wieśniaków. Ani wielką fantazyą plastyczną, ani stylem powieść ta się nie odznacza; rozumne wszakże myśli rzucone tu i owdzie, bezstronne stanowisko w ocenie różnych rodzajów i kierunków działalności ludzkiéj, uczucia szlachetne i prawe, ożywiające całość, każą nam uważać książeczkę tę za pożyteczną, niektóre sceny—za szczęśliwie wykonane.

— *Maryan Gawalewicz.* **Szubrawcy**, powieść, 3 tomy. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896, str. 277, 212, 243). Znane zalety pióra p. Gawalewicza: łatwość i potoczystość opowiadania, żywość i dowcip w rozmowach, a przytém dobra znajomość rozmaitych sfer towarzyskich, oraz doniosłość tematu, poruszającego jednę z najważniejszych

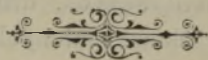
kwestyi bieżących, są ozdobą i najnowszego jego utworu, zjawiającego się w formie książkowéj. Dążność do obalania zapisów testamentowych na rozmaite cele filantropijne, ujawniona niejednokrotnie ostatniemi czasy w szeregu procesów, obojętność opinii publicznéj, tolerującéj zamachy tego rodzaju, dokonywane przez członków rodziny zmarłego czy zmarłéj, dbających jeno o swą własną korzyść, podały autorowi sposobność do roztoczenia przed oczyma wyobraźni naszéj całego zastępu osób, które w mniejszym lub większym stopniu szubrawcami nazwać można, bez względu na to czy są utytułowane czy nie. O każdéj z tych osób należy powiedziéć, iż w początkach swego wystąpienia na scenie powieściowéj dobrze została nakreślona, czy to będzie udający wytwornego salonowca baron Phalern, czy oburkliwy „niedźwiedź" Orsza, czy wożąca na pokaz zamorusane i obdarte pociechy swoje pani Szubina, czy szorstki i dumny nieco ze swego chłopskiego pochodzenia dr. Pniak, czy schorowana zapisodawczyni Krokowska, czy zapatrzony w nią jéj małżonek, czy zresztą jakakolwiek nawet podrzędna figura. Nie można jednak z takimże spokojem sumienia krytycznego dodać, iż w dalszym ciągu postaci te rozwijają się i działają zgodnie z pierwotnie nakréślonym charakterem. Jużci zachowują i nadal pewne rodowe podobieństwo, ale nie czujemy tego, iżby w miarę wikłania się akcyi osobistości te uwydatniały się coraz lepiéj, iżby przedstawiały z nieodbitą konsekwencyą swych usposobień i nałogów. Wprost przeciwne nawet zrobić możem spostrzeżenie, że niektóre figury, silnie zaznaczone z początku, zacierają się i niemal znikają w dalszém opowiadaniu. Skąd to pochodzi? Zdaje mi się, iż z wielkiéj luźności kompozycyi, ze złego przyzwyczajenia do pisania powieści z numeru na numer. W ciągu takiego dorywczego tworzenia, gdy już takie lub owakie sceny zostały wydrukowane, przychodziły autorowi rozmaite pomysły, mające posłużyć do urozmaicenia felietonów, pomysły, które w pierwotnym planie może wcale nie istniały. Raz wprowadzone, musiały być z kolei rozwiniętemi i w ten sposób jednolitość budowli zacierała się coraz bardziéj; powstawał natomiast szereg odrębnych budynków luźnie tylko połączonych ze sobą. Powtóre, przyczyną niespójności części składowych mogło być także i to, że autor saméj sprawy obalania testamentów nie wystudyował należycie pod względem prawnym w całym jéj przebiegu, a stąd nie umiał dobitnie i wyraźnie zaznaczyć faz jéj poszczególnych, od których w znacznéj mierze musiało zależéć zachowanie się „szubrawców." P. Gawalewicz poprzestaje w téj mierze na ogólnikach, nie mogących dać należytego o rzeczy wyobrażenia. Zapewne, że strona czysto techniczna prowadzenia nie mogłaby zainteresować ogółu, gdyby przed-

stawioną była w sposób suchy, sprawozdawczy; ależ od tego właśnie powieściopisarze mają właściwy sobie talent, żeby opiérając się ściśle na danych rzeczywistych, niewątpliwych, umiéć pochwycić cechy znamienne i odtworzyć je z taką siłą, z taką plastyką, iżby porwać za sobą opornych nawet czytelników. Gdy się nie zna jakiéjś sprawy dokładnie, gdy argumenty z a i p r z e c i w nie są wyłożone w sposób jasny, dobitny i charakterystyczny, to zajęcie tą sprawą nikomu wszczepić się nie da; a co ważniejsza ocena postępowania téj i owéj strony jest wielce utrudniona. Dlatego to zapewne p. Gawalewicz, chcąc wywołać oburzenie względem „szubrawców", musiał używać coraz to mocniejszych, a raczéj jaskrawszych barw do ich odmalowania, tak iż pierwotny ich rysunek poprawny zacierał się, ustępując miejsca rysom trochę karykaturalnym. Natomiast osoby dodatnie w powieści, a mianowicie główny obrońca testamentu dr. Pniak, blakną w czasie trwania procesu, bo albo chorują, albo téż nic nie działają. Niewątpliwie, pragnął p. Gawalewicz uniknąć zarzutu, iż tworzy doskonałość papierową, jakiéj w świecie rzeczywistym nie ma, i dlatego nie chciał nadawać swemu doktorowi roli wybitnie czynnéj, gdy oddawszy sprawę adwokatom, sam poprzestawał na czuwaniu nad obłąkanym Krokowskim i nad swoim szwagrem pijakiem. W zasadzie takie miarkowanie się w tworzeniu postaci dodatnich jest słuszne, o ile odpowiada zadaniu artystycznemu; gdy jednakże chybi w tym względzie, to powstają figury blade, nie mogące zająć nikogo i nie mogące zrównoważyć wrażenia ujemnego, jakie się odnosi z przypatrywania się postaciom złym i przewrotnym. P. Gawalewicz nie chciał bynajmniéj pozostawiać wrażenia pesymistycznego, owszem w zakończeniu powieści pragnął przez usta d-ra Pniaka wlać niejaką otuchę w serca, że przecież pomimo chwilowego zwycięstwa nikczemności, nie można rozpaczać o społeczeństwie wogóle. Otucha ta byłaby lepiéj uzasadniona, gdyby postaci dodatnie w saméj powieści silniéj swą działalność zaznaczyły.—Do figur najlepiéj, najznamienniéj wykonanych należy dekadent Włodziński, zdolność niepospolita zmarnowana, w kieliszku szukająca zapomnienia, ale jeszcze w tym upadku przewyższająca i głową i sercem swoje otoczenie. Czuć na téj figurze, że była tworzona z żywego modelu; zasób sarkastycznego dowcipu i oryginalnych porównań jest we Włodzińskim tak wielkim, że szkoda go było zużywać na postać epizodyczną. Niezłą jest także osobistość dziennikarza Szuby, rosnącego szybko w znaczeniu nie wskutek talentu, lecz przez sprytne wyzyskiwanie znajomości i stosunków. Ponieważ takie istoty są mikrobami bardzo zaraźliwemi w piśmiennictwie, wartoby ich życie

szczegółowiéj i dobitniéj wyprowadzić na jaw i wskazać ich różnicę od literatów i dziennikarzy, sumiennie obowiązki swoje pełniących.

= *Kazimierz Laskowski.* **Dygnitarze wioskowi**. (Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1897, str. 63). — Obrazki, nakreślone w téj książeczce, wzięte zostały, jak wnosić wolno z jednéj wskazówki tu zawartéj, z życia ziemi proszowskiéj i nastręczają możność porównania z sylwetkami narysowanemi przez innych pisarzy naszych, a zwłaszcza Sienkiewicza w „Szkicach węglem" i Sewera w „Przybłędach," P. Laskowski nie posiada talentu ani jednego ani drugiego, ale podaje wyniki obserwacyi swoich w sposób dosyć poprawny, niekiedy tylko wyszukaną i zawikłaną frazeologią zeszpecony. Satyrycznie zabarwioną, lecz bez karykatury jest postać pisarza gminnego pana Anzelma Grzechotki, umiejącego wyciągać i z dworu z gminy poważne dodatki do swojéj pensyi, 150 rubli wynoszącéj. Bardzo miłą jest osobistość wójta Stanisława, który nie daje się powodować pisarzowi, lecz nauczywszy się pisać, obdarzony zdrowym rozsądkiem, znając doskonale potrzeby swojéj gminy, spełnia obowiązki sumiennie i dobrze, pozyskuje sympatye i szacunek zarówno wśród najbliższego jak i dalszego otoczenia. Zabawny jest wreszcie obrazek wójta Walentego Karpiela, którego na godność tę wywiodła żona Magda, poświęciwszy podświnka dla pozyskania głosów gromady, lecz źle na tém wyszła, bo mąż się rozpił i dobytku nadszarpnął.

= *R(oman) Brandt.* **Lenora, Ludmiła i Neryna**. Notatka z literatury polskiéj (po rosyjsku). Warszawa 1896, str. 16. Jestto bardzo starannie obrobione zestawienie ballady Tomasza Zana p. t. „Neryna" z balladą poety rosyjskiego Żukowskiego p. t. „Ludmiła", będącéj przeróbką „Lenory" Bürgera. Autor wykazuje dowodnie, że Zan był tylko tłomaczem utworu Żukowskiego, bardzo drobnych tylko zmian dokonawszy. Gdzieniegdzie tłomacz nie rozumiał należycie języka rosyjskiego i wprowadzał do swego przekładu wyrażenia niepoprawne lub niewłaściwe np. w strofie 16 „b e z d u s z n y łańcuch" powstał widocznie pod wpływem „wozdusznoj ciepi" Żukowskiego. P. Brandt nie znał pracy p. Józefa Kallenbacha p. t. „Kilka słów o balladzie p. t. Neryna" (drukowanéj r. 1888 w XIII tomie „Rozpraw i sprawozdań wydziału filologicznego Akad. Um."), gdzie już zależność Zana od Żukowskiego wskazano. Przy końcu swéj rozprawki p. Brandt podaje przedruk „Neryny."



Przednówek polityczny.

Dwa zbiory dokumentów urzędowych, angielska „księga błękitna” i francuska „księga żółta”, ogłoszone dla użytku parlamentarnego, dają obraz obecnego stanu spraw na Wschodzie tureckim, w ciągu ostatnich lat trzech, 1894—97, aż do chwili zbrojnego wystąpienia Grecyi na Krecie. Zawartość całego tego materyału możnaby streścić w trzech wyrazach, stanowiących zarazem tytuł obrazu, odpowiadający przedmiotowi: „k o n a n i e chorego człowieka”. O stronności przedstawienia faktów ze stanowisk tak biegunowo różnych, nie może być mowy, gdyż widoki Anglii i Francyi nad Bosforem nie zbiegały z sobą, a wspólność ich działania jest dopiéro zagadnieniem najbliższéj przyszłości. Obłęd, upór, fanatyzm, brak jasno sformułowanego planu postępowania, zupełna nieświadomość istotnych zasobów państwa opętanego papiérową pomyślnością raportologii urzędniczéj; bankructwo, pustka, odłużenie skarbu; administracya zarozumiała, niezdarna, rozprzężona, do najwyższego stopnia nieudolna; wojsko zdemoralizowane, odarte, zdziczałe; flota spłądrowana, gnijąca na kotwicy — taki jest najogólniejszy bilans chwili bezpośrednio poprzedzającéj napaść Greków. Po za tém, jako widmo tryumfów odniesionych w ciągu lat trzech z téj i z tamtéj strony cieśnin, staje: czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy chrześcian zamordowanych, drugie tyle nawróconych na muzułmanizm, kilkaset wsi i miast spalonych lub z ziemią zrównanych,

trzykroć sto tysięcy ludzi puszczonych z torbami, pozbawionych ostatnich środkich do życia...

Nad wyrównaniem i pogodzeniem z sobą tych resztek naradzały się w dalszym ciągu mocarstwa europejskie jeszcze w początkach lutego. Wszystko zdawało się wracać do sytuacyi normalnéj. W Paryżu i w Berlinie pojono się odgłosami toastów na cześć nowomianowanego rosyjskiego ministra spraw zagranicznych; w Konstantynopolu przycichł nawet komitet rewolucyjny młodoturecki: zamiast odezw do ludów i dworów zagranicznych, rozpisywał téż tylko listy do wyższych urzędników tureckich, cywilnych i wojskowych, żądając w wyrazach umiarkowanych, niemal uniżonych, „zmiany zgubnego dla cesarstwa systemu rządowego”. Na Krecie tymczasem, jak się zdawało, pozostał jedynie drobiazg do sturczenia lub wyrznięcia. W. Porta, oczekiwała na gotówkę z Paryża, skąd, w końcu stycznia, nadeszło zapewnienie, że „lubo bank ottomański odmówił zaliczenia całego miliona funtów tureckich, to jednak rokowania ambasadora Porty z Rotszyldem są na ukończeniu, w kwestyi zaś rękojmi pożyczki nastąpiło całkowite porozumienie pomiędzy hr. Murawiewem a francuskim ministrem spraw zagranicznych.” Projekt reform, wykończony szczegółowo, rozesłano gabinetom: p. Nelidow zażądał tylko nowych instrukcyi z Petersburga. Nie zwrócono uwagi na telegram z Aten (31 stycznia): „Dwa okręty greckie udały się na wody kreteńskie.” W dzień późniéj donoszono z Aten: „Wobec groźniejszych stosunków na Krecie niepodobna myśléć o wprowadzeniu reform. Wypadki kreteńskie świadczą, że droga, na którą wstąpiły mocarstwa, jest błędną. Pomysł organizacyi żandarmeryi zawiódł; jedynym środkiem przywrócenia na wyspie spokoju jest uwolnienie Krety z pod władzy tureckiéj... „Do portu w Kanei wpłynęły dwa okręty greckie, które ludność powitała z zapałem. Marynarze greccy wysiedli na ląd...” Wiedeń, 8 lutego. *Fremdenblatt* ostro się wyraża o postępowaniu Grecyi, która otwarcie stanęła po stronie powstańców kreteńskich.” Londyn, 11 lutego: „Dowódca eskadry angielskiéj na wodach kreteńskich otrzymał rozkaz porozumienia się w razie potrzeby z komendantami austryackim i niemieckim.” Gibraltar, 12 lutego: „Na morzu Śródziemném Anglia posiada siły zapewniające należną powagę jéj udziałowi w koncercie europejskim. Na wschodnich pobrzeżach rząd angielski rozporządza czterdziestu okrętami wojennemi; w zatoce Bezika skoncentrowano dwadzieścia dwa okręty.”

Pomijamy ojcowskie napomnienia, udzielone posłom greckim przy rozmaitych dworach z okoliczności, że pułkownik Vassos, zająw-

szy Kretę, ogłosił jéj połączenie z Grecyą, że rząd ateński lekkomyślnie wystawił na szwank spokój świata i t. p. Natomiast zaznaczamy, powodzenie wiadomości—odwołanéj nazajutrz i znów stwierdzonéj — że cesarz Wilhelm staje na czele poskromicieli zachcianek greckich i bierze w swe ręce interesa zachowawcze Europy, cywilizacyi, przyszłości. Kilka dzienników paryskich, mniéj uważnych na niewłaściwość przypisywania monarsze niemieckiemu roli tak dalece podrzędnéj, ofiarowały mu z tego powodu honorowe obywatelstwo świata jako dobroczyńcy ludzkości.

Przerzućmy jeszcze kilka kartek zmierzających ku marcowéj dobie wypadków, z których zatrzymajmy przy sobie, — na pamiątkę, fotograficzną odbitkę dnia tylko jednego — któregokolwiek. Rozwieje się to wszystko niebawem, rozproszy jako mgła; ponieważ jednak zarówno głupstwo ludzkie, jak i rozum są nieśmiertelne, przeto jutro, pojutrze, za kwartał, coś z tego zmartwychwstanie.

Koniec lutego, Hamburg: Koncert mocarstw europejskich stanowczo rozbity. Politycznie Europa weszła w stadyum nad wyraz niebezpieczne. Niemcy nie mają najmniejszego powodu obstawania przy całości Turcyi i szczątkach traktatu berlińskiego. Przystosować się należy do planów Rosyi i Francyi, osnutych na tych samych motywach, co i alians z r. 1829 za Karola X, kiedy Prusy, w zamian za rozbiór Turcyi, otrzymać mogły Holandyę. Berlin: Cesarz odłożył wyjazd do Hubertusstok. Na konferencyi z ambasadorem angielskim Rumboldem nastawał na niezbędność blokady Aten i zniewolenia Grecyi do zaprzestania awanturniczéj polityki na własną rękę. Rumbold nie podzielał zdania cesarza, zalecając konieczność przyzwolenia na oddanie Greków kreteńskich—Grecyi. Następnie cesarz naradzał się z ambasadorem rosyjskim baronem Osten-Sackenem. Roztrząsaną była ewentualność powrotu do niektórych założeń traktatu San-Stefano. Jak wtedy Rosya proponowała usamowolnienie Epiru i Tessalii (które kongres berliński do Grecyi przyłączył), oraz Krety (którą tenże kongres niewiadomo dlaczego przy Turcyi pozostawił), tak téż i obecnie należałoby Krecie zapewnić autonomię wyodrębnioną, niezależną w równym stopniu od Turcyi, jak i od Grecyi. Proszony na ponowną naradę ambasador angielski oświadczył, że rząd Wielkiéj Brytanii zgadza się na tę kombinacyę, proponując zaprowadzenie na Krecie samorządu, jaki otrzymała wyspa Samos. Cesarz jednak oznajmił, że przedewszystkiém Grecya wyrzec się musi aneksyi Krety; przeto, zanim się przystąpi do jakichkolwiek rokowań, należy położyć kres sprzecz-

nemu z prawem narodów (?) zachowaniu się Grecyi. Paryż: Rząd francuski odmówił wzięcia udziału w blokadzie Aten; dzienniki przyklasnęły zmianie dotychczasowéj polityki wschodniéj. Minister spraw zagranicznych, Hanotaux, odbył dłuższą konferencyę z ambasadorem rosyjskim, baronem Mohrenheimem. Wiedeń: Cesarz Franciszek Józef odroczył wyjazd do Cap-Martin, a wieść o tém przyjęto na giełdzie jako oznakę położenia nader groźnego, gdyż zdrowie cesarza wymagałoby niezwłocznéj podróży. Jednocześnie hr. Gołuchowski, minister spraw zagranicznych, odbył narady z ambasadorami niemieckim, włoskim i angielskim, poczém dłużéj konferował z cesarzem. Petersburg: Dzienniki z godnością i spokojem omawiają sprawę kreteńską. O Turcyi wyrażają się oględnie, najzwykléj z punktu historycznego. „Trud" podnosi projekt cesarzowéj Katarzyny odbudowania cesarstwa wielko-greckiego dla drugiego jéj wnuka, wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. „Moskowskija Wiedomosti" powtarzają znane zwierzenia cesarza Mikołaja I-go, poczynione w czasie podróży do Londynu, w maju 1844 r., przed królową Wiktoryą, księciem Albertem, Robertem Peel'em i lordem Aberdeen'em w przedmiocie możliwego dojścia do zgody z Anglią na punkcie rozwiązania kwestyi wschodniéj; z powodu poruszonego wtedy pytania o doniosłości traktatów z Austryą z r. 1833 (münchengrätzkich), pokazało się, że Rosya oddawna uważa Serbię i Macedonię za wchodzące w zakres wpływu monarchii rakuskiéj, któréj, pod pewnemi warunkami, przyznane zostało prawo zagarnięcia Serbii i Macedonii. „Nowoje Wremia" zapewnia, że Rosya obojętnie spogląda na zabiegi mocarstw dopóki one nie zahaczają się o Stambuł; dziś Europa jedno tylko ma na celu w Konstantynopolu: zawadzanie Rosyi. „Grażdanin", przeciwnie, utrzymuje, że Carogrodu Rosya bynajmniéj nie potrzebuje, że stać się on może Dalilą dla rosyjskiego Samsona. „Narod" przytacza wyjątki z dyplomatycznéj korespondencyi, poprzedzającéj wojnę r. 1877—78, na dowód, że wobec uroszczeń Grecyi, inne państewka półwyspu Bałkańskiego z trudnością powstrzymać się dadzą od akcyi zbrojnéj; alboż w wojnie serbsko-bulgarskiéj 1885 r. król Milan nie oświadczył posłowi rosyjskiemu Persianiemu, że rozpoczyna kroki zaczepne jedynie dlatego, że przewrót filipopolski rozszerzył granicę Bulgaryi? Inne pisma poprzestają na regestrowaniu faktów spełnionych: że Turcya wojsk do Grecyi nie wysyła z obawy napaści na Starą Serbię i Salonikę, że pułkownik Vassos ustanowił już zarząd cywilny na Krecie, rząd grecki zniósł swoje konsulaty na téj wyspie, w Londynie izba gmin przyjęła bil o uzbrojeniach w drugiém czytaniu...

Co do przyszłości — twierdzić można ze stanowiska meteorologicznego chyba to jedno: że ponieważ nie sposób przypuścić, aby cała ta historya była zmarnowanym epilogiem dwuletniéj komedyi zręcznych pomyłek, zatém jest to zarazem najprawdopodobniéj misterny prolog zakrojonego na kilka aktów dramatu zaczepek na oślep. Bez przyzwolenia i uwzględnienia mocarstw nic się nie stało i nie stanie — to niezawodne; więc, jak dotąd, Grecya logicznie sobie postępuje,—że daje mocarstwom co uwzględniać i na co przyzwalać.

Prawdzic.



Przegląd dramatyczny.

Przedstawienie oryginalnie po polsku napisanego dramatu na scenie warszawskiéj zdarza się rzadko; od ostatniéj tego rodzaju reprezentacyi („Posąg" Wacława Szymanowskiego) upłynęło lat kilkanaście. To téż nie dziwimy się wcale wielkiemu zajęciu, jakie obudził w prasie i wśród publiczności „Turniej" p. Stanisława Kozłowskiego, dany w Teatrze Wielkim 14 lutego po raz pierwszy, a jeszcze na trzeciém przedstawieniu (21 lutego) szczelnie zapełniający salę.

Autor, zdobywszy przed laty 10-ciu palmę pierwszeństwa na konkursie „Wójtem Albertem", nie doczekał się dotychczas próby scenicznéj tego utworu; dopiéro drugi jego dramat „Esterka", napisany wkrótce po tamtym, w osobnéj zaś książce dopiéro teraz wydany, ukazał się na deskach teatru krakowskiego. Za wątek obrał sobie p. Kozłowski do trzeciego dramatu czasy odrodzenia sztuki we Włoszech.

Bujne życie téj doby, potężne namiętności niczém nie krępowane w rozwoju swoim, swoboda obyczajów stykająca się co krok z rozpustą wyuzdaną, a przytém oznaki pobożności zewnętrznéj, zamiłowanie w przepychu, gdzie tylko roztoczyć go było można, udział władz rządowych i tłumów w interesowaniu się sprawami sztuki — dają bardzo bogaty do zużytkowania materyał twórcy dzieła scenicznego; zarówno bowiem obfitują w efekta dla oczu, jak i w grę uczuć — dla serca i umysłu.

Co się tyczy efektów dla oczu, p. Kozłowski wyzyskał je umiejętnie; w każdym akcie umieścił jakąś wspaniałą lub efektowną scenę zbiorową, malującą czy to życie artystyczne z jego upojeniami i zawiściami, czy wystąpienie uroczyste władz florenckich, rozstrzygających

konkurs (turniej), komu mają być powierzone malowidła w nowo wznoszonéj świątyni, czy uczty i zabawy wraz z popisami baletu, czy wreszcie publiczne prowadzenie śledztwa w celu odkrycia mordercy. Widz w teatrze ma wciąż sposobność wchłaniania wrażeń wzrokowych świeżych i urozmaiconych; w każdym akcie nowe dekoracye, w każdym akcie barwne widowisko mnóstwa osób w malowniczych kostyumach malarzy, modelek, tancerek.

Czy temu bogactwu widoków i zmian zewnętrznych odpowiada bogactwo i doniosłość kolizyi dramatycznych? W zasadzie niewątpliwie można dać na to pytanie odpowiedź twierdzącą, bo starcia się wielkich namiętności nie brak pomysłowi, ale wykonaiu musimy zrobić poważne zarzuty.

Zdarzenie, na którém p. Kozłowski osnuł swój dramat, opowiedział u nas obszernie a barwnie Józef Kremer w 1-ym tomie swojéj „Podróży do Włoch". Są tam nawet zarysy charakterów dwóch osób głównych tak podane, jak je pojął autor „Turnieju".

Oto Domenico di Bartolomeo, zwany Wenecyaninem, przejąwszy od Antonella z Messyny tajemnicę stosowania farb olejnych, przybywa do Florencyi i wzbudza uwagę całego miasta dziwnie pięknem malowaniem swojém. „Byle kto ucha nadstawił, już słyszał chwałę obcego artysty, bo smak do sztuki, a zamiłowanie w umiejętności było chlebem powszednim téj zacnéj stolicy."

Żył wówczas wśród grona licznych artystów Andrea del Castagno, „zaiste jeden ze znakomitszych malarzy owego okresu", lecz zarazem „człek, co zaprzedał duszę demonowi pychy i zazdrości." Otóż ten Andrzéj „łasi się Dominikowi, nadskakuje mu udaną przyjaźnią a judaszowym uśmiechem, aż się wśliznął w serce zacne weneckiego malarza." Dominik, „człowiek z duszą ciepłą, pełną życzliwości dla ludzi, zwiedziony chytrą obłudą, przywiązał się cały szczerze do zdrajcy; więc pewnego razu, w chwili przyjacielskiego wylania, wyjawił mu cały tajemny proceder olejnego malarstwa."

Nie zadowolił się tém Andrzéj, miotany „chucią, by on sam stał się jedynie dziedzicem tajemniczego kunsztu". Obaj „razem malowali w kościele Santa Maria Nuova, obaj razem mieszkali i wspólnie jadali i przechadzali się, — co więcéj, Andrzéj wtórował Dominikowi na lutni, gdy ten wyprawiał po nocach serenadki swoim damom. A przecież nie było już dwóch ludzi tak niepodobnych do siebie, jak obaj ci koledzy a przyjaciele. Dość spojrzéć na wizerunek Andrzeja, umieszczony przy żywocie jego w Vasarim, by w téj twarzy o ustach grubych, w tych oczach z ukosa patrzących wyczytać naturę drapieżną, duszę zdradną jadem przejętą. Nie dziwimy się téż, gdy nam prawią,

że mimo wielu zalet jego obrazów, przecież z nich straszy jakaś ponura posępność, że się w nich czai jakiś złośliwy, odpychający demon. Przeciwnie, Domenico Veneziano był człekiem lekkim, wesołym, żyjącym w zgodzie z każdym, lubionym od wszystkich; a nadto śpiéwał pięknie i grał po mistrzowsku na lutni, co mu także niewoliło serce niejednéj piękności."

Charakterystyka Andrzeja i Dominika, podana przez Kremera, przystaje najzupełniéj do ich wizerunku w „Turnieju"; ale rozwinięcie kolizyi i katastrofa są inne. U Kremera nie ma wcale mowy o żonie Andrzeja, Paoli, i jéj pokochaniu się w pięknym Dominiku; Andrzéj zabija Dominika na zaułku ulicy kawałem ołowiu.

P. Kozłowski, dla urozmaicenia akcyi, wprowadził do niéj konkurs czyli turniéj malarski, oraz postać Paoli. Na turnieju Andrzéj nie odniósł, jak się spodziéwał, stanowczego zwycięstwa;—miał się odbyć konkurs drugi, już tylko między nim a Dominikiem. Kto zwycięży, temu powierzone będzie malowanie nowéj świątyni. Andrzeja, przyzwyczajonego do tryumfów, ubodła sama myśl spółzawodniczenia z przybyszem, „chłystkiem", chce więc opuścić Florencyę; ale przełożenia i błagania matki i żony skłaniają go do przyjęcia walki na pędzle. Z początku jest pełen otuchy, ale gdy ukończył prawie swe dzieło, odczuwa boleśnie jego wielkie braki, nie może wierzyć zapewnieniom przyjaciół, że pracy dokonał szczęśliwie i chwyta się, jako środka ratunku, myśli poddanéj przez matkę, by posłał żonę do Domenika dla pozowania, a bratu swemu, Markowi, który miał Paoli towarzyszyć, zlecił podpatrzenie tajemnicy malarza weneckiego. Paola, czując, że już kocha Dominika, wzdraga się pójść do niego, lecz na wyraźny rozkaz męża, ulega, oświadczając jego bratu, że kocha tego, do którego ją wysyłają.

Marek nie zbadał tajemnicy malarskiéj Dominika, ale za to nabrał przekonania, że Paola rzeczywiście rwała się całą duszą do groźnego spółzawodnika męża swego i doznawała wzajemności. Namiętne wyrzuty, robione przez Marka, podżegają tylko uczucie Paoli, tak że już, nie panując nad sobą, postanawia przenieść się do Dominika, czego téż dokonywa. Marek w obronie czci brata wyzywa Wenecyanina na pojedynek; raniony śmiertelnie, umiéra, ujawniając przed Andrzejem cały przebieg sprawy.

Andrzéj wzgardził niewierną, którą kochał, jak się zdaje, samolubnie tylko, ale przeciw Dominikowi pała żądzą zemsty okrutnéj. Zakazawszy wspominać sobie imię żony, udaje się na ucztę do Dominika i oświadcza mu w słowach obłudnych, iż chce zostać jego uczniem i prosi go o przyjaźń. Lekkomyślny, rozpustny, ale szlachetny,

pierwszym popędem kierujący się Wenecyanin, przyjmuje Andrzeja otwartemi ramiony, wierzy w szczerość jego zapewnień i najserdeczniéj go ugaszcza, zapraszając do spółpracownictwa przy malowaniu świątyni, które mu zostało powierzone.

Gdy goście przeszli do ogrodu, wychodzi Paola z komnat Dominika, zdziwiona raczéj niż przerażona obecnością męża w jego mieszkaniu, oraz serdecznym stosunkiem między obu malarzami. Nie idzie jéj obecnie o męża, lecz gniéwa ją zachowanie się Dominika. Nie dopuszcza go do żadnych wyjaśnień, ale wnosi odrazu, że on jéj nigdy nie kochał i z okrzykiem: nie możemy przecież żyć we troje! ucieka, by się ukryć w klasztorze.

Andrzéj maluje wraz z Dominikiem, wciąż udając przyjaźń najgorętszą. A gdy już posiadł tajemnicę Wenecyanina, postanawia się go pozbyć, ażeby nie miéć spółzawodnika. Dominik, pokochawszy Andrzeja, radby się przed nim ze wszystkiego usprawiedliwić, a więc i ze swéj miłości do Paoli, lecz na pierwszą wzmiankę jéj imienia, wstrząsa się mąż i nie dozwala mówić o niéj ani słowa. Dominik chciał upewnić męża, że żona nie zdradziła go w rzeczywistości bynajmniéj, że myślą tylko należała do niego; ale onieśmielony przez Andrzeja musiał zamilknąć. Katastrofa nadejść miała nieodwołalnie. Przy pomocy jednego z przyjaciół Andrzéj podcina rusztowanie, na którém pracował Dominik. Spada nieszczęśliwy i ginie na miejscu. Znajdowała się wówczas w kościele Paola. Postanowiła wziąć winę zabójstwa na siebie — robi téż wobec sędziego odpowiednie zeznanie. A gdy już w ten sposób pewna była śmierci, uroczyście przysięga Andrzejowi, iż przed sądem bożym stanie jako śnieg biała, chociaż nie zapiéra się, że myślą i chęcią zgrzeszyła i dlatego sobie karę wyznaczyła. Andrzéj nie wierzy jéj, a za swoją hańbę zabija ją i składa zeznanie, że on rzeczywistym jest sprawcą zbrodni. Sąd go nie karze zapewne przez wzgląd na sztukę; matka uprowadza Andrzeja, by wraz z nią poszedł drogą pokuty.

W opowiedzianéj tu treści, z wątku głównego wysnutéj, można już zauważyć pewne braki psychologiczne. Autor doskonale obmyślił efektowne sceny i słowa, każdy akt kończące, ale nie chcąc widocznie osłabiać efektów, zapominał o należytém motywowaniu postępków.

I tak, postać Andrzeja byłaby jednolita i zrozumiała od początku do końca, gdybyśmy w nim odrazu widzieli przewagę uczuć samolubnych nad miłością do żony; gdybyśmy już w pierwszych trzech aktach nabrali przekonania, że dla tego malarza o wiele ważniejszą i cenniejszą jest rzeczą odnieść tryumf na turnieju, posiąść tajemnicę malowa-

nia olejnego, aniżeli utrzymać nienaruszoném uczucie Paoli dla siebie; że w nim żądza sławy, skrytość, obłuda i zawziętość górują nad innemi, szlachetniejszemi popędami. Tak przecież nie jest. Aż do końca aktu trzeciego widz jest przekonany, że lubo duma stanowi wybitną cechę charakteru Andrzeja, to przecież zdrada i nikczemność nie znajdą przystępu do jego duzsy, że raczéj dopuści się jakiegoś gwałtownego kroku, aniżeli będzie udawał przyjaźń dla swego przeciwnika. Powié kto może, iż w duszy ludzkiéj dokonywają się przecież zmiany nadzwyczajne i niespodziewane. Niewątpliwie; tylko że innéj są one natury. Gwałtowne namiętności są powodem gwałtownych wybuchów; ale ażeby długo udawać spokój i przyjaźń dla wroga, na to trzeba wprawy wieloletniéj, a raczéj usposobienia już z natury. Zabić pod wpływem uniesienia można w wielu wypadkach przy bardzo odmiennych temperamentach, ale przystępować zwolna do wykonania zamiaru morderstwa może ten tylko, kto umié nad popędami panować.

Podobnież dramatyczne upostaciowanie Paoli dalekiém jest od zadowolenia wymagań psychologicznych. Miała ona kochać Dominika namiętnie, bez pamięci, a jednak pozostać białą jak śnięg. Chociaż trudne to bardzo dla psychologa i artysty zadanie, spełnienie go wszakże do niemożliwości nie należy. Ale u p. Kozłowskiego rzecz ta została przeprowadzona tak, że chyba mało kto z widzów nie podzieli sceptycyzmu jéj męża. Dominik, młody, przystojny, pełen życia, opromieniony sławą zrobił odrazu silne wrażenie na Paoli. Walczy ona z tém wrażeniem i z rodzącém się już uczuciem; chciałaby uniknąć pokusy, wymawia się od pozowania u Dominika, może trochę po kobiécemu obłudnie domaga się rozkazu męża, gdy ten rozkaz usłyszała, nie mężowi, tylko jego bratu wyznała, że już kocha Wenecyanina. Sądząc według zwykłych stosunków ludzkich i praw psychologicznych, wyznanie takie powinnoby było wpłynąć na dalszy rozwój akcyi dramatycznéj. Autor „Turnieju" nie uważał za potrzebne podnieść tego momentu; on mu potrzebny był tylko do efektownego zakończenia aktu... Daléj idą sprawy tak, jakby wyznania tego zgoła nie było. Paola chodzi pozować, Marek jéj towarzyszy i dopiéro po dłuższym przeciągu czasu czuje się zniewolonym do wypowiedzenia Paoli gorzkich słów z powodu jéj miłości dla Dominika. Aleź Paola mogłaby mu powiedzićć, że się trochę zadługo namyślał nad ułożeniem swojéj tyrady, że do jéj wypowiedzenia była znacznie stosowniejsza pora dawniéj, t. j. wtedy, gdy mu oznajmiła wyraźnie i bez ogródek, że Dominika kocha. P. Kozłowskiemu zdawało się, że gdyby tę tyradę we właściwém miej-

scu wypowiedział, popsułby sobie efekt. Może, ale tak zrobiwszy, jak zrobił, popsuł psychologię i logikę.

Idźmy dalej. Paola ostentacyjnie opuszcza dom męża, by się udać do Dominika. Chwali się jéj, że nie robi tego skrycie, ale niepodobna nie uznać połowiczności w jéj postępowaniu, gdy się zważy, że jak poprzednio miłość swą, tak teraz ucieczkę ukrywa przed osobą najbardziéj interesowaną, t. j. przed mężem. Ale to mniejsza, to jest psychologicznie zrozumiałém. Natomiast cała dalsza historya pobytu Paoli w mieszkaniu Dominika jest zagadkową. Odbywają się różne rzeczy: pojedynek Wenecyanina z Markiem, wspaniała uczta wyprawiona przez malarza z powodu zwycięstwa na turnieju. Co robi przez ten czas Paola w mieszkaniu Dominika, nie wiemy. Widzimy ją dopiéro wówczas, gdy goście przeszli do ogrodu. Wychodzi, by się upewnić, że jéj mąż nietylko znajduje się na uczcie, lecz jest w serdecznych stosunkach z Wenecyaninem. Nie przychodzi jéj do głowy, że mąż udaje przyjaźń, by szukać pomsty, ale inna, trochę może dziwniejsza, że Dominik jéj nie kocha, że jéj nigdy nie kochał, jeżeli się może przyjaźnić z jéj mężem. Doprawdy, trzebaby sobie długo suszyć głowę nad rozwiązaniem téj łamigłówki psychologicznéj, gdyby rzecz na to zasługiwała. Subtelności psychologicznych tu nie ma zgoła. Cała ta plątanina myśli i scen do tego jeno zmierza, by bohatérkę wyprowadzić z mieszkania malarza czystą jak śniég i by na zakończenie aktu mogła Paola zawołać: „Nie możemy przecież żyć we troje!"—i wybiedz.

Takie są główne, mojém zdaniem, błędy w rysunku duszy i postępowaniu osób głównych „Turnieju"; ale nie mogę przemilczéć, że poczytuję również za wadę jego brak w nim osób prawdziwie sympatycznych, do których możnaby się przywiązać, któreby można kochać lub wielbić. Charaktery i wypadki, przez nas tu poznawane, interesują nas mniéj lub więcéj, stosownie do naszego usposobienia i nastroju, ale żadna scena nie rozrzewnia, żadna nie podnosi na wyżyny. Jest wprawdzie piękna apostrofa do sztuki, ale włożona w usta Andrzeja w tak niestosownéj chwili, że dla tych, co mają smak trochę wybredniejszy, wydać się musi niemiłą, ponieważ razi fałszem sytuacyi.

Do obniżenia wrażeń podnioślejszych przyczynia się styl i wiersz autora. Są one wogóle staranne, wypracowane należycie; ale napróżnobyś tu szukał prawdziwéj siły słowa i polotu poetycznego. Wszystkie osoby mówią stylem jednakowym, poprawnym i czystym, ale jakby skrępowanym więzami rymu, nie mogącym się wylać swobodną, żywą strugą. Przenośnie i porównania nie czarują wyobraźni, a niekiedy rażą nielogicznością, np. wówczas gdy Andrzéj obiecując sobie odzyskać natchnienie dawniejsze, woła:

Lotnego orła pochwycę w ramiona,
I wezmę skrzydła od niego sokole.

Bądź co bądź, sam fakt, że względem „Turnieju" stawiamy wysokie wymagania sztuki, wskazuje, iż nie poczytujemy utworu tego za rzecz powszednią, niewartą dokładniejszéj rozwagi.

Wystawa dramatu była piękna i efektowna; gra artystów wogóle staranna i dość zharmonizowana jako całość. P. Leszczyński jako Andrzéj miał chwile intuicyjnie odczute, lecz nie dość obmyślane w szczegółach, które w wyrażeniu powtarzały się (przytykanie palców do ust, zupełnie niewłaściwe niekiedy zmienianie tonu w głosie i t. p.). Pani Lüdowa grała świetnie; widocznie wystudyowała dobrze swą rolę; tylko warunki zewnętrzne, nie z jéj winy, nie były w zupełnéj zgodzie z wymaganiami, jakie rola Paoli stawiała. Dominika grał na drugiém przedstawieniu, na którém ja byłem, p. Ładnowski w zastępstwie za chorego p. Nowickiego; z téj pośpiesznie wyuczonéj roli byłoby rzeczą niewłaściwą oceniać grę tak inteligentnego artysty. P. Roland energicznie i z zapałem wydeklamował tyradę wobec Paoli i otrzymał rzęsiste oklaski. Matkę Andrzeja grała, jak zwykle, bardzo sympatycznie pani Rakiewiczowa. O innych aktorach trudno się tu rozpisywać, kiedy ich roli w sprawozdaniu nie zaznaczyłem nawet.

P. R.



NEKROLOGIA.

† **Stanisław Siennicki**, bibliograf, urodzony r. 1834, otrzymawszy wychowanie i wykształcenie w kraju i w Petersburgu, rzucił się z zamiłowaniem do gromadzenia materyałów bibliograficznych i archeologicznych, pracując przy bibliotece publicznéj. Otrzymawszy posadę w biurze okręgu naukowego warszawskiego, dosłużył się godności referenta. Ogłosił najprzód króciutki opis kościoła katolickiego w Petersburgu (1864), który następnie znacznie rozszerzył, doprowadziwszy opowiadanie o jego losach do r. 1872. Następnie ogłosił w Warszawie 1873 pracę bibliograficzną p. t. „Drukarnia na Jasnéj Górze w Częstochowie i wyszłe z téj oficyny druki od roku 1628 do 1864.” W r. 1874 wydał po francusku opis Elzewirów, znajdującéj się w bibliotece uniwersytetu warszawskiego, a w r. 1866 z powodu zjazdu Oryentalistów w Petersburgu ogłosił opis cmentarzy mahometańskich: „Quelques mots pour servir à l'histoire des cimetières musulmans et des mosquées tartares”. W r. 1880 wyszedł jego: „Recueil des éditions des imprimeurs célèbres de l'Italie, de la France et de la Belgique, conservées dans la Bibliothèque de l'Université impériale de Varsovie.” Zmarł w Warszawie 27 stycznia r. b.

† **Józef Waśniewski**, literat, urodzony 3 czerwca 1858 roku w Potoku Złotym (pow. częstochowskim). Po ukończeniu szkół wstąpił na służbę na kolei nadwiślańskiéj i zaczął pisywać bajki i wiersze satyryczne pod pseudonimem Dudusia w „Kolcach”, „Musze”, „Kuryerze Świątecznym”, oraz zarysy nowelistyczne i liryki w innych pismach, jako to w „Przeglądzie Tygodniowym”, „Kuryerze Codziennym”, „Kuryerze Warszawskim”, „Tygodniu” i in. W oddzielnych książkach ogłosił nie wiele, mianowicie powiastkę dla ludu p. t. „Był sobie taki Józek” (Warsz. 1887), odznaczoną na konkursie „Gazety Świątecznéj”,

oraz „Grzechy gromadzkie" zaleconą do druku (Warsz. 1887); tomik szkiców pod tyt. „Zygzaki" (t-mże 1889) oraz „Bajki i fraszki." W ostatnich latach polubił Skandynawią, podróżował, ogłaszał swe wrażenia w „Wędrowcu" tłomaczył sporo poezyi ze szwedzkiego języka. W rękopiśmie pozostawił parę prac większych dramatycznych i powieściowych. Był zwolennikiem języka międzynarodowego „Esperanto" i przekładał na ten język różne krótsze utwory polskie. Odznaczał się talentem i zacnym charakterem. Zmarł na anewryzm serca 19 lutego r. b. w Warszawie.

† **Dr. Wilhelm Gabler**, spółzałożyciel wyższéj szkoły żeńskiéj w Pradze i 33-letni jéj dyrektor, autor i dziennikarz czeski, bliski przyjaciel Havliczka, były poseł na sejm czeski i w radzie państwa w Wiedniu, należący do stronnictwa staroczeskiego, pisywał w „Ateneum" „Listy czeskie" od r. 1879, najprzód pod pseudonimem *Prawdy*, potém pod własnem nazwiskiem. Ostatni list jego pomieściło „Ateneum" w r. 1895. Zmarł zacny człowiek, i wzorowy pedagog w 76 roku życia 27 lutego r. b. w Pradze.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Klemens Junosza.* **Na karczunku.** Powieść z życia szlachty zagonowéj. Warsz., 1897 (nakładca Józef Zawadzki z Wilna), 8-vo, str. 279.
2. *N. Michaux.* **O wyobraźni.** Studyum psychologiczne. Przełożył *A. Lange.* Warsz., nakł. S. Lewentala, 1896, 8-vo, str. 130.
3. **Rocznik** Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych za rok 1896-ty. Część I. Warsz., 1896, 8-vo, str. 223.
4. *Cecylia Niewiadomska.* **Stracona.** Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. 315.
5. **Sprawozdanie** Komisyi do badania Historyi sztuki. Tom V, zeszyt IV. Kraków nakład Akademii Umiej., 1896, folio, str. 193 — 255 i LXIX — CLXXIX z 4 tabl. oraz 101 rysunkami w tekście.
6. **Bibliografia** historyi polskiéj, ułożył dr. *Ludwik Finkel.* Część II-ga, zeszyt II-gi (str. 689 — 848).
7. *Or-ot (Artur Oppman).* **Powinszowania** wierszem i prozą do użytku młodzieży oraz toasty. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, 8-vo, str. 138.
8. *Ramestan (Kazimierz Niemierowski).* **Przypadek czy zbrodnia?** Powieść. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, 8-vo, str. 212.
9. **Z pod włoskiego nieba.** Nowele i obrazki. Zebrał i tłómaczył *Wieńczysław Łoś.* Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, 8-vo, str. 199.
10. **Pollux i Arystoteles.** Napisał dr. *Wiktor Hahn.* Lwów, 1896, 8-vo, str. 16.
11. Dr. *H. Kurella.* **Lombroso i jego teorye.** Tłómaczył dr. *J. Szenhak.* Warsz., nakł. Hieronima Cohna, 1897, 8-vo, str. 44.
12. *Henryk Ibsen.* **Cyranka.** Dramat w 5-ciu odsłonach. Przełożyła *L. R.* Warsz., nakł. H. Cona, 1897, 8-vo, str. 124.
13. **Rzerzączka i małżeństwo** przez d-ra *Edmunda Saalfelda.* Wolny przekład d-ra *J. W.* Warsz., nakł. H. Cohna, 1897, str. 28.
14. *Alexander Kraushar.* **Ofiara terroryzmu.** Kraków, w księg. G. Gebetnera i Spółki 1897, str. 153 z rysunkami.
15. *Ramestan (Kazimierz Niemierowski).* **Palec Boży.** Powieść oryginalna. Warsz., nakł. księg. Dubowskiego i Gajewskiego, 1897, 8-vo, str. 158.
16. **Dzieje powszechne** illustrowane. Wiedeń, nakł. Fr. Bondy. Warsz., skład główny w księg. G. Centnerszwera. Zesz. 97—103 (cena zesz. 12 kop.).
17. **Trzy małe kotki.** Warsz., 1896, nakł. księg. G. Centnerszwera, 4-to, str. 15, z rysunkami.
18. **Kapitan Trafalgar.** Powieść dla młodzieży dojrzalszéj przez *Andrzeja Laurie.* Przełożył z franc. *W. P.* Warsz., nakł. księg. G. Centnerszwera, 1897, 8-vo, str. 261 z rysunkami.
19. *Paweł Hervieu.* **Pęta.** Sztuka dramatyczna w 3 aktach. Z francuskiego tłómaczył *L. W.* Warsz., nakł. księg. G. Centnerszwera, 1897, 8-vo, str. 80.
20. *Stanisław Lipiński.* **Głupi Julek.** Komedya. Warsz., nakł. księg. G. Centnerszwera, 1897, 8-vo, str. 58 (kop. 30).
21. **Lira polska.** Nr. 8. Ułożył *Or-ot.* Warsz., 1897, nakł. księg. G. Centnerszwera, str. 163.
22. **Dzieła** *Aleksandra Fredry.* Lwów, nakł. Księgarni Polskiéj, skład gł. w Warszawie u G. Centnerszwera, 8-vo, zeszyt 1-szy (całość wyjdzie w 20 zeszytach po 15 kop.: przedpłata tylko 2 rs. 50 kop.).
23. **Arcydzieła** *Szekspira* w przekładach Korzeniowskiego i innych. Lwów, nakł. Księgarni Polskiéj, skład gł. w Warsz. u G. Centnerszwera, zesz. 65—70 (cena 90 kop.)

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

